

DONNA LEON

ZAUROCZENIE



Oficyna Literacka Noir sur Blanc

DONNA LEON

ZAUROCZENIE

Przełożył

Marek Fedyszak

NOIR SUR BLANC

Spis treści

Karta redakcyjna

Dedykacja

Motto

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Przypisy

Nakładem wydawnictwa:

Tytuł oryginału: FALLING IN LOVE

Opracowanie redakcyjne: ANNA KOŁAT

Korekta: JOLANTA SPODAR, JANINA ZGRZEMBSKA

Projekt okładki: TOMASZ LEC

Skład i łamanie: PLUS 2 Witold Kuśmierczyk

Copyright © 2015 by Donna Leon and Diogenes Verlag AG Zürich

All rights reserved

For the Polish edition

Copyright © 2019, Noir sur Blanc, Warszawa

All rights reserved

ISBN 978-83-7392-642-4

Oficyna Literacka Noir sur Blanc Sp. z o.o.

ul. Frascati 18, 00-483 Warszawa

e-mail: nsb@wl.net.pl

księgarnia internetowa: www.noirsurblanc.pl

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c.)

Dla Ady Pesch

Le voci di virtù

Non cura amante cor, o pur non sente.

*Kochające serce nie zwraca uwagi na głos cnoty
ani go nie słyszy.*

Rodelinda

Georg Friedrich Händel

Rozdział 1

Kobieta klęczała nad swoim ukochanym, z twarzą i całym ciałem zeszywniałymi z przerażenia, wpatrując się w krew na swojej dłoni. On leżał na wznak z ręką wysuniętą w taki sposób, jakby błagał, żeby coś mu dała – być może jego życie. Dotknęła piersi mężczyzny, nakłaniając go, żeby wstał i żeby mogli się stamtąd wydostać. On jednak się nie poruszył.

Kobieta potrząsnęła nim jak śpiochem, który nie ma ochoty zwlec się z łóżka. Odruchowo przytknęła czerwoną od krwi dłoń do ust, aby stłumić okrzyk. Wiedziała, że musi być cicho; nie mogła pozwolić, by dowiedzieli się, że tu jest. Po czym groza zatriumfowała nad ostrożnością i kobieta wiele razy wykrzyknęła imię mężczyzny. Powtarzała w myślach, że on nie żyje i że wszystko skończone, w ten jakże krwawy sposób.

Spojrzała tam, gdzie wcześniej trzymała dłoń, i dostrzegła wybroczyny. Jak to możliwe, że z tak małych ran wypłynęło tyle krwi? Otarła usta drugą dłonią i ta zabarwiła się na czerwono.

Widząc krew, zatrwożona, znowu wymówiła jego imię. Wszystko skończone, wszystko skończone. Wypowiedziała je ponownie, tym razem głośniej. On jednak nie mógł już jej usłyszeć ani odpowiedzieć. Bezwiednie pochyliła się, żeby go pocałować, chwyciła mężczyznę za ramiona w daremnej próbie tchnięcia weń odrobiny życia, lecz dla nich obojga życie już się skończyło.

Z lewej strony kobiety dobiegł głośny krzyk przywódcy zabójców jej ukochanego. Położyła dłoń na piersi. Strach odebrał jej mowę, zdołała jedynie jęknąć niczym boleśnie zranione zwierzę. Obróciła głowę i wtedy ich zobaczyła. Słyszała krzyki, lecz nie miała pojęcia, co mówią. Teraz, kiedy on nie żył, poczuła tylko nagły strach o siebie i lęk przed tym, co mogli jej zrobić. Wstała i odsunęła się od niego; nie było odwrotu. Zginął i wszystko przepadło: cała nadzieja i wszystkie obietnice, które stały się teraz wygasłe i

nierealne.

Zabójcy – czterech po lewej stronie i jeszcze pięciu następnych po prawej – wyszli na zaśmiecony dach, na którym doszło do morderstwa. Przywódca grupy coś krzyknął, ale kobieta nie była już w stanie usłyszeć ani jego, ani kogokolwiek czy czegokolwiek innego. Wiedziała jedynie, że musi uciekać, lecz oni zagrodzili jej drogę z obu stron. Odwróciła się i ujrzała za sobą krawędź dachu; w zasięgu jej wzroku nie było innych budynków – nie miała dokąd uciec ani gdzie się ukryć.

Miała wybór, ale był on tak naprawdę pozorny: szybka śmierć była lepsza niż to, co właśnie stało się z nim lub co z pewnością stałoby się z nią, gdyby wpadła w ich ręce. Gdy biegła ku krawędzi dachu, potknęła się raz i drugi, ale po chwili z niespodziewaną gracją wskoczyła na wystający rant i spojrzała przez ramię na biegnących w jej stronę mężczyzn. – *O Scarpia, avanti a Dio!* – zawołała, po czym odwróciła się i skoczyła.

Muzyka zamarła, a potem rozbrzmiewała jeszcze przez chwilę, jak zawsze pod koniec tego nędznego, słabiutkiego horroru. Następnie na długi moment zapadała cisza, a do oszołomionych widzów dotarło, co właśnie usłyszeli i zobaczyli. Od czasów Callas – czyli od pięćdziesięciu lat – nie słyszano i nie widziano niczego podobnego do tej *Toski*. Przecież w rzeczywistości Tosca zabiła Scarpę, szefa policji, czyż nie? A jej ukochanego zastrzeliły te kreatury w mundurach. A ona naprawdę skoczyła do Tybru. Na Boga, ta kobieta umiała grać, a nawet więcej – umiała śpiewać. To jest całkowicie realne: zabójstwo, pozorowana egzekucja, która okazuje się prawdziwa, oraz końcowy skok Toski, kiedy już nic nie zostało i nie miała nic do stracenia. To romantyczne banialuki, całość przekracza wręcz granice parodii, tylko dlaczego w takim razie widzowie siedzą, klaszczą i wrzeszczą jak opętani?

Kurtyna powoli się rozsunała i na środek wyszła Flavia Petrelli. Miała na sobie suknię czerwiejszą niż krew oraz tiarę, która najwyraźniej ocalała po skoku do rzeki. Spojrzała na widownię i na jej twarzy pojawił się pełen niedowierzania zachwyty. „To z mojego powodu cały ten zgiełk?”. Jej usta rozchyliły się w szerokim uśmiechu, a dłoń – jakimś cudem niezabrudzona krwią lub czymś, co miało ją przypominać – powędrowała na obnażony dekolt

i spoczęła na rozemocjonowanym sercu, jakby trzeba było je zmusić do pozostania na miejscu.

Oderwała rękę od piersi i – chłonąc falę braw – wyciągnęła przed siebie ramiona tak, że można było odnieść wrażenie, iż pragnie objąć wszystkich widzów. Po chwili obie ręce trafiły z powrotem na dekolt i artystka pochyliła się z wdziękiem, na wpół kłaniając się, na wpół kłękając. Aplauz się wzmógł, słychać było głosy kobiet i mężczyzn krzyczących: *brav* a lub – w przypadku tych, którzy byli ślepi lub nie byli Włochami – *bravo*. *Chyba nie miała nic przeciwko temu, jeśli tylko dalej wyrażali głośno swój zachwyt. Ukłoniła się jeszcze raz, po czym uniosła twarz, jakby pragnęła ją skapać w kaskadzie oklasków.*

Pierwsza, długa róża, żółta niczym słońce, spadła tuż przed nią. Śpiewaczka mimowolnie cofnęła stopę, jakby się bała, że zrobi kwiatu krzywdę albo że jej samej coś się stanie. Po czym schyliła się, by podnieść różę ze sceny. Zrobiła to tak wolno, że jej ruchy wydały się wystudiowane, nieomal wyćwiczone. Przycisnęła kwiat do piersi i skrzyżowała na nim dłonie. Uśmiech kobiety na jego widok lekko zbladł – „To dla mnie? Dla mnie?” – ale twarz, zwrócona w stronę górnych balkonów, promieniała radością.

Róże nadal spadały, jakby przyzywane reakcją Petrelli: najpierw dwie, potem trzy następne, rzucone osobno z prawej strony, później kolejne, aż w końcu u jej stóp leżały dziesiątki kwiatów, upodobniając ją do Joanny d’Arc. Gąszcz różanych płomieni sięgał jej kostek, a nawet wyżej.

Flavia uśmiechała się, słysząc owacje. Ponownie się ukłoniła, cofnęła i zniknęła za kurtyną. Kilka chwil później ukazała się znowu, trzymając za rękę swojego żywego ukochanego.

Na widok tenora oklaski się nasiliły, jak wcześniej krzyki pachołków Scarpia, narastając do poziomu szaleństwa, do którego jakże często doprowadzało widownię pojawienie się przystojnego młodego śpiewaka, który brał lekko wszystkie wysokie tony i nie szczędził ich w swoim śpiewie. Oboje spoglądali nerwowo pod nogi, próbując nie wchodzić na dywan z róż, po chwili jednak zrezygnowali z tych prób i rozgniatali kwiaty stopami.

Brzmienie owacji podpowiedziało Flavii, że teraz to jemu biją brawo.

Zareagowała więc instynktownie, zrobiła krok do tyłu i przyłączyła się do oklasków, wysoko podnosząc dłonie.

W chwili gdy brawa zaczęły słabnąć, stanęła u boku tenora, ujęła go za rękę i wsparła się na nim, a następnie po przyjacielsku cmoknęła w policzek, tak jak całuje się brata bądź dobrego kolegę.

On z kolei chwycił jej dłoń i podniósł nad głowę, jakby sygnalizował, kto jest zwycięzcą w tej rywalizacji. Śpiewak cofnął się o krok, żeby zrobić jej miejsce na scenie, depcząc kolejne róże, ale Petrelli wymknęła się już za kulisy. On podążył za nią. Po chwili wskrzeszony Scarpia, w brokatowym żakiecie nadal pokrytym karmazynowymi plamami, wyszedł przed kurtynę i przesunął się w prawo, unikając stąpania po różach. Ukłonił się raz, potem znowu, i skrzyżował ręce na zakrwawionej piersi, żeby okazać wdzięczność.

Następnie sięgnął za kotarę i wyciągnął stamtąd Flavię, która drugą ręką trzymała młodego tenora. Scarpia poprowadził w tanecznej procesji dwójkę zmartwychwstałych bohaterów dalej w prawo, rozgniatając leżące na scenie kwiaty; Flavia muskała je brzegiem sukni. Podnieśli złączone dłonie, kłaniając się razem; twarz każdego z nich była równie zadowolona – rozpromieniona radością i poczuciem wdzięczności za wyrazy uznania ze strony widowni.

Flavia uwolniła się od dwóch mężczyzn i znowu wymknęła za kurtynę, tym razem po to, by wyłonić się zza niej w towarzystwie dyrygenta. Był on najmłodszą osobą na scenie, ale opanowaniem dorównywał starszym kolegom. Ruszył naprzód, nie zwracając uwagi na róże, i obrzucił wzrokiem publiczność. Uśmiechnął się i ukłonił, po czym gestem kazał powstać orkiestrze, by ta odebrała swoją porcję podziękowań. Ukłonił się ponownie, cofnął i stanął między Flavią a tenorem. Postąpili we czworo do przodu i ukłonili się raz, i drugi, zadowoleni i wdzięczni. Natężenie owacji minimalnie się zmniejszyło, więc wyczulona na takie sygnały Flavia pomachała radośnie do publiczności, jakby miała zaraz wsiąść do pociągu lub na statek, po czym wyprowadziła swoich kolegów za kulisy. Brawa osłabły, a gdy artyści nie pojawili się ponownie, powoli umilkły. Na koniec z pierwszego balkonu rozległ się męski okrzyk *Evviva Flavia!*, który wywołał wprawdzie trochę

gwałtownych oklasków, ale po chwili zapadła cisza przerywana jedynie szmerem rozmów, gdy widzowie posuwali się powoli do drzwi.

Rozdział 2

Gra dobiegła końca. Flavia bez słowa pozostawiła trzech mężczyzn i ruszyła w kierunku swojej garderoby. Tenor spojrział za nią takim samym wzrokiem, jaki ożywiał twarz Cavaradosiego, gdy ten myślał o jej *dolci baci*, o *languide carezze*, których utrata byłaby gorsza niż śmierć. Scarpia wyjął *telefonino*, żeby zadzwonić do żony i powiedzieć jej, że za dwadzieścia minut będzie w restauracji. Dyrygent – który od Flavii oczekiwał jedynie tego, by przestrzegala jego *tempi* i dobrze śpiewała – opuścił kolegów, skinąwszy w milczeniu głową, i skierował się do własnej garderoby.

W połowie korytarza obcas Flavii zaplątał się w brzeg jej szkarłatnej sukni i diwa poleciała do przodu. Od upadku ustrzegła się tylko dzięki temu, że napotkała na swej drodze jedną z pomocnic garderobianej. Młoda kobieta wykazała się zaskakującą siłą i szybkim refleksem: chwyciła śpiewaczkę w ramiona i zdołała utrzymać jej ciężar oraz pęd, nie dając się przewrócić na ziemię.

Gdy tylko Flavia odzyskała równowagę, wyswobodziła się z objęć młodej kobiety, pytając:

– Nic ci się nie stało?

– Nie ma o czym mówić, *signora* – odparła pomocnica, masując sobie bark.

Flavia dotknęła jej ręki i powiedziała:

– Dziękuję, że mnie złapałaś.

– Zrobiłam to odruchowo, po prostu panią chwyciłam – wyjaśniła kobieta, po czym dodała po chwili: – Nie sądzi pani, że na dziś wieczór jeden upadek wystarczy?

Flavia skinęła głową, jeszcze raz podziękowała i ruszyła dalej korytarzem do garderoby. Już miała otworzyć drzwi, ale zatrzymała się, czując, że drży. Była to opóźniona reakcja na powstrzymany w ostatniej chwili upadek oraz na

zastrzyk adrenaliny, którego zawsze dostarczały występy na scenie. Wiedząc, że robi jej się słabo, oparła rękę o framugę i zamknęła oczy. Minęło kilka chwil. Wreszcie zmobilizowały ją głosy dolatujące z drugiego końca korytarza, otworzyła więc drzwi i weszła do garderoby.

Róże tutaj, róże na scenie, róże wszędzie. To robiło wrażenie. Na widok kwiatów w wazonach, zajmujących każdy skrawek powierzchni, Flavia wstrzymała oddech. Zamknęła za sobą drzwi. W bezruchu przyglądała się morzu żółtych płatków, a jej niepokój wzmożł się, kiedy zauważyła, że wazony nie są zwykłymi pojemnymi naczyniami, które w większości teatrów trzymano na takie okazje. Zwykle były one wyszczerbione, a nawet zapaćkane farbą, nieraz wzięte z rekwizytorni w celu wykorzystania tam, gdzie nie rzucały się w oczy.

– *Oddio* – mruknęła, robiąc krok w tył. W tym momencie w drzwiach stanęła jej garderobiana, ciemnowłosa kobieta na tyle wiekowa, że mogłaby być matką dziewczyny, która uratowała ją przed upadkiem. Jak po każdym przedstawieniu przyszła zabrać kostium i perukę Flavii z powrotem do magazynu.

– Czy widziałaś, Marino, kto przyniósł te kwiaty? – ośmieliła się zapytać Flavia. Wykonała niejednoznaczny ruch ręką i przesunęła się, aby wpuścić kobietę do środka.

– *O, che belle!* – wykrzyknęła na widok róż Marina. – Ileż one musiały kosztować! Jest ich co najmniej kilkaset. – Ona również zauważyła wazony: – A skąd one się tu wzięły?

– Nie są z teatru?

Marina pokręciła głową.

– Nie. Nic takiego nie mamy na stanie. Są prawdziwe. – Widząc zdziwienie na twarzy Flavii, wskazała na wysoki wazon w białe i przezroczyste prążki. – To znaczy szklane. Ten jest zrobiony przez Veniniego – dodała. – Lucio tam kiedyś pracował. Poznają.

– Nie rozumiem – odparła Flavia, zastanawiając się, po co w ogóle poruszała ten temat. Odwróciła się plecami do garderobianej i zapytała: – Możesz rozpiąć mi zamek?

Kobieta pomogła jej zdjąć kostium i buty. Flavia ściągnęła szlafrok z oparcia krzesła i usiadła przed lustrem, po czym niemal bezwiednie zaczęła ścierać grubą warstwę makijażu. Marina powiesiła suknię na drzwiach i stanęła za Flavią, żeby pomóc jej zdjąć perukę. Wsunęła pod nią palce i ściągnęła z głowy, to samo zrobiła z gumowym czepkiem zasłaniającym włosy. Gdy tylko Flavia uwolniła się od ciasnego czepka, zatopiła palce we włosach i przez całą minutę drapała się, wzdychając z ulgą i przyjemnością.

– Wszyscy mówią, że nie ma nic gorszego – zauważyła Marina. – Peruka. Nie wiem, jak wy to znosicie.

Flavia przeczesła palcami włosy kilka razy, wiedząc, że w przegrzanym pomieszczeniu szybko wyschną. Były krótkie jak u chłopca i między innymi dlatego tak rzadko rozpoznawano ją na ulicy. Jej wielbiciele pamiętali ze sceny długowłosą piękność, a nie tę kobietę z krótkimi, kręconymi włosami, przyprószonymi siwizną. Pomasowała głowę jeszcze mocniej i w miarę jak włosy schły, czuła coraz większą ulgę.

Zadzwoił telefon. Odebrała dość niechętnie, rzucając swoje nazwisko do słuchawki, w której usłyszała męski głos:

– Czy może mi pani powiedzieć, *signora*, jak długo jeszcze zostanie pani w garderobie?

– Pięć minut – odparła jak zawsze, bez względu na to, czy miało jej to zająć tyle czasu, czy pół godziny więcej. Poczekają. – Dario, kto przyniósł te kwiaty? – zapytała, zanim zdążył się rozłączyć.

– Przywieziono je łodzią.

Cóż, skoro znajdowali się w Wenecji, nie mogli trafić tu w żaden inny sposób, ale Flavia nie skomentowała tego, tylko zapytała:

– Czy wiesz, kto je przysłał? Czyja to była łódź?

– Nie wiem, *signora*. Zjawili się dwaj mężczyźni, którzy wszystko zostawili przed drzwiami teatru – wyjaśnił, a po chwili dodał: – Łodzi nie widziałem.

– Podali jakieś nazwisko?

– Nie, *signora*. Myślałem, że... cóż, myślałem, że skoro jest ich tyle, będzie pani wiedziała, od kogo one są.

– Pięć minut – powtórzyła Flavia, ignorując tę ostatnią uwagę, i odłożyła słuchawkę. Marina zabrała ze sobą suknię oraz perukę i wyszła, pozostawiając Flavię samą w ciszy garderoby.

Petrelli spojrzała na swoje odbicie w lustrze, chwyciła garść chusteczek i dopóty wycierała nimi twarz, dopóki nie usunęła prawie całej charakterystyki. Pamiętając, że przy wyjściu będą czekali na nią ludzie, podkreśliła oczy tuszem do rzęs i zamaskowała oznaki zmęczenia odrobiną makijażu. Wzięła ze stołu szminkę i nałożyła ją starannie na usta. Ogarnęło ją znużenie. Przymknęła powieki, by poczekać, aż znowu poczuje przyływ energii. Po chwili otworzyła oczy i przyjrzała się leżącym na stole przedmiotom, po czym wyjęła z szuflady bawełnianą torbę na ramię i zgarnęła do niej wszystko: kosmetyki, grzebień, szczotkę oraz chustkę.

Nie przynosiła już do teatru – żadnego teatru – nic wartościowego. Kiedyś, w Covent Garden, ukradziono jej płaszcz; w Palais Garnier zniknął notes z adresami, jedyna rzecz zabrana z torebki, którą zostawiła w szufladzie. Komu, na litość boską, potrzebny był jej notes, a biorąc pod uwagę fakt, że miała go od wieków, kto byłby w stanie rozszyfrować ten miszmasz pokreślonych nazwisk i ulic, zaktualizowanych adresów mejlowych oraz numerów telefonicznych, zapewniających jej kontakt z innymi przedstawicielami tej dziwnej i „geograficznie nieustabilizowanej” profesji, którą uprawiała? Na szczęście większość danych miała też w swoim komputerze, lecz odzyskanie niektórych zajęło jej wiele tygodni. Potem, nie mogąc znaleźć notesu, który by się jej podobał, postanowiła zawierzyć komputerowi i modliła się, żeby żaden wirus ani awaria nie skasowały ukradkiem wszystkich zgromadzonych w nim na nowo adresów i telefonów.

Było to dopiero trzecie z przedstawień zaplanowanych w repertuarze, więc to, że przed wyjściem czekają ludzie, było rzeczą pewną. Flavia najpierw włożyła czarne rajstopy, a potem spódnicę i sweter, w których przyszła do teatru. Wsunęła nogi w buty, zarzuciła na siebie wyjęty z szafy płaszcz i owinęła szyję wełnianym szalem – czerwonym jak jej suknia z przedstawienia; Flavia często nazywała swoje szale hidżabami – bez szala nie mogłaby wyjść z domu.

Zatrzymała się w progu i jeszcze raz obrzuciła spojrzeniem garderobę, zadając sobie pytanie: czy tak wyglądają realia, które zastąpiły marzenia o sukcesie? Mały, bezosobowy pokój, używany przez pewien czas przez jedną osobę, a w następnym miesiącu przez inną; jedna szafa, lustro okolone – jak na filmach – żarówkami; bez wykładziny na podłodze; niewielka łazienka z prysznicem i umywalką. Koniec. Jeżeli ktoś to miał, był gwiazdą, przypuszczała kiedyś Flavia. Ona to miała, więc musi być gwiazdą. Czuli się jednak nie gwiazdą, lecz kobietą po czterdziestce – to wyznanie przychodziło jej z wielkim trudem – która właśnie harowała jak wół przez ponad dwie godziny, a teraz musiała iść i uśmiechać się do obcych ludzi, którzy chcieli posiąść jej cząstkę, chcieli być jej przyjaciółmi, powiernikami oraz, jak wiadomo, kochankami.

Ona zaś pragnęła jedynie pójść do restauracji i coś zjeść, wypić, a potem wrócić do domu, zadzwonić do obojga dzieci, żeby sprawdzić, jak się czują, i życzyć im dobrej nocy. Chciała też, gdy już zacznie opadać gorączka towarzysząca występowi i niepostrzeżenie wróci normalne życie, pójść do łóżka i przekonać się, czy zdoła zasnąć. Gdy znała bądź lubiła swoich kolegów współpracujących przy produkcji, cieszyła się na przyjemną kolację po przedstawieniu, na żarty i opowieści o agentach, menedżerach i dyrektorach teatrów – czyli na obcowanie z osobami, które wspólnie z nią doświadczały cudu wspólnego tworzenia muzyki. Jednak tutaj, w Wenecji, mieście, gdzie spędziła mnóstwo czasu i gdzie powinna znać wiele osób, nie miała ochoty obracać się w towarzystwie kolegów: barytona, mówiącego tylko o swoich sukcesach, dyrygenta, który nie darzył jej sympatią i nie potrafił tego ukryć, oraz tenora, który chyba się w niej zakochał – mówiąc to w duchu, spojrziała w lustro – z pewnością bez cienia zachęty z jej strony. Nie dość, że miał zaledwie dziesięć lat więcej od jej syna, to jeszcze był zdecydowanie zbyt niewinny, by interesować ją jako człowiek.

Kiedy tak stała, uświadomiła sobie, że skutecznie zapomniała o kwiatkach. I o wazonach. Gdyby człowiek, który je przysłał, był przy wyjściu, powinna przynajmniej pokazać się z jednym bukietem.

– Do diabła z nim – powiedziała do kobiety w lustrze, która skinęła jej

głową na znak zgody podyktowanej życiową mądrością.

Po raz pierwszy zdarzyło się to w Londynie, dwa miesiące wcześniej, po ostatnim spektaklu *Nozze*, gdy po pierwszym wywołaniu przed kurtynę i podczas wszystkich kolejnych spadł na nią deszcz pojedynczych żółtych róż. Potem na solowym recitalu w Sankt Petersburgu żółte róże spadły na scenę wśród dość wielu bardziej tradycyjnych wiązanek. Oczarowało ją to, że niektórzy Rosjanie, w większości kobiety, podchodzili po przedstawieniu pod scenę i wręczali jej bukiety kwiatów. Flavia lubiła widzieć oczy osoby, która ją obdarowywała lub mówiła coś miłego: było to, na swój sposób, bardziej ludzkie.

Następnie tutaj, w wieczór premiery, gdy dziesiątki róż spadły na scenę niczym żółty deszcz, chociaż po występie nie znalazła w garderobie ani jednej. Dziś wieczorem pojawiły się jednak znowu. Bez nazwiska, bez informacji, bez listu wyjaśniającego tak wyjątkowy gest.

Flavia grała na zwłokę. Nie chciała podejmować decyzji w sprawie kwiatów pod przymusem, nie chciała też iść i podpisywać programów ani prowadzić rozmów towarzyskich z nieznanymi bądź – co czasem było jeszcze gorsze – z tymi fanami, którzy przychodzili na wiele spektakli i sądzili, że dzięki częstym wizytom mają prawo się z nią spoufalać.

Zarzuciła bawełnianą torbę na ramię i znowu przeczesła dłonią włosy, były suche. W głębi korytarza dostrzegła garderobianą.

– Marina! – zawołała. – *Sì, signora* – odpowiedziała kobieta, podchodząc do Flavii.

– Gdybyście miały ochotę, ty i inne garderobiane, weźcie sobie róże do domu. Każdy, kto chce.

Marina nie odpowiedziała od razu, co zaskoczyło śpiewaczkę. Jak często kobiety otrzymują dziesiątki róż? Potem jednak twarz garderobianej pojaśniała z oczywistej radości.

– To bardzo miłe z pani strony, *signora*, ale nie chce pani zatrzymać chociaż trochę dla siebie? – Machnęła ręką w kierunku pokoju, gdzie stały kwiaty.

Flavia pokręciła głową.

– Nie, możecie wziąć wszystkie.

– A pani wazon? – zapytała Marina. – Nic im się nie stanie, jeżeli je tutaj zostawimy?

– One nie są moje. Jeżeli chcesz, je także możesz zabrać – odparła Flavia, klepiąc ją po ramieniu. Po czym dodała ciszej: – Weź sobie wazon Veniniego, dobrze? – I odwróciła się w stronę windy, która miała ją zawieźć do czekających wielbicieli.

Rozdział 3

Flavia zdawała sobie sprawę, jak dużo czasu zajęło jej przebieranie się, i miała nadzieję, że to zniechęciło część oczekujących osób. Była zmęczona i głodna; po pięciu godzinach w zatłoczonym teatrze, otoczona przez ludzi na scenie, za kulisami i na widowni, pragnęła jedynie znaleźć zaciszne miejsce, żeby zjeść coś w spokoju i samotności.

Wysiadła z windy i ruszyła długim korytarzem, który prowadził do portierni i miejsca, gdzie mogli poczekać goście. Oklaski zerwały się, kiedy Flavia znajdowała się w odległości dziesięciu metrów od zebranych. Błysnęła pełnym zachwytem uśmiechem, który był zarezerwowany dla wielbicieli. Na ich widok ucieszyła się i podjęła próbę ukrycia tego, jak bardzo jest zmęczona. Przyspieszyła kroku, jak przystało na śpiewaczkę pragnącą zobaczyć i usłyszeć swoich fanów, podpisać programy i podziękować za to, że tak długo na nią czekali.

Od początku kariery te spotkania były dla niej źródłem triumfalnej radości: ci ludzie interesowali się nią na tyle, aby czekać na możliwość bezpośredniego kontaktu, pragnęli jej uznania, uwagi, jakiegoś znaku, że ich pochwały są dla niej ważne. Tak było wtedy i tak było teraz. Flavia miała dość uczciwości, by przyznać, że nadal potrzebuje ich pochwał. Gdyby tylko... gdyby tylko umieli szanować czas – powiedzieć, że przedstawienie lub występ się podobały, podać rękę i wyjść.

Ujrzała pierwszych dwoje, małżeństwo – byli starsi i niżsi niż wtedy, gdy przed laty spotkała się z nimi po raz pierwszy. Mieszkali w Mediolanie i przyjeżdżali na wiele jej występów, później przychodzili za kulisami tylko po to, żeby podziękować i uścisnąć jej dłoń.

Widywała ich przez wszystkie te lata, wciąż jednak nie wiedziała, jak mają na imię. Za nimi stała kolejna para, młodsza i mniej od poprzedniej skłonna, by tylko podziękować i wyjść. Bernardo, ten z brodą – pamiętała, bo oba te

słowa zaczynały się na „B” – zawsze rozpoczynał od pochwały za jedną frazę bądź, od czasu do czasu, jedną nutę; pochwały najwyraźniej mającej świadczyć o tym, że zna się na muzyce równie dobrze jak ona. Drugi, Gilberto, stanął z boku i zrobił im zdjęcie, gdy Flavia podpisywała program, po czym uściśnął jej dłoń i, w czasie gdy Bernardo zajmował się szczegółami, złożył ogólne wyrazy uznania.

Gdy odeszli, ich miejsce zajął wysoki mężczyzna z narzuconym na ramiona cienkim płaszczem. Flavia zauważyła, że kołnierz płaszcza jest z aksamitu, i próbowała sobie przypomnieć, kiedy ostatnio widziała coś takiego, prawdopodobnie po jakiejś premierze lub koncercie galowym. Białe włosy mężczyzny kontrastowały z mocno opaloną twarzą. Pochylił się, aby pocałować ją w rękę, podziękował i powiedział, że pół wieku wcześniej widział tę rolę w wykonaniu Callas w Covent Garden, nie wywołując jednocześnie zakłopotania, którego źródłem byłoby jakiegokolwiek porównanie. Doceniła tę delikatność.

Następna była młoda kobieta o miękkich rysach, z brązowymi włosami i źle dobraną szminką. Kolor pomadki tak bardzo gryzł się z jej bladą cerą, że Flavia podejrzewała, iż kobieta umalowała się nią specjalnie na to spotkanie. Śpiewaczka uściśnęła jej wyciągniętą rękę i spojrzała w bok, by sprawdzić, ile jeszcze osób stoi w kolejce. Młoda – licząca niewiele ponad dwadzieścia lat – kobieta wyznała, że opera bardzo przypadła jej do gustu. Wypowiedziała te proste słowa najpiękniejszym głosem, jaki Flavia słyszała kiedykolwiek. Był to głęboki, soczysty kontralt kontrastujący swą głęboką barwą z młodością dziewczyny. Ogromna przyjemność, jaką sprawił Flavii, była niemal zmysłowa, niczym muśnięcie twarzy kaszmirowym szalem. Albo wierzchem dłoni.

– Śpiewa pani? – zapytała odruchowo.

– Uczę się, *signor* a – odparła kobieta i ta prosta odpowiedź uderzyła Flavię jak najniższy ton wiolonczeli.

– Gdzie?

– W paryskim konserwatorium, *signor* a. Jestem na ostatnim roku studiów.

– Flavia widziała, że dziewczyna poci się ze zdenerwowania, lecz głos był

niewzruszony niczym pancernik na spokojnym morzu. Kiedy kontynuowały rozmowę, diwa wyczuła rosnące zniecierpliwienie ludzi stojących za studentką.

– W takim razie życzę powodzenia – powiedziała i znowu uściśnęła dłoń dziewczyny.

Gdyby śpiewała tym samym głosem – co nie zdarzało się często – za parę lat stałaby naprzeciwko tego tłumu, serwując uprzejmości i podziękowania wdzięcznym fanom, i wybierałaby się na kolację z innymi śpiewakami, zamiast stać przed nimi z zakłopotaniem.

Flavia dzielnie ścisnęła dłonie, uśmiechała się, rozmawiała z ludźmi i dziękowała im za komplementy oraz życzyliwość, mówiła, jak bardzo cieszy ją fakt, że zostali, aby się przywitać.

Podpisywała programy i płyty, starała się zawsze zapytać o imię bądź imiona osób, dla których miała napisać dedykację. Ani razu nie okazała zniecierpliwienia czy niechęci, słuchając opowieści swoich wielbicieli. Równie dobrze mogła mieć napisane na czole słowa „Porozmawiaj ze mną”, tak silnie bowiem ludzie wierzyli, że chce wysłuchać, co mają do powiedzenia. Stale powtarzała sobie, że tym, co czyni ją godną ich zaufania i sympatii, jest wyłącznie śpiew.

A także, dodawała w myślach, umiejętność gry aktorskiej. Zamknęła oczy i podniosła rękę, żeby potrzeć powieki, jakby coś dostało się pod jedną z nich. Potem zamrugowała kilka razy i uśmiechnęła się promiennie do tłumu fanów.

Wśród tych, którzy zostali, zauważyła z tyłu mężczyznę w średnim wieku, ciemnowłosego, słuchającego ze spuszczoną głową słów stojącej obok kobiety. Ona była bardziej interesująca: naturalna blondynka, wydatny nos, jasne oczy, przypuszczalnie starsza, niż wydawała się z wyglądu. Uśmiechnęła się na to, co wcześniej powiedział, i kilka razy postukała czołem o jego ramię, po czym cofnęła się i popatrzyła mu w oczy. Mężczyzna objął ją ramieniem i przyciągnął do siebie, po czym odwrócił się, by sprawdzić, co się dzieje na początku kolejki.

I wtedy Flavia go rozpoznała, mimo że odkąd widzieli się ostatnim razem, minęły lata. W jego włosach było więcej siwizny; twarz miał szczuplejszą, a

od lewego kącika ust do podbródka biegła bruzda, której nie pamiętała z przeszłości.

– *Signor* a Petrelli – rzekł młody mężczyzna, który niepostrzeżenie chwycił ją za rękę – mogę tylko powiedzieć, że to było cudowne. Po raz pierwszy widziałem operę. – Czy mówiąc to, się zarumienił? Oczywiście, wyznanie okazało się dla niego rzeczą trudną.

Flavia odwzajemniła uścisk dłoni i odparła: – Cieszę się. *Tosc* a to wspaniały wybór na początek. – Młodzieniec skinął głową, jego szeroko otwarte oczy wyrażały oczarowanie. – Mam nadzieję, że dzięki niej zapragnął pan obejrzeć kolejne przedstawienie – dodała.

– O tak. Nie wiedziałem, że to może być tak... – Wzruszył ramionami, nie mogąc wyrazić, o co mu chodzi, znowu chwycił ją za rękę i Flavia bała się przez chwilę, że przyciągnie ją do ust i pocałuje. Wycofał się jednak, podziękował i odszedł.

Jeszcze tylko cztery osoby i stanęli przed nią: szpakowaty mężczyzna oraz towarzysząca mu blondynka. On wyciągnął rękę.

– *Signor* a, uprzedzałem, że chciałbym wraz z żoną usłyszeć, jak pani śpiewa – rzekł, po czym z uśmiechem, który pogłębił zmarszczki na jego twarzy, dodał: – Warto było czekać.

– A ja panu powiedziałam – odparła Flavia, nie zważając na komplement i podając rękę kobiecie – że chcę zaprosić was oboje na przedstawienie. – Kiedy już się przywitały, zaznaczyła: – Powinieneś się ze mną skontaktować. Zostawiłabym bilety. Obiecałam ci to.

– To bardzo uprzejme z pani strony – odparła blondynka. – Mój ojciec ma jednak *abbonament* o i dał nam bilety. – Jakby dla ustrzeżenia się przed podejrzeniem, że przyszli tylko dlatego, że jej rodzice nie mieli na to ochoty, wyjaśniła: – I tak byśmy przyszli, ale moi rodzice są dzisiaj zajęci.

Flavia skinęła głową, po czym sprawdziła, czy za nimi czekają jeszcze jacyś ludzie, ale nikogo nie było. Nagle zorientowała się, że nie wie, jak ma się zakończyć to spotkanie. Miała powody być wdzięczna temu człowiekowi, który ocalił ją przed okropnym... nie była pewna, przed czym dokładnie, ponieważ pomógł tak szybko i tak „całkowicie”. Ocalił ją dwukrotnie, nie raz,

a za drugim razem ocalił również najdroższą jej wówczas osobę. Spotkała się z nim jeszcze na kawie. Potem zniknął; czy też to ona zniknęła, niesiona wznoszącą falą kariery, śpiewając w innych miejscach, innych operach, pozostawiając to prowincjonalne miasto i ten bardzo prowincjonalny teatr. Jej życie, talent i horyzonty rozwijały się i od lat nie myślała o swoim wybawcy.

– To było porywające – powiedziała kobieta. – Nie przepadam za tą operą, ale dziś wieczorem brzmiała prawdziwie i poruszająco. Rozumiem, dlaczego tyle osób ją uwielbia.

– Odwracając się do męża, dodała: – Chociaż ukazany w niej obraz policjanta nie jest zbyt pochlebny, prawda?

– To tylko kolejny dzień w biurze, moja droga, robienia tych rzeczy, na których tak dobrze się znamy – odparł uprzejmie. – Szantaż seksualny, usiłowanie gwałtu, zabójstwo, nadużycie władzy – wyliczył, po czym zwrócił się do Flavii: – Czuję się jak w domu.

Flavia natychmiast się roześmiała i przypomniała sobie, że jej rozmówca to człowiek, który traktował samego siebie z przymrużeniem oka. Czy powinna zaprosić ich na kolację?

Stanowiliby przyjemne, zabawne towarzystwo, nie wiedziała jednak, czy w ogóle pragnie towarzystwa, nie po przedstawieniu i nie po tym, gdy zobaczyła te wszystkie kwiaty.

Mężczyzna dostrzegł jej zawahanie i zdecydował za nich.

– I właśnie tam musimy się teraz udać – rzekł. – Do domu. – Nie tłumaczył się ani nie wdawał w wyjaśnienia i Flavia była mu za to wdzięczna.

Ogarnęło ich zakłopotanie.

– Jestem tutaj jeszcze przez mniej więcej tydzień – powiedziała Flavia, której nic innego nie przychodziło do głowy. – Może chcieliby państwo – celowo użyła liczby mnogiej – pójść gdzieś na drinka?

Kobieta zaskoczyła ją, pytając: – A może pani przyjdzie do nas na kolację w niedzielę wieczorem?

Przez lata Flavia często stosowała taktykę zwlekania i nie mając pewności, czy chce przyjąć propozycję, lub potrzebując czasu na jej rozważenie,

wymawiała się innym zaproszeniem. Pomyślała jednak o różach i o tym, że mogłaby o nich powiedzieć, więc odparła: – Chętnie. – Nie chcąc, żeby sądzili, iż jest samotna w tym obcym mieście, dodała: – Dziś wieczorem jestem zajęta... ale niedziela będzie idealna.

– A mogłaby pani przyjść do moich rodziców? – zapytała kobieta i tytułem wyjaśnienia pośpiesznie dorzuciła: – W przyszłym tygodniu wylatują do Londynu, więc to dla nas jedyna okazja, by zobaczyć się z nimi przed wyjazdem.

– Może pani tak po prostu zaprosić ich... – zaczęła Flavia, dbając o użycie w stosunku do kobiety oficjalnego *Lei*, mimo że do jej męża zwracała się poufale *tu*.

– Oczywiście – powiedziała kobieta, zanim jeszcze Flavia zdążyła dokończyć pytanie – tak naprawdę oboje byliby zachwyceni, gdyby pani mogła przyjść. Mój ojciec od lat jest pani wielbicielem, a matka wciąż mówi o roli Violetty w pani wykonaniu.

– W takim razie przyjdę z wielką przyjemnością.

– Gdyby pani chciała kogoś przyprowadzić... – rzekł mężczyzna, ale nie dokończył zdania.

– To bardzo miłe, ale przyjdę sama – odparła beznamiętnie.

– Aha – mruknął, a ona zauważyła jego reakcję.

– Dom jest w Dorsoduro, tuż przy Campo San Barnaba – wyjaśniła jego żona, po czym wtrąciła poufale *tu*: – Pójdź *call* e na lewo od kościoła, po drugiej stronie kanału. Ostatnie drzwi po lewej. Nazwisko: Falier.

– O której? – zapytała Flavia, już wyobrażając sobie to miejsce.

– O ósmej trzydzieści – odparła kobieta, po czym jej mąż wyciągnął swój *telefonin* o i zainicjował wymianę kontaktów.

– Świetnie – powiedziała Flavia po zapisaniu numeru. – Dziękuję za zaproszenie. – Wciąż zaciekawiona sprawą kwiatów dodała: – Muszę jeszcze zamienić słowo z portierem.

Kiedy się pożegnali, Flavia Petrelli ruszyła w stronę portierni, a Paola Falier i Guido Brunetti wyszli z teatru.

Rozdział 4

Kiedy Flavia dotarła do portierni, odźwiernego nie było, być może wybrał się na obchód teatru albo, co wydawało się bardziej prawdopodobne, poszedł do domu. Chciała, żeby opowiedział jej szczegółowo, jak róże pojawiły się w teatrze, oraz o mężczyznach, którzy je przynieśli. Z usług której kwiaciarni skorzystali? Jej ulubiona, Biancat, została zamknięta. Flavia dowiedziała się o tym w dniu przyjazdu, gdy poszła kupić kwiaty do mieszkania i odkryła, że kwiaciarnię olśniewającą bogactwem kolorów zastąpiły dwa sklepy oferujące tandetne torebki i portfele chińskiej produkcji. Barwy torebek na wystawie przypominały Flavii tanie słodycze, które jej dzieci uwielbiały jeść we wczesnym dzieciństwie: wściekłe czerwienie, ostre odcienie zieleni i inne wulgarne kolory. Torebki szyto z jakiegoś materiału, który – na przekór usilnym staraniom producentów i krzykliwym barwom – wyglądał jak plastik.

Flavia uznała, że rozmowa z portierem może poczekać do następnego dnia, i wyszła z teatru. Ruszyła w kierunku swojego mieszkania, stanowiącego połowę *secondo piano nobile* w Dorsoduro, niedaleko Ponte dell'Accademia. Odkąd przyjechała, a było to przed miesiącem, jej weneccy koledzy rozmawiali niemal wyłącznie o upadku miasta i jego stopniowej przemianie w Disneyland nad Adriatykiem. Spacer gdziekolwiek w centrum około południa oznaczał konieczność przepychania się przez tłumy ludzi; rejs *vaporetto* był nieraz niemożliwy, a często nieprzyjemny. Biancat zniknęła, ale czemu ona miałaby się tym przejmować? Pochodziła z Północy, ale nie była wenecką, tak więc to, dlaczego czy też komu weneccy postanowili sprzedawać swoją ojcowiznę, nie było jej sprawą. Czyż w Biblii nie napisano o człowieku, który sprzedał przywilej pierworództwa za – to wyrażenie zafascynowało ją, gdy po raz pierwszy usłyszała je na lekcji religii kilkadziesiąt lat temu – „miszkę soczewicy”? Te słowa przypomniały jej, jak bardzo jest głodna.

Zatrzymała się na Campo Santo Stefano i w Beccafico zjadła makaron,

choć niespecjalnie zwracała uwagę na to, co je, oraz wypła tylko pół kieliszka teroldego. W sam raz tyle, żeby zasnąć. Następnie ruszyła w lewo, mostem przy San Vio, do pierwszego skrzyżowania w lewo, wsunęła klucz do zamka i dostała się do ogromnego holu *palazzo*.

Zatrzymała się u stóp schodów nie tyle z powodu zmęczenia, co z nawyku. Po każdym przedstawieniu, jeżeli tylko pozwalała na to różnica czasu, starała się zadzwonić do swoich dzieci. Aby jednak to zrobić, musiała ochłonać. Odtworzyła w pamięci pierwszy akt i znalazła niewiele podstaw do krytyki. Tak samo było z aktem drugim. W trzecim młody tenor rzeczywiście poczynił sobie niezbyt pewnie, miał jednak za mało wsparcia ze strony dyrygenta, który nawet nie próbował ukrywać swojej złej opinii o wszystkim z wyjątkiem wysokich tonów w jego głosie. Jej występ był dobry. Niczym się nie wyróżnił, ale był dobry. Prawdę mówiąc, nie była to wielka opera, zawierała jedynie kilka fragmentów, w których jej głos mógł błyszczeć, ale reżyser współpracował z nią wystarczająco wiele razy, by dać jej wolną rękę, więc dramatyczne sceny wypadły z korzyścią dla niej.

Podzielała jego opinię o barytonie, który śpiewał partię Scarpia, ale zdecydowanie lepiej ją skrywała. Reżyser postanowił, że Tosca dźgnie go nożem w brzuch, nie w pierś, i to wielokrotnie. Gdy baryton zaczął protestować przeciwko takiej zniewadze, reżyser wyjaśnił, że brutalność Toski musi być sprowokowana w dwóch pierwszych aktach równie wielką brutalnością z jego strony. W ten sposób śpiewak będzie miał sposobność stworzyć postać aktorskiego i wokalnego potwora oraz sprawdzić granice swoich aktorskich umiejętności jeszcze skuteczniej, niż bywało to w przeszłości.

Flavia dostrzegła wtedy wyraz zadowolenia na twarzy kolegi, który zdał sobie sprawę, że reżyser stwarza mu szansę na przyćmienie Toski. Widziała jednak także mrugnięcie okiem, które twórca spektaklu posłał jej za plecami Scarpia, gdy ten skwapliwie skorzystał z tego pomysłu zarówno słowem, jak i czynem. Na scenie nie zabiła wcześniej wielu osób, ale uśmiercenie go, a potem radość na myśl, że uczyni to jeszcze trzykrotnie, były miodem na jej serce.

Pocieszona tymi myślami zaczęła wchodzić na górę, nie trzymając się poręczy i doceniając szerokość klatki schodowej, mającej chyba pozwalać kobietom w szerokich spódnicach mijać się na stopniach lub iść z kimś pod rękę. Dotarła na swoje piętro i skręciła w prawo w kierunku mieszkania.

W tej samej chwili otworzyła usta ze zdumienia. Przed drzwiami leżał największy bukiet kwiatów, jaki kiedykolwiek widziała. Był oczywiście – ciekawe, dlaczego uważała, że to oczywiste – z żółtych róż, pięciu bądź sześciu tuzinów ułożonych w olbrzymią złocistą masę kwiatów, które zamiast zachwycać pięknem, przepęłniły Flavię uczuciem bliskim trwogi.

Popatrzyła na zegarek: minęła północ. W mieszkaniu nocowała sama. Ktokolwiek zostawił te kwiaty, musiał wejść przez drzwi na parterze. Mógł więc być wszędzie. Stała i oddychała głęboko, dopóki nie poczuła, że serce na powrót bije w normalnym rytmie.

Wyjęła *telefonino* i znalazła numer przyjaciela, który wynajął jej apartament. Mieszkał piętro wyżej, miała jednak dość przytomności umysłu, by zdać sobie sprawę, że o tej porze telefon zabrzmiał mniej złowieszczo niż dzwonek do drzwi.

Po czwartym sygnale usłyszała męski głos: – *Pronto?*

– Freddy? – upewniła się.

– Tak. To ty, Flavio?

– Owszem.

– Nie możesz się dostać do mieszkania?

– Jesteś jeszcze na nogach? – zapytała zamiast odpowiedzieć na jego pytanie.

– Tak.

– Mógłbyś tu zejść?

– Oczywiście. Za minutę. Powiem tylko Silvanie – odparł po krótkim wahaniu i odłożył słuchawkę.

Flavia cofnęła się pod ścianę, jak najdalej od drzwi i od kwiatów. Zajęła swój umysł zastanawianiem się, do czego można by przyrównać bukiet pod względem wielkości. Przyszło jej na myśl koło do hula-hoop, było jednak za

duże. Piłka plażowa? Za mała. Opona samochodowa?

Owszem, ona miała odpowiednią średnicę. Bukiet miał kształt grzyba, ale takiego, który dostał szalu niczym rekwizyt z filmu grozy, jakby rozrósł się w niekontrolowany sposób wskutek promieniowania jądrowego. Kiedyś oglądała takie filmy w kinie i jeszcze dzisiaj wspominała je z rozbawieniem.

Z góry nie dobiegały żadne odgłosy. Co było bardziej złowieszcze: ten nieruchomy bukiet, piękno skażone makabryczną scenerią czy atomowe grzyby? Pochłonięta tymi idiotycznymi myślami, nie musiała się zastanawiać, co znaczą te róże, jak ktoś zdołał wejść do *palazzo* i co tu jest u diabła grane.

Na górze usłyszała jakiś dźwięk, a potem głosy, męski i kobiecy. I kroki na schodach. Zerknęła przez balustradę; ujrzała stopy w pantoflach, nogawki piżamy, rąbek, a potem pasek czerwonego jedwabnego szlafroka, dłoni z pękiem kluczy, a następnie krzepiącą brodatą twarz przyjaciela – markiza Federica d'Istrii. Freddy był jej dawnym kochankiem i drużbą na ślubie. Jak miała się potem dowiedzieć, aż nazbyt dobrze znał pana młodego, poczucie honoru sprawiło jednak, że nie mógł jej nic powiedzieć – i niech będzie przeklęte jego milczenie. Zatrzymał się na ostatnim stopniu i przeniósł wzrok z Flavii na ogromny bukiet leżący u stóp schodów.

– Przynosisz je do domu?

– Nie, już tu były. Wpuściłeś kogoś?

– Nie. Silvana też nikogo nie wpuszczała. Nikt nie wchodził.

– A ci ludzie u góry? – zapytała, wskazując podniesionym palcem, jakby mógł nie wiedzieć, gdzie znajduje się „góra”.

– Są w Londynie.

– Więc nikt nie wchodził?

– Nic mi o tym nie wiadomo. Obecnie jesteśmy tutaj jedynymi osobami.

Freddy zszedł z ostatniego stopnia schodów i zbliżył się do olbrzymiej wiązanki. Tracił róże stopą, jakby były pijakiem śpiącym na progu lub podejrzanym pakunkiem. Nic się nie stało. Spojrzał na Flavię i wzruszył ramionami, po czym pochylił się i podniósł bukiet. Kwiaty zasłoniły go niemal całkowicie.

– Żółte róże – rzekł niepotrzebnie.

– Moje ulubione. – Mówiąc to, Flavia uświadomiła sobie, że to już nie jest prawdą.

– Mam je wnieść do środka?

– Nie! – odparła z wściekłością. – Nie chcę, żeby tu były. Daj je Silvanie albo wystaw na *calle*. – Usłyszała w swoim głosie ton narastającej paniki i oparła się o ścianę.

– Zaczekaj tu – rzekł Freddy, minął ją i ruszył po schodach na dół. Słyszała jego cichnące kroki, a potem inny dźwięk, kiedy szedł przez hol, odgłos otwierania i zamykania drzwi, później zaś kroki w drodze powrotnej.

– Wejdiesz ze mną? – zapytała Flavia. Widząc jego zaskoczoną miną, dodała: – Rozejrzyj się. Chcę mieć pewność...

– Że drzwi na dole były jedynymi, które otworzyli?

Skinęła głową.

– Czy to się wcześniej zdarzało?

– Kilka razy, ale tylko w teatrach. Kwiaty rzucały na scenę, a dziś wieczorem dziesiątki bukietów w mojej garderobie.

Markiz spojrział na jej puste ręce.

– Zostawiłaś je tam?

– Nie chciałam ich. I nie chcę – odparła Flavia i usłyszała strach w swoim głosie.

Spojrziała na stojącego nieruchomo, przyglądającego się jej przyjaciela i wybuchła: – Na litość boską, pomóż mi! Freddy podszedł i objął Flavię najpierw jedną, a potem obiema rękami. Po chwili, szlochając, tuliła się do jego piersi. – Jak on się tutaj dostał? Skąd wie, gdzie mieszkam? Kim on jest?

Markiz nie znał odpowiedzi na te pytania, lecz znajomy dotyk ciała Flavii sprawił, że wróciły niespokojne uczucia, którymi ją kiedyś darzył: miłość, zazdrość, gniew, namiętność, a także te, których nie zniszczył fakt, że go rzuciła: szacunek, przyjaźń, opiekuńczość i zaufanie.

Kochał swoją żonę, lecz stale potrafił myśleć tylko o Flavii. Ona miała teraz

dwoje niemal dorosłych dzieci, a on troje oraz żonę i w życiu skupiał się głównie na nich.

Odsunął się, uważając, by nadal ją obejmować.

– Daj mi chwilę, Flavio, a wejdę tam i sprawdzę – rzekł, po czym dodał: – Skoro kwiaty leżały przed drzwiami, to w środku raczej nikogo nie ma, prawda? – Uśmiechnął się do niej i wzruszył ramionami. Ochroniarz w jedwabnym szlafroku, pomyślała Flavia. Zaraz zdejmie pantofel i zdzieli nim intruza.

Odsunęła się od Freddy'ego, on zaś znalazł właściwy klucz i obrócił go cztery razy w zamku. Usłyszała, jak rygle wysuwają się ze stalowej ościeżnicy. Jeżeli ktoś był w mieszkaniu, to zamknął się od środka, pomyślała Flavia. Freddy pchnął drzwi i wyciągnął rękę do włącznika światła. Zrobił dwa kroki w głąb korytarza i stanął. Flavia weszła za nim.

– Myślałem, że chcesz, abym zajrzał – rzekł markiz, jakby się bał, że jej obecność umniejszy jego odwagę.

– To mój problem – przypomniała.

– To mój dom – odparł Freddy, który dzięki temu, że znał swoje mieszkanie, wyczuł, że nikogo tam nie ma.

Flavia zaskoczyła go wybuchem śmiechu.

– Jesteśmy razem zaledwie od pięciu minut, a już się kłócimy – zauważyła.

Freddy odwrócił się do niej, jakby się zastanawiał, czy to tylko kolejny przykład umiejętności aktorskich, ale łzy jeszcze nie obeschły na jej twarzy i nadal wyglądała jak ktoś, kto przeżył wstrząs.

– Zostań tu i nie zamykaj drzwi – polecił.

Szedł od pokoju do pokoju, zajrzał nawet pod wszystkie łóżka w trzech sypialniach. Otwierał szafy, sprawdził prysznic w łazience dla gości i taras. Nie było nikogo, nie dało się też wyczuć obecności innej osoby. Kiedy wrócił, zastał ją opartą o ścianę przy drzwiach, z odchyloną głową i zamkniętymi oczami. – Nikogo tu nie ma, Flavio – poinformował.

Próbowała się uśmiechnąć. Bezskutecznie.

– Dziękuję ci, Freddy, i przepraszam, że na ciebie krzyczałam.

– Masz pełne prawo krzyknąć. A teraz chodź na górę, porozmawiaj z nami przez chwilę i napij się czegoś.

– A potem co?

– A potem wrócisz tutaj i pójdziesz spać.

– Dlaczego? Nie chcesz, żebym spała w waszym mieszkaniu?

Spojrzenie markiza pozostało ciepłe i serdeczne. Pokręcił głową z udawaną złością.

– Sprawiasz mi zawód, Flavio. Musisz na noc wrócić tutaj, bo inaczej nie będziesz mogła tu dalej nocować. – Podeszedł do drzwi i wskazał na zamek w drzwiach. – Jeżeli zamkniesz je od środka, to nawet strażakom nie uda się wejść, a przecież potrafią otworzyć niemal każdy zamek w tym mieście. – Zanim Flavia zdążyła się odezwać, mówił dalej: – Nikt też nie może w żaden sposób dostać się na taras. Chyba że zechce opuścić się na linie z naszego tarasu, a to przecież bardzo mało prawdopodobne.

Flavia wiedziała, że każde jego słowo jest prawdą; wiedziała, że reaguje zbyt gwałtownie, bo czuje się wyczerpana nerwowo stresem towarzyszącym występowi i nagłym strachem, który poczuła na widok kwiatów. W przeszłości przeżywała już różne lęki, ale była w tym jakaś logika; wiedziała, o co chodzi. Te kwiaty stanowiły zagadkę – wysłane w podziękowanie za dobry występ powinny stanowić wyraz uznania dla jej talentu. Zamiast uznania wyczuwała w nich groźbę i coś poważniejszego niż groźba, coś bliskiego szaleństwu, choć nie miała pojęcia, skąd biorą się te przeczucia.

Odetchnęła głęboko i spojrzała na Freddy'ego.

– Zapomniałam, jakim porządnym i cierpliwym jesteś człowiekiem – wyznała, kładąc mu dłoń na ramieniu. – Dziękuję za zaproszenie, ale chciałabym pójść spać. Za dużo przeżyć: najpierw występ i kwiaty po zakończeniu, potem spotkanie z tymi wszystkimi ludźmi, a teraz to.

Przesunęła dłońmi po twarzy. Gdy ją odłoniła, wyglądała na jeszcze bardziej wyczerpaną.

– W porządku – odparł markiz. – Masz mój numer. Połóż telefon przy łóżku i dzwoń, kiedy chcesz. O każdej porze. Jeżeli coś usłyszysz lub

odniesiesz choćby takie wrażenie, zadzwoń. Dobrze?

Flavia pocałowała go w policzek, tak jak całuje się starego przyjaciela.

– Dziękuję ci, Freddy.

Federico d'Istria podszedł do drzwi i głosem zupełnie wyzbytym dramatyzmu powiedział: – Zamknij za mną. – Poklepał ją po ramieniu i dodał: – Idź spać.

Tak zrobiła. Wcześniej tylko rozebrała się i włożyła stary T-shirt, który zabrała synowi. Ona i Myszka Miki już prawie spali, kiedy sobie przypomniała, że po raz pierwszy nie zadzwoniła po występie do dzieci. Poczucie winy z tego powodu towarzyszyło jej, gdy zapadała w sen.

Rozdział 5

Flavia obudziła się z czymś w rodzaju kaca; uczuciem, które kojarzyło się jej z wypiciem zbyt dużej ilości alkoholu, choć to się już od lat nie zdarzało. Bolała ją głowa, a powieki się kleiły, gdy próbowała je otworzyć. Przeciągając się pod kołdrą, poczuła, że mięśnie pleców oraz ramion ma zeszywniałe i napięte. Nie przypuszczałyby, że tak może się stać za sprawą stresu.

Potem jednak przypomniała sobie o scenicznym skoku z dachu Castel Sant'Angelo, podczas którego rzuciła się na stertę piankowych materacy i zamiast na brzuchu wylądowała lekko bokiem. W chwili upadku odczuła to, lecz oklaski zza kurtyny sprawiły, że o niefortunnym skoku zapomniała.

W nadziei, że ciepło pozwoli usunąć z jej ciała dziwne objawy, wzięta długi, możliwie gorący prysznic, pozwalając, by woda smagała jej głowę, a potem plecy. Owinięta wielkim ręcznikiem i w turbanie na głowie zrobionym z drugiego ręcznika poszła do kuchni, gdzie zaparzyła kawę, którą wypija czarną i bez cukru. Pijąc małymi łykami drugie espresso, weszła do salonu i zbliżyła się do okien wychodzących na taras. W pokojach od frontu słychać było przepływające obok *vaporetti*, które w głębi mieszkania, tam gdzie znajdowały się sypialnie, były ledwie słyszalne. Kolejny kiepski szary dzień rzucał jej gniewne spojrzenie; Flavia podejrzewała, że gdyby otworzyła okna, wyszła na taras i wyciągnęła rękę nad wodą, mogłaby złapać garść wilgoci i przynieść ją do środka.

Stała przy oknie, obserwując, jak łodzie płyną powoli w obu kierunkach. Ze swojego miejsca widziała po prawej stronie *imbarcadero* Santa Maria del Giglio na przeciwnym brzegu kanału; stała tam wystarczająco długo, by przyjrzeć się cumowaniu dwóch tramwajów wodnych.

„Gdyby moje myśli potrafiły biec nie więcej jak w dwóch kierunkach...” – skonstatowała i wróciła do sypialni, żeby sprawdzić, która godzina.

Zegar przy łóżku wskazywał prawie jedenastą; telefon leżący obok zegara

powiedział jej, że Freddy wysłał trzy wiadomości, informując w ostatniej, że jeżeli do południa nie otrzyma od niej żadnych wieści, Silvana pójdzie na dół i zadzwoni do drzwi, on bowiem jest w biurze i nie może tego zrobić.

Napisała wiadomość z prośbą, by odwołał alarm, po czym skasowała ją, zastępując informacją, że spała aż do tej chwili i czuje się o niebo lepiej. Chociaż *telefonino* nie bardzo się do tego nadawał, za jego pośrednictwem podziękowała Freddy'emu za wieczorną pomoc oraz cierpliwość i napisała, że jego przyjaźń jest bezcenna.

Po chwili na wyświetlaczu pojawiła się odpowiedź markiza: „Twoja też, moja droga”. Tylko tyle, ale te słowa ucieszyły ją niezmiernie. Ubrała się szybko: włożyła brązową sukienkę, którą miała od lat i nie chciała się z nią rozstać, oraz brązowe buty na niskim obcasie wystarczająco wygodne, by mogła je nosić podczas wielogodzinnych prób.

Wstąpiła do baru po lewej stronie *calle* prowadzącej do mostu i zamówiła kawę z brioszką. Ledwie złożyła zamówienie, a już zadawała sobie pytanie, czy oszalała i zamierza sabotować próbę, zjawiając się na niej pobudzona zastrzykiem kofeiny i cukru we krwi. Zawołała na barmana i zmieniła zamówienie na *tramezzino* z szynką i mozzarellą oraz szklanekę soku pomarańczowego. Ktoś zostawił na kontuarze egzemplarz „Il Gazzettino” i Flavia przeglądała leniwie gazetę, nie znajdując przyjemności ani w jedzeniu, ani w lekturze. Była jednak dumna z tego, że oparła się pokusie w postaci ciastka i kawy.

Kiedy dotarła do teatru, zastała odźwiernego w przeszklonej portierni. Poprosiła, by powiedział jej coś więcej o mężczyznach, którzy przynieśli kwiaty. On pamiętał jednak tylko, że było ich dwóch. W odpowiedzi na pytanie potwierdził, że byli weneccjanami, chociaż nie przypominał sobie, by któryś z nich dostarczał wcześniej kwiaty do teatru.

Kiedy Flavia odwróciła się, zawołał za nią i zapytał, czy prawdą jest to, co usłyszał od Mariny: że nie chce mieć w garderobie wazonów ani kwiatów. I czy w takim razie mógłby zawieźć część z nich swojej córce. Nie żonie, bo ta zostawiła go i zamieszkała z innym; ale córka – zaledwie piętnastoletnia – uparła się, żeby zostać z nim. Nie, córka nie chciała mieszkać z matką i jej

nowym facetem, a sędzia orzekł, że może zostać u ojca. Dziewczyna bardzo lubiła piękne rzeczy i portier zapytał Marinę, czy może wziąć dla niej jeden z wazonów i trochę kwiatów. Garderobiana zgodziła się pod warunkiem, że *signora*, która postanowiła przekazać kwiaty jej koleżankom, nie będzie miała nic przeciwko temu. A ponieważ tylko dwie z nich pracowały dla Flavii, więc chyba mogłaby je zatrzymać do czasu, aż *signora* powie, że może je przekazać portierowi.

Kolejny raz Flavia zastanawiała się, z jakiego powodu ludzie chcą z nią rozmawiać. A może to tylko zwyczajna oznaka zainteresowania lub ciekawości rodziła ów strumień informacji, bez względu na fakt, kim był słuchacz? Uśmiechnęła się, popatrzyła na zegar nad biurkiem portiera i dała dobitny wyraz zaskoczeniu tak późną porą. – Powiedz Marinie, że ze mną rozmawiałeś i że się zgodziłam. Możesz je wziąć.

– Pani akompaniatora jeszcze nie ma, *signora* – rzekł portier, odwzajemniając wyświadczoną grzeczność. – Mieszka w Dolo, więc często się spóźnia.

– Przecież Dolo nie jest daleko – zauważyła, wskazując niewyraźnym ruchem ręki w domniemanym kierunku lądu stałego.

– To tylko dwadzieścia kilometrów, *signora*, ale on nie ma samochodu.

Jakim cudem dała się wciągnąć w te dywagacje?

– Z pewnością jeździ stamtąd jakiś pociąg lub autobus.

– Oczywiście. Tyle że pociągi kursują teraz rzadko, przynajmniej o tej porze. A podróż autobusem trwa ponad godzinę.

Ponad godzinę? Czyżby we śnie przeniosła się do Burkina Faso?

– Cóż, mam nadzieję, że zaraz dotrze. – Wycofała się z grząskiego gruntu rozmowy i skierowała ku windzie.

Na piętrze spotkała jedną ze sprzątaczek, która powiedziała, że większość kwiatów i wazonów została rozdana, a w szafce Mariny na parterze nadal stoją dwa wazony. Zanim sprzątaczką zdążyła coś dodać, Flavia spojrzała na zegarek tym samym zdziwionym wzrokiem, którym obrzuciła zegar w portierni, i wyjaśniła, że jest już spóźniona na spotkanie ze swoim

akompaniatorem.

Nie chcąc stwarzać wrażenia, że ucieka, zeszła na parter powoli, powtarzając w pamięci dwie arie, nad którymi tego dnia mieli wspólnie pracować.

Od weryzmu do belcanta w jeden miesiąc. Skończyć występy tutaj, spędzić tydzień wakacji z dziećmi na Sycylii, a potem do Barcelony, by tam pracować z mezzosopranistką, którą podziwiała, ale z którą nie miała jeszcze okazji śpiewać. Miał to być jej pierwszy od rozwodu występ w Hiszpanii; jej eksmaż był Hiszpanem, człowiekiem nie tylko bogatym, ale również gwałtownym oraz ustosunkowanym. Dopiero jego ponowne małżeństwo i przeprowadzka do Argentyny otworzyły Flavii drzwi zarówno do Liceu, jak i Teatro Real, gdzie mogła występować w rolach, które pragnęła zaśpiewać od lat: Marii Stuart i Anny Boleyn Donizettiego, obu tracących głowę, chociaż z odmiennych przyczyn i do odmiennej muzyki.

W La Fenice oddano do jej dyspozycji pokój prób, w którym mogła się przygotowywać do tych ról. Ponieważ miała w nich wystąpić w innym teatrze, było to wielkoduszne ustępstwo ze strony opery. Jej pokój mieścił się na końcu korytarza, po prawej stronie.

Gdy mijiała pierwsze drzwi, usłyszała za nimi fortepianowe nuty radosnej introdukcji do arii, którą rozpoznała, ale nie umiała jej zidentyfikować. Kolejne tony brzmiały jak zaczerpnięte z bardzo wesołej arii, jednakże pamięć muzyczna podpowiadała Flavii, że jest zupełnie inaczej, że ta beztraska jest całkowicie fałszywa. Ledwie to pomyślała, a muzyka stała się złowieszczą.

Rozległ się niski kobiecy głos i słowa: *Se l'inganno sortisce felice, io detesto per sempre virtù.*

Gdy śpiewaczka zaczęła rozwijać tę wokalną refleksję, Flavia przypomniała sobie, co to za aria. Co, na miły Bóg, robił tu Händel i – rzecz jeszcze bardziej niewiarygodna – Polinesso, wróg Ariodantego? Głos wzniósł się w partii koloraturowej i wówczas Flavia się zdziwiła, ponieważ zręczność, z jaką wokalistka będąca kontraltem dokonywała tych przeskoków, cechowała sopranistki, tyle że obdarzone mrocznym dolnym rejestrem.

Oparła się o ścianę korytarza i zamknęła oczy. Dobrze rozumiała każde słowo: spółgłoski artykułowane czysto, samogłoski otwarte dokładnie tak, jak być powinno. „Jeżeli podstęp się uda, na zawsze znienawidzę cnotę”. Melodia nieznacznie zwolniła i głos Polinessa stał się bardziej groźny: *Chi non vuol se non quello, che lice, vive sempre infelice quaggiù*. Flavia poddała się przyjemności płynącej z kontrastu: melodia biegła skocznie dalej, jakby nie posiadając się z radości, gdy Polinesso wygłaszał prawdę, że każdy, kto zawsze postępuje słusznie, nigdy nie będzie miał w życiu szczęścia.

Potem wokalistka powróciła do części A i kolejną koloraturą błyskawicznie podążała za nutami, trącając lekko każdą z nich, by znowu pędzić niczym podczas wyścigu. Dwa lata wcześniej Flavia widziała *Ariodante* w Paryżu, gdy jeden z jej przyjaciół występował w dość niewdzięcznej roli Lurcania; zapamiętała troje śpiewaków, ale nie Polinessa, który mógł jedynie marzyć o śpiewaniu na takim poziomie. Wokalne ozdobniki stały się jeszcze bardziej obłąkańcze, wystrzeliwując w górę, by zaraz opaść w najniższe rejony skali kontraltowego głosu. Końcowa wędrówka w górę i w dół skali sprawiła, że Flavia osłabła z fizycznej rozkoszy i poczuła niemałą ulgę na myśl, że nigdy nie będzie musiała konkurować z tą śpiewaczką, kimkolwiek ona była. W chwili gdy doszła do tego wniosku, z prawej strony dobiegł do niej męski głos: – Flavio, już jestem.

Odwróciła się, lecz czar muzyki był tak silny, że dopiero po chwili rozpoznała Riccarda – *ripetitore*, z którym wcześniej pracowała nad *Toscą* i który zaproponował, że pomoże jej w przygotowaniach do występu w operze Donizettiego. Niskiego, krępego i brodatego Riccarda, obdarzonego w dodatku krzywym nosem, można było z łatwością wziąć za człowieka skłonnego do agresji, a mimo to w swojej grze przejawiał wrażliwość i klarowność, zwłaszcza w łagodnych introdukcjach do arii, na które jego zdaniem zbyt wielu śpiewaków nie zwracało dostatecznej uwagi. W tygodniach wspólnej pracy nad operą Pucciniego pokazał jej wiele niuansów tej muzyki, których nie dostrzegała, czytając nuty, ani nie słyszała, gdy śpiewała ją samodzielnie.

Robiąc pauzy po ustępach – które jego zdaniem wymagały teatralnego

podkreślenia – sprawił, że te detale stały się słyszalne. Dopiero po pierwszym udanym występie Flavii, gdy jego praca faktycznie się zakończyła, przyznał, jak bardzo nie lubi *Toski*. Według Riccarda opera skończyła się wraz ze śmiercią Mozarta.

Pocałowali się. Zaczął jej gratulować wspaniałego występu poprzedniego wieczoru, ale Flavia przerwała mu, żeby zapytać, wskazując drzwi naprzeciw siebie: – Wiesz, kto tam jest?

– Nie – odparł Riccardo. – Przekonajmy się – dodał i zapukał, nim Flavia zdążyła go powstrzymać.

– *Momento!* – odpowiedział mu kobiecy głos, po czym drzwi otworzył im wysoki mężczyzna trzymający kilka kartek papieru nutowego. – *Cosa c'è?* – zapytał, wychodząc na korytarz, kiedy jednak rozpoznał kolegę, a potem Flavię, przystanął i podniósł nuty na wysokość piersi, jakby pragnął się za nimi ukryć. – *Signora Petrelli* – rzekł, nie będąc w stanie opanować zaskoczenia ani powiedzieć nic więcej. Za nim Flavia ujrzała dziewczynę, która poprzedniego wieczoru czekała przy wyjściu dla aktorów, tę z pięknym głosem i nerwowym sposobem bycia.

Dzisiaj, z włosami odgarniętymi z twarzy i bez makijażu, wyglądała o wiele lepiej. Okazało się, że bez źle dobranej szminki ma całkiem ładną twarz. Ona także trzymała nuty i Flavia dostrzegła w niej blask bijący od kogoś, kto właśnie dobrze zaśpiewał i zdaje sobie z tego sprawę.

– Świetnie cię uczą w tym Paryżu, moja droga – powiedziała Flavia, bez pytania przestępując próg pokoju i podchodząc do dziewczyny. Pochyliła się i pocałowała ją w oba policzki, poklepała po ręce, uśmiechnęła się i znowu dotknęła ramienia młodej śpiewaczki. – Zdumiewa mnie, że próbowałaś zaśpiewać taką rolę. – Zanim dziewczyna zdążyła powiedzieć coś tytułem obrony bądź wyjaśnienia, Flavia ciągnęła: – Ale nadajesz się do niej wyśmienicie, nawet w twoim wieku. Co jeszcze przygotowujesz? Dziewczyna już otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, ale wydawało się, że nie jest w stanie wykrztusić słowa.

– Ja... ja... – zaczęła, po czym przerzuciła kartki i wskazała na jedną z nich.

– *Lament Oktawii* – przeczytała Flavia. – Rozdziera serce, prawda? –

zapytała dziewczynę, która skinęła głową, ale okazało się, że nadal nie potrafi wypowiedzieć nawet słowa.

– Zawsze chciałam ją zaśpiewać, ale tonacja jest dla mnie zdecydowanie za niska.

Flavia otrząsnęła się nagle i powiedziała, zwracając się zarówno do dziewczyny, jak i pianisty: – Przepraszam za najście.

– Właśnie kończyliśmy – odparł mężczyzna. – Sesja trwa godzinę, a jesteśmy tu znacznie dłużej.

Flavia zerknęła na dziewczynę, która chyba już się nieco uspokoiła i zdołała zapytać: – Naprawdę się pani podobało?

Tym razem Flavia się roześmiała.

– Zostało to pięknie zaśpiewane. Właśnie dlatego weszłam: żeby ci to powiedzieć.

Dziewczyna znowu się zarumieniła i zagryzła wargę, jakby usiłowała powstrzymać łzy.

– Jak się nazywasz?

– Francesca Santello.

– To moja córka, *signora* – zaznaczył pianista. Wystąpił naprzód i wyciągnął rękę. – Ludovico Santello.

Flavia uścisnęła mu dłoń i podała rękę dziewczynie.

– Pozwólcie, że teraz sama zabiorę się do pracy – powiedziała, uśmiechając się do obojga i odwracając do Riccarda, który stał w progu.

Posławszy dziewczynie życzliwe skinienie głową, Flavia wyszła z pokoju i ruszyła w głąb korytarza. Drzwi zamknęły się i usłyszeli dobiegające zza nich głosy. Korytarzem szło w ich stronę kilka rozmawiających ze sobą osób. Kiedy je minęli, Flavia powiedziała: – Ta dziewczyna ma wspaniały głos. Myślę, że będzie z niej znakomita śpiewaczka.

Riccardo wyjął z kieszeni klucz do pokoju prób i odparł: – Pozwól, że powiem, iż już nią jest. – Otworzył drzwi i przytrzymał je dla Flavii.

Nie przestając mówić, weszła do pokoju.

– Nieczęsto osoby tak młode są jednocześnie tak... – urwała w pół zdania na widok bukietu w niewielkim szklanym wazonie. Kwiaty stały na fortepianie, a o wazon oparta była mała biała koperta.

Flavia podeszła do instrumentu, podniosła kopertę i bez zastanowienia wręczyła ją mężczyźnie, mówiąc: – Mógłbyś ją otworzyć i przeczytać to, co jest w środku?

Jeżeli nawet Riccardo uznał jej prośbę za dziwną, nie pokazał tego po sobie. Otworzył kopertę i wyciągnął z niej zwykłą białą kartkę. Zwracając się do Flavii, przeczytał: *„Sprawiłaś mi zawód tym, że rozdałaś róże. Mam nadzieję, że nie zrobisz tego więcej”*. – Jest podpis?

Riccardo odwrócił kartkę, obejrzał kopertę, po czym odłożył wszystko na fortepian.

– Nie. Nic nie ma. – Zerknął na Flavię i spytał: – Coś się stało?

– Nic. – Flavia umieściła teczkę z nutami na pulpicie, wzięła wazon z kwiatami i wystawiła go na korytarz. – Wydaje mi się, że pracowaliśmy nad zakończeniem drugiego aktu – przypomniała.

Rozdział 6

W drodze do domu Brunetti i Paola rozmawiali o przedstawieniu. Każdemu podobało się ono w inny sposób. Brunetti widział Flavię w roli Violetty tylko raz, a było to w telewizji, w latach gdy producenci RAI uważali jeszcze operę za wystarczająco ważny gatunek muzyki, by warto ją było transmitować. Później opera zniknęła z małych ekranów, a także z wszelkich poważnych rozważań na łamach prasy. Oczywiście od czasu do czasu ukazywał się jakiś związany z operą artykuł, ale więcej miejsca poświęcano w nim stanowi cywilnemu śpiewaków i jego zmianom niż ich twórczości artystycznej.

Nie sposób uwierzyć, że minęło aż tyle czasu, odkąd ostatnio widział Flavię w *Traviacie*. Przyglądał się jej umierającej ze ściśniętym sercem i pragnął wkroczyć na scenę, by ją ocalić. Wiedział wówczas – tak samo jak wiedział, że dusze Paola Malatesty i Franceski z Rimini spędzą wieczność targane piekielnym wiatrem – że Violetta wykrzyczy swą radość z powrotu do życia i sił, a potem padnie martwa. Była to tylko sceniczna opowieść i miał świadomość, że chociaż Tosca zabiła Scarpinę i zaraz rzuci się w przepaść, za parę minut ponownie wróci na scenę, uśmiechając się i machając do publiczności. Nie mogło to jednak zmienić realiów: dokonała morderstwa i popełniła samobójstwo. Fakty nie miały znaczenia – tylko sztuka była rzeczywista.

Paola w ostatnich latach nabrała większego upodobania do opery i chociaż uważała, że fabuła jest niedorzeczna, występem Flavii była zachwycona.

– Chętnie zobaczyłabym ją w jakimś ciekawym przedstawieniu – wyznała, kiedy dotarli na szczyt Ponte Rialto.

– Przecież mówiłaś, że ci się podobało – przypomniał Brunetti i ruszył w dół schodów, nagle zmęczony. Chciał jedynie napić się czegoś i pójść spać.

– Momentami jej kreacja była fascynująca – przyznała Paola. – Ale wiesz, że ja płaczę, gdy ginie matka Bambiego. – Wzruszyła ramionami.

– Więc?

– Więc nigdy nie dam się ponieść operze tak jak ty. Zawsze będę miała zastrzeżenia co do stopnia jej powagi. – Mówiąc to, poklepała męża po ramieniu, po czym, kiedy dotarli do stóp schodów i ruszyli wzdłuż *riva*, ujęła go pod rękę. – Może wynika to z faktu, że ty tak dużo czytasz o historii – dodała bardziej refleksyjnie.

– Słucham? – zdziwił się, kompletnie zdezorientowany.

– Większość dzieł historycznych... przynajmniej takich, które ty czytasz... jest pełna kłamstw: Cezar zmuszony objąć władzę wbrew swojej woli; Neron grający na lutni, gdy płonie Rzym; Kserkses nakazujący wychłostać wody Hellespontu. Tak wiele tego, co podawane jest za prawdę w tych książkach, to tylko pogłoski i legendy.

Brunetti przystanął i odwrócił się do żony.

– Nie wiem, co starasz się przez to powiedzieć. Myślałem, że rozmawiamy o operze.

– Sugeruję jedynie, że przyswoiłeś sobie dar słuchania – odparła Paola. Sądząc z tego, jak zwolniła przy ostatnich słowach tempo zarówno wypowiedzi, jak i marszu, Brunetti wiedział, że nie skończyła jeszcze swojej myśli, więc milczał. – W swojej pracy nauczyłeś się zwracać uwagę na wszystko, co do ciebie mówią.

– To dobrze czy źle?

– Zwracanie uwagi na słowa zawsze jest dobre – odpowiedziała natychmiast Paola, zmuszona pociągnąć go za rękę, żeby ruszył z miejsca.

Brunetti pomyślał o gazetach i czasopiśmie, które czytał, raportach o przestępstwach pisanych przez jego kolegów, o raportach ministerialnych. Paola miała rację: większość zawierała tyle samo faktów co fikcji i czytał je z tą świadomością.

– Chyba masz rację – rzekł. – Często nie sposób dostrzec różnicy.

– I o to właśnie chodzi w sztuce – zauważyła Paola. – *Tosca* jest stekiem kłamstw, ale wydarzenia z życia tytułowej postaci są prawdziwe.

Jak prorocze były te słowa, Brunetti miał się przekonać dwa wieczory

później, kiedy spotkali się z Flavią na kolacji w domu rodziców Paoli. Oboje zjawili się o wpół do dziewiątej i zastali hrabiego oraz hrabinę w salonie głównym – tym, którego okna wychodziły na *palazzi* po drugiej stronie Canal Grande. Flavii Petrelli jeszcze nie było.

Był zaskoczony, jak niedbale są ubrani jego teściowie, dopóki nie zdał sobie sprawy, że niedbały strój oznacza tylko, że krawat hrabiego jest wełniany, a nie jedwabny, natomiast hrabina ma na sobie czarne spodnie z jedwabiu zamiast sukni. Dostrzegł jeszcze wyłaniającą się spod rękawa zakietu bransoletkę, którą hrabia przywiózł żonie przed paru laty z podróży służbowej do Afryki Południowej. Cóż, skoro z Zurychu przywiózł jej czekoladki, to brylanty z Afryki Południowej były jak najbardziej stosowne.

Siedzieli na ustawionych naprzeciwko siebie kanapach, rozmawiając o dzieciach, ich szkołach, a także związanych z dziećmi nadziejach – czyli o sprawach, jakie zawsze są tematem rozmów w rodzinie. Dziewczyna Raffiego, Sara Paganuzzi, wyjechała na roczne studia w Paryżu, ale on jeszcze nie pojechał do niej w odwiedziny, co skłaniało czwórkę dorosłych do bezustannych spekulacji, co się w ich związku dzieje. Albo nie dzieje. Chiara wydawała się wciąż odporna na urok dorastających chłopców, co zebrani członkowie rodziny rozumieli i w pełni aprobowali.

– To się niebawem skończy – stwierdziła Paola, wyrażając odwieczny pesymizm matek młodych dziewcząt. – Pewnego dnia pojawi się na śniadaniu w obcisłym sweterku, umalowana dwa razy mocniej niż Sophia Loren.

Brunetti z jękiem złapał się za głowę, a potem warknął: – Mam broń. Mogę go zastrzelić. – Wyczuł, że wszyscy gwałtownie zwracają ku niemu głowy, więc powoli przesunął dłońmi po twarzy, ujawniając uśmiech. – Czyż nie to powinni deklarować ojcowie nastoletnich dziewcząt?

Hrabia wypił łyk swojego prosecco i zauważył szyderczo: – Zaczynam podejrzewać, że powinienem był wypróbować to rozwiązanie, kiedy Paola po raz pierwszy przyprowadziła cię do domu, Guido.

– Przestań, Orazio – upomniała go *contessa*. – Wiesz, że dopiero po kilku latach przestałeś uważać Guida za intruza. – Gdyby nie to, że teściowa wyciągnęła rękę, żeby go poklepać po kolanie, ta informacja stanowiłaby dla

Brunettiego niewielkie pocieszenie. – Tak naprawdę jego niechęć trwała zdecydowanie krócej, mój drogi. – Jak miło byłoby w to wierzyć, pomyślał Brunetti.

Dalszą część wypowiedzi przerwało jej przybycie Flavii Petrelli, która została wprowadzona do salonu przez służącą. Wyglądała na mniej zmęczoną niż przedwczorajszego wieczoru i wchodząc, uśmiechnęła się do nich wszystkich serdecznie. Hrabia natychmiast wstał i ruszył ku śpiewaczce.

– Ach, *signora* Petrelli, nie wie pani, jak bardzo się cieszę, że mogła pani przyjść. – Ujął dłoń artystki i pochylił się, markując pocałunek kilka milimetrów nad wierzchem jej dłoni, po czym wziął ją pod rękę, by poprowadzić w kierunku pozostałych, dumny niczym myśliwy, który upolował dorodnego bażanta i niósł go do domu na obiad.

Brunetti wstał, widząc, jak się zbliżają, ale zadowolił się uściskiem dłoni i wyrażeniem radości z ponownego spotkania. Paola również wstała i pozwoliła sobie na poufałą wymianę pocałunków z Flavią. *Contessa* pozostała na kanapie, ale poklepała poduchę i poprosiła, żeby *signora* Petrelli usiadła obok niej. Kiedy Flavia spełniła prośbę, hrabina wyznała, że podziwia jej śpiew, odkąd usłyszała ją debiutującą w teatrze La Fenice w roli Zerliny. Fakt, że nie wspomniała roku tego debiutu, przypomniał Brunettiemu, jak wielu dyplomatów rodzina hrabiny dała zarówno Watykanowi, jak i włoskiemu państwu.

– To było piękne przedstawienie, prawda? – zauważyła Flavia, co doprowadziło do dyskusji o dramaturgii, dekoracjach oraz inscenizacji, a także przymiotach innych śpiewaków i śpiewaczek w jego obsadzie. Brunetti zauważył, że Petrelli nie odniosła się do własnego występu i chyba nie odczuwała pragnienia ani potrzeby zbierania pochwał na swój temat.

Pamiętał tę ściągającą na siebie całą uwagę kobietę, którą spotkał przed laty, i zastanawiał się, gdzie się podziała. Czy ta spokojna rozmowa jest tylko kolejnym przykładem jej niezwykłych umiejętności aktorskich, których był świadkiem w przeszłości?

Hrabia wręczył Flavii kieliszek prosecco i usiadł naprzeciwko, pozwalając zonie wciągnąć gościa we wspomnienia o przedstawieniu, którego sam nie

widział. Kiedy w rozmowie zbliżyli się do czasów bliższych *Tosce*, powiedział, że zamówił już bilety na ostatni spektakl, ponieważ ich plany się zmieniły i w Londynie zatrzymają się tylko na krótko.

– O ile się odbędzie – odparła Flavia ku ogólnej konsternacji.

– Nie rozumiem – rzekł hrabia.

– Mówi się o strajku podczas dwóch ostatnich przedstawień. Zwyczajna historia: umowa nie została przedłużona, więc grożą, że nie będą pracować. – Zanim zdążyli dać wyraz swojemu zaskoczeniu, Flavia podniosła rękę w uspokajającym geście i dodała: – Tylko obsługa sceny i jest mało prawdopodobne, by przyłączył się do niej ktoś jeszcze. Tak więc nawet jeżeli rzeczywiście zastrajkują, możemy wyjść i zaśpiewać.

Zjawiła się służąca, by powiedzieć, że kolacja gotowa. Hrabia wstał i podał śpiewacze ramię; Brunetti wziął pod rękę teściową, po czym w szokującym akcie naruszenia etykiety podciągnął Paolę z kanapy i nie wypuszczając jej dłoni, wprowadził obie kobiety do jadalni; żadne z nich nie wracało już do rozmowy o ewentualnym strajku.

Komisarz wylądował przy stole naprzeciwko Flavii, która nadal rozmawiała z hrabiną; tym razem tematem stały się jej wrażenia z pobytu w Wenecji, do której wróciła po długiej przerwie.

Gdy służąca podawała *involtini* z pierwszymi o tej porze roku zielonymi szparagami, Flavia spojrzała na twarze osób zebranych przy stole.

– Wszyscy jesteście weneccjanami, chyba więc powinnam zachować swoją opinię dla siebie.

Zapadła cisza. Brunetti wykorzystał tę przerwę w rozmowie oraz fakt, że wszyscy zajęli się jedzeniem, do przyjrzenia się twarzy Petrelli. Jego początkowa ocena okazała się błędna: Flavia wcale nie była zrelaksowana. Zauważył, że je niewiele i nie tknęła wina. Pamiętał, jak głębokie wrażenie zrobiło na nim przed laty piękno jej głosu, nie tylko ton, ale i płynność, z jaką przechodziła od frazy do frazy, wypowiadając wyraźnie każdy wyraz, odmiennie niż inni. Tego wieczoru od czasu do czasu zacinała się na jakimś słowie, a raz nawet nie skończyła zdania i wydawało się, że zapomniała, co chciała powiedzieć. Ton jej głosu odznaczał się jednak taką samą anielską

łagodnością.

Nieobeznany ze stresem, na jaki narażone były w swojej pracy artystki operowe, komisarz zadał sobie pytanie, czy w ogóle bywają w pełni zrelaksowane, zanim tytuł zejdzie z afisza i zostaną uwolnione od konieczności martwienia się o zdrowie, głos, pogodę i kolegów z zespołu. Idąc dalej tym tokiem rozumowania, spróbował sobie wyobrazić, jak to jest myśleć przez cały dzień o pójściu do pracy na wieczór – niczym ci sportowcy, którzy skazani są na rywalizowanie ze sobą wyłącznie w późnych godzinach. Kiedy dostroił się z powrotem do rozmowy, usłyszał, że Flavia pyta hrabiego, jakie opery obejrżeli w tym sezonie.

– Ach... – westchnął gospodarz. Wymienił spojrzenia z żoną, odchrząknął i w końcu odparł z uśmiechem: – Muszę przyznać, że niczego jeszcze nie zdołałem obejrzeć. – Brunetti wyczuł w jego głosie tę samą nerwowość, jaką wcześniej usłyszał w głosie Flavii. – Ta z pani udziałem będzie pierwsza.

Flavia rozgrzeszyła go samym spojrzeniem.

– W takim razie czuję się zaszczycona. – Już miała coś dodać, ale przeszkodził jej powrót służącej, która przyszła sprzątnąć ze stołu, by po chwili wrócić z porcjami *merluzzo con spinaci*.

Kiedy wyszła, hrabia skosztował ryby, skinął głową i rzekł: – Nie sędzę, *signora*. To tutejszy teatr powinien szczyć się tym, że pani w nim śpiewa.

Flavia zmarszczyła czoło z nieskrywanym niedowierzaniem i spojrzała na Brunettiego, lecz zwróciła się do gospodarza: – Wcale tak nie jest, *signor conte*, ale dziękuję za komplement. – Poważniejszym już głosem dodała: – Było to prawdą czterdzieści, pięćdziesiąt lat temu. Wtedy to byli śpiewacy!

I każdy teatr był zaszczycony, że gości ich na swojej scenie.

Gdy Brunetti odnotowywał w swojej świadomości nową kategorię „śpiewaczej skromności”, hrabina zapytała: – Odnosi pani te słowa do tego teatru?

– Uznałam za rzecz rozsądną nie komentować poczynań osób, które proponują mi pracę – odparła Flavia, zwracając się do hrabiny, ale jak podejrzewał Brunetti, mówiła to do nich wszystkich. Po czym wyraziła swą

potrzebę przekazania opinii hrabiemu w pytaniu: – Dorastał pan razem z La Fenice, hrabio. Chyba dostrzegł pan zmianę w poziomie tutejszych śpiewaków?

– Nie doczekawszy się odpowiedzi, dodała: – Ma pan *abbonamento*, więc mógł pan usłyszeć tę zmianę w ciągu minionych lat. – Brunetti zauważył, w jaki sposób Petrelli uniknęła pytania wprost, dlaczego jego teść nie był na przedstawieniach w tym sezonie.

Mężczyzna odchylił się na krzesło i wypił łyk wina.

– Przypuszczam, że to przypomina sytuację, gdy ma się kuzyna, który zszedł na złą drogę: okradł swoich krewnych, zadawał się z rozwiązłymi kobietami, kłamliwie zaprzeczał kradzieży i nie trafił za kratki tylko dzięki zamożności rodziny. – Hrabia uśmiechnął się, znów wypił trochę wina i wyraźnie ciesząc się z użytego porównania, dodał: – Ale bez względu na to, co wyczynia i jakie sumy kradnie, pamiętasz, jak czarujący był w młodości i jak miło spędzałeś czas z nim oraz jego przyjaciółmi, kiedy wszyscy byliście chłopcami. Kiedy więc dzwoni do ciebie podchmielony o drugiej nad ranem i mówi, że ma nowy wspaniały pomysł na swoją firmę albo nową kobietę, z którą chce się ożenić, ale potrzebuje na to trochę pieniędzy od ciebie, dajesz mu je, chociaż wiesz, że nie powinienes. Masz świadomość, że wyda je na kosztowne wakacje, być może z tą nową kobietą lub inną, ze swojej bujnej przeszłości. I wiesz, że nie zwróci ci ani centa; przede wszystkim jednak wiesz, że za sześć miesięcy lub za rok historia się powtórzy.

– Hrabia postawił kieliszek na stole i pokręcił głową w udawanej desperacji, po czym potoczył wokół wzrokiem. – Ale to członek rodziny.

– Wielki Boże! – wybuchnęła śmiechem Flavia. – Nie pozwól, bym o tym myślała, kiedy zobaczę się z dyrektorem. – Śmiała się tak gwałtownie, że musiała zakryć usta serwetką i odwrócić wzrok. Gdy już przestała, spojrzała na hrabiego i powiedziała: – Mogłabym pomyśleć, że pan tam pracował.

Rozdział 7

Jakby za milczącą zgodą, że nie da się przebić żartobliwej uwagi Flavii, temat opery został zamknięty. Paola zapytała Flavię o jej dzieci; syn śpiewaczki był w wieku Chiary, a córka trochę młodsza od Raffiego. Flavia z widocznym zadowoleniem odparła, że dobrze sobie radzą w międzynarodowej szkole w Mediolanie, gdzie sama mieszka przez większość roku, i dodała – najwyraźniej starając się nie przechwalać – że mają szczęście, bo biegle władają włoskim, hiszpańskim i angielskim. Brunetti zauważył, że w jedynym komentarzu na temat eksmeża ograniczyła się do tego, że jest on Hiszpanem.

Rozmowa stała się bardziej ogólna i Brunetti dorzucił od siebie kilka uwag, ale jego zainteresowanie wzbudziła wyraźna nerwowość śpiewaczki. Przedwczoraj sprawiała wrażenie dość zadowolonej, że go widzi, więc źródłem tego zdenerwowania nie mogło być spotkanie z kimś, kto kiedyś zdobył sporą wiedzę o jej życiu prywatnym. Hrabia i hrabina, gdy byli zrelaksowani i swobodni, spokojem natchnęliby nawet whippetta, być może dlatego, że pies raczej nie zwróciłby uwagi na wiszący w salonie portret Tycjana i herby wygrawerowane na sztućcach. Komisarz zaobserwował też, że Paola stara się zaprezentować jak najlepiej jako matka.

Contessa zapytała Flavię o plany koncertowe i śpiewaczka odparła, że będzie w Wenecji jeszcze przez tydzień, potem ma trochę wolnego, a następnie wyrusza do Barcelony. Brunetti uznał za ciekawe, że nie powiedziała, dokąd wybiera się po występach w Wenecji ani kiedy jedzie śpiewać do Hiszpanii. Zawsze uważał, że ludzie na ogół są aż nazbyt skłonni do mówienia o sobie – skromność u artysty była czymś zaskakującym.

Paola zaskoczyła ich wszystkich, mówiąc: – To pewnie niełatwe życie.

Flavia gwałtownie zwróciła głowę w jej stronę, potem jednak spuściła wzrok i wzięła do ręki kieliszek. Umyślnie powoli piła z niego wino, po czym odstawiła go i odparła: – Owszem, bywa trudne. Ciągłe podróże, samotne

pobyty w jakimś mieście... nieraz przez wiele tygodni. Tęsknię za dziećmi, ale one są już w wieku, w którym nie bardzo chcą spędzać wolny czas z matką. – Po chwili, chyba świadoma, że mogło to zabrzmieć jak użalanie się nad sobą, szybko dodała: – Przez te wszystkie lata pracowałam z tyloma osobami, że w ekipie zawsze jest ktoś, kogo znam. To ułatwia sprawę.

– Mogę zapytać, co stanowi w tym rzecz najgorszą? – powiedziała *contessa*, po czym spróbowała złagodzić swoje pytanie, dodając: – Tak rzadko bywam sama, że muszę przyznać, iż dla mnie to kusząca perspektywa.

– Nie ma rzeczy najgorszej – odparła Flavia i w tym momencie Brunetti pomyślał, że w końcu słyszy to, co ona naprawdę myśli. – Podejrzewam, że nie ma nawet tego, co mogłabym nazwać rzeczą całkowicie złą. Tak tylko marudzę.

Rozejrzała się i zauważyła, że wszyscy uważnie jej słuchali.

– Śpiewanie zawsze daje radość, szczególnie gdy wiesz, że śpiewasz dobrze i jeżeli możesz współpracować z dobrymi kolegami. – Napiła się wody, a potem dodała: – Sądzę, że nie różni się to od żadnej pracy, która wymaga wielu przygotowań i namysłu... takiej jak konserwacja obrazów bądź robienie butów. Poświęcasz dużo czasu nauce, jak to wykonać, ale w efekcie otrzymujesz piękny gotowy produkt. – Brunetti pomyślał, że to porównanie sprawdza się tylko po części; śpiewakom pozostawało jedynie wspomnienie. Przynajmniej w czasach przed erą YouTube'a.

Flavia nie skończyła.

– Dni mogą się bardzo dłużyć, gdy jest się samemu w obcym mieście. Bądź w takim, za którym się nie przepada. Może właśnie to jest rzeczą złą.

– Za którymi miastami nie przepadasz? – wtrącił pytanie Brunetti.

– Za Brukselą – odparła Flavia bez wahania. – I Mediolanem.

Komisarz też nie lubił tych miast, ale nie wspomniał o tym, że zdecydowała się zamieszkać w jednym z nich.

– Męczy panią słuchanie ludzi mówiących, jak ekscytujące musi być pani życie? – zapytała *contessa*, zaciekawiona odpowiedzią i gotowa okazać współczucie.

Flavia się roześmiała.

– Sama już nie wiem, ile razy to słyszałam. Przypuszczam, że ludzie mówią to wszystkim, którzy dużo podróżują.

– Ale nikt by tego nie powiedział księgowemu ani agentowi ubezpieczeniowemu, prawda? – zauważyła Paola.

– Wątpię – odpowiedziała Flavia. Umilkła na moment, po czym zauważyła:
– Dziwne jest, że ludzie, którzy tak mówią, prawdopodobnie w ogóle nie rozumieją, jak w rzeczywistości wygląda nasze życie.

– Fanów naprawdę to ciekawi? – zapytała Paola.

Flavia odruchowo odsunęła się na krześle, jakby próbowała uciec od tych słów.

– Co się stało? – zapytała hrabina, której zaniepokojenie było słychać równie wyraźnie, jak widoczny był niepokój Petrelli.

– Nic – odparła Flavia. – Nic.

Brunetti poczuł, że atmosfera się zagęszcza. Flavia nie była w stanie wydusić z siebie niczego więcej, a pozostali starannie unikali spoglądania na siebie z obawy, że zwrócą uwagę na jej dziwne zachowanie. W końcu kobieta ściśniętym głosem spytała Paolę: – Ktoś ci powiedział?

– Powiedział? O czym? – zdziwiła się wyraźnie speszona Paola.

– O kwiatkach.

Paola nachyliła się ku śpiewaczce, jakby liczyła, że z bliska łatwiej będzie ją zrozumieć.

– Flavio, nie wiem, o czym mówisz – powiedziała, obserwując jej twarz i czekając, aż stanie się oczywiste, że te słowa do niej dotarły. Mówiąc powoli i wyraźnie, kontynuowała: – Nie wiem o żadnych kwiatkach.

Petrelli pochyliła głowę nad stołem i położyła nóż w poprzek. Popychając jego końce palcami wskazującymi, kilka razy obróciła nim o sto osiemdziesiąt stopni, jakby był wskazówką prędkościomierza w samochodzie prowadzonym przez bardzo niekonsekwentnego kierowcę. Nie patrząc na Paolę, wyznała: – Ktoś przysłał mi kwiaty. – Nerwowość w jej głosie została złagodzona banalnością wypowiedzianych słów.

– I to cię przeraża? – zapytała Paola.

Flavia obróciła nóż prostopadle do brzegu stołu, zanim odwzajemniła spojrzenie żony komisarza.

– Tak. Są ich dziesiątki, po dziesięć, dwanaście bukietów. Na scenie. W mojej garderobie.

– Popatrzyła na Brunettiego. – I przed moim mieszkaniem.

– Przed budynkiem czy w środku, pod drzwiami mieszkania? – upewnił się Brunetti.

– W środku – odparła Flavia. – Zapytałam mojego przyjaciela, który mieszka piętro wyżej, czy coś mu o tym wiadomo, ale zaprzeczył. Nikt nie prosił go o otwarcie drzwi budynku.

– Czy w tym budynku mieszkają inne osoby? – zapytał Brunetti, mówiąc już tonem policjanta.

– Tak. Ale wyjechały.

Nie rozumiejąc tak naprawdę przyczyn ewidentnego strachu śpiewaczki, Brunetti zdał sobie sprawę, że pewnie to właśnie nie daje jej spokoju. Kwiatów nie wysyłano, by grozić, ale po to, żeby sprawić przyjemność bądź dać wyraz uznaniu. Doręczyciel mógł zastać główne drzwi otwarte; mogła otworzyć je służąca. Hrabia oszczędził Brunettiemu konieczności zasugerowania jednej z tych możliwości, pytając: – Czy coś takiego zdarzało się pani wcześniej, moja droga?

Okazało się, że serdeczna troska w jego głosie i czułe słowa na końcu pytania to dla Flavii zbyt dużo; spojrzała na niego, lecz przekonała się, że nie jest w stanie nic powiedzieć. W jej oczach pojawiły się łzy. Podniosła rękę i poruszyła ją bezwiednie w powietrzu, a hrabia podniósł kieliszek i trzymał go, czekając, aż wróci jej odwaga. Wszyscy milczeli.

W końcu Flavia powiedziała: – Mam wielbicieli, ale zawsze zachowywali się przyjaźnie. Nie w taki sposób. To mnie przeraża.

– Od jak dawna to się dzieje, moja droga? – zapytał gospodarz, odstawiając kieliszek z nietkniętym winem.

– Mniej więcej od dwóch miesięcy – odparła Flavia, po czym dodała: – W

Londynie i w Petersburgu. A teraz tutaj.

Hrabia skinął głową, by zasugerować, że uznaje jej reakcję za naturalną i usprawiedliwioną.

– To przekracza wszelką miarę – ciągnęła Petrelli. – Kwiatów jest za dużo i to wszystko wskazuje na wielką chęć zwrócenia uwagi.

– Na panią? – zdziwił się hrabia.

– Nie, na człowieka, który je przysyła. To właśnie jest w tym niewłaściwe. Przysłał liścik z informacją, że wie, że je wyrzuciłam. – Ton jej głosu był wyższy niż zwykle.

– Co zrobiłaś z tym liścikiem? – zapytał Brunetti spokojnym głosem.

Spojrzenie, które mu posłała, było przepełnione złością.

– Podarłam go i wyrzuciłam do kosza w teatrze.

Brunetti zaczął rozumieć jej reakcję. Ludzie zostawiali kwiaty przy wyjściu dla artystów lub podchodzili do sceny i w hołdzie śpiewakom rzucali je im do stóp. Publiczność przyglądała się artystom i kwiatom, nie osobie, która je przyniosła.

– A kwiaty na scenie? Wiesz, kto je rzucał?

– Nie.

– Jakiś domysł?

– Nie – odpowiedziała Flavia, po czym, już spokojniej, przypomniała: – Widziałeś je przedwczoraj, tę stertę na scenie. Nie chciałam ich. Widziałeś, jak musieliśmy po nich chodzić, kiedy szliśmy dziękować za oklaski. – Skrzywiła się na to wspomnienie.

– Były dla ciebie? – upewnił się Brunetti.

– A dla kogo innego mogły być? – odburknęła, przypominając tę kobietę, którą Brunetti poznał przed laty. Jednakże Flavia po prostu wyjaśniała coś, co powinno być oczywiste.

– Rozmawiałaś z ludźmi w teatrze?

– Portier powiedział, że kwiaty, jakie znalazły się w mojej garderobie, przynieśli dwaj mężczyźni, których nigdy przedtem nie spotkał. Nic więcej

nie wiedział. – Machnęła dłonią, jakby wskazywała na balkony widowni, i dodała: – O te, którymi zarzucono scenę, nie pytałam.

Chociaż podczas ich rozmowy służąca przyniosła brzoskwinie ze śmietaną oraz migdałami, nikt z nich nie był zbyt zainteresowany deserem, tak więc za ogólną zgodą wrócili do salonu i na kanapy. Służąca weszła z kawą; hrabia zapytał, czy ktoś chciałby się z nim napić grappy, ale tylko Brunetti wykazał zainteresowanie.

W pokoju zapadła cisza. Siedzieli przez pewien czas, słuchając odgłosów łodzi przepływających po Canal Grande i patrząc na okna budynków na drugim brzegu. Światła zapalały się i gasły, ale za szybami nie widać było żadnego ruchu.

Brunetti był pod wrażeniem tego, jak krzepiące jest ich milczenie, nawet w obliczu zdarzeń, które wydawały się co najmniej niepokojące, a w najgorszym razie... sam nie był pewien. Intrygujące i dziwne, nie na miejscu w świecie, który miał przedstawiać piękno i dostarczać przyjemności.

Pomyślał o przyjacielu swojego ojca z lat wojny. Angelo przypuszczalnie był niepiśmienny, rzecz zupełnie naturalna w przypadku osoby urodzonej w okropnych latach trzydziestych, kiedy to młodzi ludzie szli do pracy w wieku dziesięciu lat. Jego żona czytała wszystko całej rodzinie, regulowała rachunki i sprawiała, że życie jakoś funkcjonowało.

Ojciec Brunettiego wyraził kiedyś w rozmowie z Angelem jedną ze swoich dziwnych opinii o świecie; Brunetti nie pamiętał już, o co chodziło, aczkolwiek wiedział, że wówczas ten pogląd wydał mu się dziwny.

Usłyszawszy go, Angelo nie sprzeciwił się ani nie zaprzeczył, a gdy Brunetti senior nalegał, by ten powiedział mu, co myśli, Angelo rozsiadł się na krześle i kilka razy potarł dłonią czoło, po czym, uśmiechając się do przyjaciela, rzekł: „Mój pogląd jest inny niż twój, ale to dlatego, że mam tylko jedną głowę i to pozwala mi mieć tylko jeden pogląd na wszystko”.

Angelo sprawił, że zabrzmiało to tak, jakby przepraszał za niski poziom umysłowy i za to, że nie mógł dorównać przyjacielowi w zdolności do pomieszczenia w głowie bardziej złożonego poglądu czy nawet większej ich liczby. Być może człowiek wysyłający kwiaty miał w swojej głowie miejsce

na jedno tylko wyobrażenie o tym, jak okazać swą wdzięczność. Lub może miał jeszcze dziwniejsze wyobrażenia na ten temat.

Komisarz spojrzął na Flavię i zapytał: – Chciałabyś, żebym coś w tej sprawie zrobił?

Petrelli odpowiedziała jemu, ale adresowała swoje słowa do wszystkich zebranych w salonie: – Nie, to chyba nie jest konieczne. Sama możliwość porozmawiania o tym i powiedzenia, jakie to dziwne, pomaga.

– Tylko dziwne? – zapytał hrabia.

– Gdybym siedziała sama w mieszkaniu i w budynku nie byłoby nikogo, prawdopodobnie powiedziałabym, że nie tylko – zaczęła Flavia. Patrząc na ich zatroskane twarze, uśmiechnęła się nieznacznie i dodała: – Ale tutaj, w państwa obecności, wydaje się to tylko dziwne.

– Kim jest ten człowiek mieszkający piętro wyżej? – zapytał Brunetti.

– To Freddy d’Istria – odparła Flavia, a gdy skinęli głowami, poprawiła się: – Federico, znaczy się.

– W porządku – wtrąciła Paola z uśmiechem. – My też tak go nazywamy.

– Skąd go znacie?

– Chodziliśmy razem do podstawówki – wyjaśniła Paola. – Przez cztery lata byliśmy w tej samej klasie, z czego trzy przesiedzieliśmy w jednej ławce.

– A ja poznałem go w liceum – rzekł Brunetti i nie dodał nic więcej.

– W szkole publicznej? – zapytała Flavia Paolę bez namysłu.

– Oczywiście – odparła Paola, jakby nie było innej możliwości. – Do niej mieliśmy najbliżej z domu.

– Chciałam, żeby Paola uczyła się weneckiego od innych dzieci, nie tylko od służby. To przecież jej język ojczysty – wtrąciła hrabina.

– A pani mówi po wenecku, *signora*? – zapytała Flavia, ledwie się powstrzymując od użycia tytułu i okazania zaskoczenia faktem, że dzieci arystokratów chodziły do szkół publicznych.

– Nie. Myślę, że próba mówienia w tym języku jest pretensjonalna, jeżeli nie jest się wenecką – odparła *contessa*. – Ale dom Paoli jest tutaj i

chciałam, żeby dorastając, umiała mówić po wenecku.

Paola odchyliła się na kanapie i przewróciła oczami, jakby słyszała to przez całe życie.

Brunetti obserwował Flavię, gdy ta – zastanawiając się, co ma powiedzieć – wodziła wzrokiem między matką a córką.

– Mógłbym porozmawiać z Freddym – wtrącił. Ostatecznie Federico był i jego przyjacielem, może nawet bardziej jego niż Paoli. Bywały chwile, gdy Brunetti uważał, że jest tak dlatego, iż poznali się jako nastoletni chłopcy, a zaprzyjaźnili, wchodząc w wiek męski.

– Kwiaty w teatrze to jedno; dostanie się do prywatnego domu, żeby je zostawić, to coś zupełnie innego – dodał.

Obserwował, jak Petrelli zastanawia się nad tym, co właśnie powiedział. Nie był pewien różnicy prawnej między tymi dwiema sytuacjami ani tego, czy przestępstwem jest wejście do budynku, w którym się nie mieszka, bez zaproszenia ze strony gospodarzy. Turyści robili to przecież codziennie. Ileż razy znajomi mówili mu o tym, że zastawiali obcych ludzi na dziedzińcu lub klatce schodowej swoich domów? I cóż to za przestępstwo zostawić kwiaty przed drzwiami czyjś mieszkania?

– To chyba dobry pomysł, moja droga – powiedział hrabia, zwracając się do Flavii.

– Myślę, że Guido powinien z nim porozmawiać, choćby po to, aby pokazać, że ktoś traktuje tę sprawę poważnie.

Flavia odwróciła się do komisarza, żeby zapytać: – A traktujesz ją w ten sposób?

Brunetti zdjął nogę z nogi i zastanawiał się przez chwilę, po czym odparł: – Nie widzę w niej nic, co przekonałoby sędziego pokoju, że warto się nią zająć. Nie doszło do przestępstwa i nie ma dowodu na groźby.

– Czy to znaczy, że musi się zdarzyć coś jeszcze, zanim zaczniecie działać? – rzekł hrabia głosem pełnym troski i oburzenia.

– *Papà* – wtrąciła się Paola, wyraźnie zirytowana. – To „musi się coś zdarzyć” brzmi tak melodramatycznie. Na razie zdarzyło się tylko tyle, że

Flavia dostała kwiaty i list. Nikt nie powiedział jej nawet słowa.

– Dziwne zachowanie – odparł ostro hrabia. – Człowiek normalny podpisałby po prostu kartkę i ją wysłał. Albo kazał kwiaciarni dostarczyć kwiaty do domu w zwyczajny sposób. Nie ma powodu robić tego potajemnie. To niestosowne. – Odwrócił się do Flavii i dodał: – Moim zdaniem ma pani wszelkie powody do niepokoju. Nie wie pani, z kim ma do czynienia ani co ten człowiek teraz robi.

– Nie musisz mówić o tym tak alarmistycznym tonem – zauważyła Paola i zwracając się do Flavii, zaznaczyła: – Zupełnie nie zgadzam się z moim ojcem. Ktoś, kto to robi, po prostu chce powiedzieć swoim znajomym, że bardzo kocha muzykę. Chodzi jedynie o przechwałki i udowodnienie, jak bardzo góruje nad nimi smakiem, jak silnie reaguje na bodźce estetyczne.

– Powiedziała to tak, jakby uważała takie zachowanie za niedorzeczne.

Hrabia sięgnął po grappę, którą przyniosła służąca, i napełnił nią dwa kieliszki. Wręczył jeden Brunettiemu i wypił łyk z własnego.

– Cóż, przekonamy się, jak sędzę.

– Co masz na myśli, mój drogi? – zapytała jego żona.

– To jeszcze nie koniec. – Wychylił kieliszek jednym haustem i pusty odstawił na stół.

Rozdział 8

Gdy wychodzili pół godziny później z *palazzo*, Paola zaproponowała, aby dla odmiany wybrali Ponte dell'Accademia i wrócili do domu drugą stroną kanału. Oboje wiedzieli, że ich spacer wydłuży się o kwadrans, ale oznaczało to również, że mogą przejść się dłużej z Flavią, która mieszkała zaledwie kilka minut marszu od mostu. Nie mogła wiedzieć, gdzie się znajduje ich dom, nie uznałyby więc wybranej przez Paolę okężnej drogi za wyraz opiekuńczości, którą kierowała się żona komisarza.

Brunetti – nadal zaciekawiony źródłem zmian, które, jak się wydawało, zaszły we Flavii w ciągu tych lat – zastanawiał się, czy będą rozmawiać o muzyce i czy dzięki temu kobieta znajdzie się w centrum rozmowy. Ona jednak wolała mówić o tym, o czym zazwyczaj mówią rodzice. Wspomniała, że strasznie martwi się z powodu narkotyków, chociaż żadne z jej dzieci nigdy nie przejawiało zbytniego zainteresowania ich zażywaniem. Bała się też, że któreś nich – przyznała, że bardziej niepokoi się o córkę niż o syna – wpadnie w złe towarzystwo i to ją pchnie do robienia rzeczy, których normalnie by nie zrobiła.

Gdy Paola zapytała, czego obawia się najbardziej, Flavia pokręciła głową ze złością na otaczającą rzeczywistość albo na własne nieokreślone lęki i odparła: – Sama nie wiem. Nie potrafię sobie wyobrazić świata, w którym oni żyją. Nie mogę przestać się o nich bać.

Paola wzięła ją pod rękę i zauważyła: – Ludzie myślą, że mają małe dzieci. Ale tak nie jest: mamy ludzi i to przez całe ich życie. I nigdy nie przestajemy się o nich martwić. Nigdy. – Po chwili dodała znanym Brunettiemu życzliwym tonem: – Ktoś powinien chyba wynaleźć specjalny aparat telefoniczny dla rodziców nastolatków.

– Który co robi? – zapytała Flavia.

– Który nie może zadzwonić między pierwszą w nocy a szóstą rano.

Flavia roześmiała się na głos i powiedziała: – Jeżeli kiedyś go znajdziesz, kup mi jeden.

Czuli się bardzo swobodnie, tak jak czuje się człowiek w towarzystwie starych przyjaciół. Dotarli do muzeum oraz usytuowanego obok mostu i zatrzymali się u stóp schodów. Flavia ucałowała Paolę w oba policzki i zrobiła krok w tył, by zwrócić się do Brunettiego.

– Jestem wam wszystkim niezmiernie wdzięczna. Nie miałam pojęcia, jak bardzo potrzebowałam takiego wieczoru: rozmowy, dobrego jedzenia i zupełnej bez troski.

Vaporetto płynące do Lido zwiększyło obroty silnika na wstecznym biegu i dobiło do przystani. Ów dźwięk był tak codzienny, że ani Brunetti, ani Paola naprawdę go nie słyszeli, lecz Flavia drgnęła i odwróciła się w kierunku tramwaju wodnego. Gdy kilka osób, które zeszły z pokładu, oddaliło się, dodała: – Chciałabym wam podziękować za wyrozumiałość. – Uśmiechnęła się, ale był to blady cień uśmiechu sprzed lat, jaki zapamiętał komisarz.

– Porozmawiam z Freddym – oznajmił Brunetti, żeby ją uspokoić. – Dawno się nie widzieliśmy i to będzie całkiem dobry powód, aby do niego zadzwonić lub umówić się w jakimś barze.

– Tylko jeśli uważasz, że to może być przydatne.

Komisarz pochylił się i ucałował ją w oba policzki.

– Spotkanie ze starymi przyjaciółmi zawsze jest przydatne, nie sądzisz?

– Owszem – potwierdziła, patrząc mu w oczy. – Ze starymi przyjaciółmi.

Wieczór był przyjemny, do pełni księżyca brakowało tylko jednego dnia. Paola i Guido przystanęli na szczycie mostu, patrząc w kierunku Lido i rozciągającego się za nim Adriatyku.

– Uważasz ją za przyjaciółkę? – zapytała Paola. Nie było wiatru, więc księżyc odbijał się w wodzie niczym w tafli ciemnego szkła. Przez kilka minut nie przepływały obok żadne łodzie i Brunetti nie odzywał się, jakby w obawie, że dźwięk jego głosu rozbije powierzchnię wody i w ten sposób zniszczy księżyc. Ruch na moście zamarł i przez długi czas panowała cisza.

Zmierzająca do La Salute Jedyńka pojawiła się przy Vallarosso, sprawiając,

że przysł najpierw czar, a potem pękła odbita tarcza księżyca. Gdy Brunetti odwrócił się w stronę San Vidal, spostrzegł na stopniach poniżej nieruchomych ludzi, zauroczonych widokiem mieniającej się srebrnej kuli, fasad budynków na obu brzegach kanału i ciszą. Spojrzał w prawo i zobaczył, że wzdłuż poręczy mostu stoi nieruchomo więcej osób z twarzami uniesionymi w oczekiwaniu na księżycowe błogosławieństwo. Wziął Paolę za rękę i zeszli po stopniach, zmierzając dłuższą drogą do domu.

– Mam wrażenie, że to stara przyjaźń, chociaż nie wiem dlaczego – odparł w końcu, gdy weszli na Campo Santo Stefano. – Nie widziałem jej od lat i nie sądzę, byśmy naprawdę się zaprzyjaźnili, gdy ją poznałem. – Zastanawiał się nad tym przez pewien czas, a potem rzekł: – Być może poczucie przyjaźni budzi się w nas wraz ze wspomnieniem wspólnie spędzonych trudnych chwil.

– Mówisz to tak, jakbyś walczył z nią w okopach. Podobnie o swoich przyjaciółkach mówił twój ojciec.

– Owszem, tak było – przyznał Brunetti. – Oni wycierpieli o wiele więcej ode mnie i Flavii. Ale w jej przypadku doszło do przemocy i rzeczywiście ucierpieli ludzie.

– Ciekawe, co robiła przez te lata – powiedziała Paola, aby oderwać go od przykrych wspomnień. – Poza tym, że zdobywała coraz większą sławę.

Zbliżyli się do mostu prowadzącego na Campo Manin i Brunetti zatrzymał się, żeby obejrzeć witrynę księgarni. Kiedy się odsunął i ruszył mostem, rzekł w końcu: – Nie mam pojęcia. Wiedziałem tyle co ty, a może nawet mniej, bo nie czytam recenzji muzycznych.

– Twoje szczęście – odparła Paola. – Przesadzone – dodała i umilkła.

– Przypuszczalnie chodzi o te recenzje – zauważył Brunetti, gdy przechodzili przed posągiem lwa.

Rozśmieszył tym Paolę.

– Nazwisko Flavii pojawia się od czasu do czasu. Recenzje są zawsze dobre. Bardzo dobre – powiedziała, po czym, kiedy przechodzili przed San Luca, zapytała: – Słyszałeś ją przedwczoraj, prawda? Widziałeś ją?

– Chciałbym usłyszeć ją w czymś, co jest bardziej... – Komisarz nie

wiedział, jak uniknąć pułapki rozpoczętego zdania.

– Przyzwoite? – zasugerowała Paola.

Tym razem to on się roześmiał.

Rozmawiali o różnych sprawach. Odeszli od muzyki, by podyskutować o wyraźnym ochłodzeniu uczuć Raffiego do Sary Paganuzzi, a potem znów szybko powrócili do kwestii muzycznych. Przeszli lewą stroną Ponte Rialto i ruszyli nabrzeżem. Restauracje były już zamknięte bądź właśnie je zamykano; kelnerzy zdradzali oznaki zmęczenia pod koniec długiego dnia.

Idąc wzdłuż kanału, mówili niewiele. Tuż przedtem, zanim skręcili w prawo pod przejściem między budynkami, oboje odwrócili się i ujrzeli odbitą w wodzie tarczę księżyca, który wyglądał tak, jakby miał prześlizgnąć się pod mostem.

— Mieszkamy w raju, nieprawdaż? – zapytała Paola.

Tej rozmowie rodzicielski aparat telefoniczny Paoli by nie zapobiegł, ponieważ odbyła się dwa dni później o szóstej piętnaście rano. Brunetti odebrał po trzecim dzwonku.

– To ja – powiedział ktoś męskim głosem i umysł komisarza zaczął powoli kojarzyć.

– Co się stało? – zapytał, rozpoznając po głosie Rizzardiego, jednego z weneckich patologów, który nie powinien telefonować do niego o tej porze.

– Mówi Ettore – rzekł doktor, chociaż nie było wcale takiej potrzeby. – Przepraszam, że dzwonię do ciebie tak wcześnie, ale jest coś, o czym chyba powinieneś wiedzieć.

– Gdzie jesteś? – zapytał Brunetti.

– W szpitalu.

Dla komisarza oznaczało to kostnicę: gdzie indziej mógłby się znajdować Rizzardi?

– Co się stało? – zapytał, broniąc się przed pytaniem, które pragnął zadać: „Kto zginął?”.

– Przyszedłem dziś rano na sekcję zwłok tego chłopaka, który się zastrzelił – wyjaśnił patolog. – Chciałem się z tym uwinąć, nim zacznie się dzień.

– Dlaczego? – zapytał Brunetti, mimo że sprawa go nie dotyczyła.

– Mam tutaj nową lekarkę, tuż po studiach, i nie chcę, żeby musiała to oglądać. Jeszcze nie teraz.

– I dlatego dzwonicz? – zdziwił się komisarz, mając nadzieję, modląc się o to niemalże, że Rizzardi nie wątpi w samobójstwo.

– Nie, chodzi o informację, którą przekazała mi jedna z pielęgniarek. Znasz ją, to Clara Bondi, żona Aralda.

– Znam – potwierdził komisarz, zastanawiając się, o co chodzi, bo wszystko brzmiało bezsensownie. – Co powiedziała?

– Na szpitalnym oddziale ratunkowym jest jedna dziewczyna. Ma złamaną rękę i sześć szwów na głowie.

– Co się stało? – Brunetti spojrzał na zegar. Prawie wpół do siódmej. Bez szans na ponowny sen.

– Spadła ze schodów na Ponte de le Scuole.

Nakryta kołdrą Paola poruszyła się i jęknęła. Komisarz położył uspokajająco dłoń na jej biodrze i głosem umyślnie przyjemnym i życzliwym zapytał: – Czemu mi o tym mówisz, Ettore?

– Przywieźli ją karetką. Jacyś wracający do domu ludzie znaleźli ją około północy u stóp mostu i wezwali karabinierów, którzy po przyjeździe zadzwonili na pogotowie. Kiedy ją przywieźli, była nieprzytomna.

Przypuszczalnie dobrze się stało, skoro musieli jej nastawiać złamaną rękę i nałożyć sześć szwów, pomyślał Brunetti.

– No i?

– No i Clara miała dyżur na oddziale, na którym ją umieszczono.

– I?

– I kiedy dziewczyna się obudziła, powiedziała Clarze, że ktoś zepchnął ją ze schodów.

Komisarz rozważał różne możliwości.

– Piła?

– Wszystko wskazuje na to, że nie. Sprawdzili, gdy trafiła na oddział.

– Zbadali krew? – upewnił się Brunetti.

– Nie, tylko sprawdzili oddech, ale nic nie poczuli. – Rizzardi odczekał chwilę, po czym dodał: – Clara powiedziała, że ta dziewczyna sprawiała wrażenie bardzo pewnej tego, co mówi.

– Dlaczego do mnie dzwonicz?

– Gdy Clara powiedziała o tym lekarzowi, odparł, że dziewczyna prawdopodobnie zmyśla, że tutaj się takich rzeczy nie robi. – Zanim Brunetti zdążył zaprotestować, lekarz wyjaśnił: – Odmówił więc wezwania policji. Nie chce mieć z nią żadnych kłopotów.

– Co jego zdaniem ma zrobić ta dziewczyna?

– Powiedział, że może zadzwonić na policję, gdy już wróci do domu.

– Czyli kiedy?

– Nie mam pojęcia – odparł Rizzardi, nagle zirytowany. – Nie po to do ciebie zadzwoniłem.

– W porządku – rzekł komisarz, odkrywając kołdrę. – Przyjadę tam najszybciej, jak mogę. – Usłyszał niemalże, jak Rizzardi się uspokaja, zapytał więc: – Rozmawiałeś z nią?

– Nie, ale znam Clare, odkąd zacząłem tutaj pracować, i wiem, że ma więcej zdrowego rozsądku niż większość moich kolegów. Powiedziała, że wierzy tej dziewczynie, i mnie to wystarcza.

Wstając z łóżka, Brunetti jęknął.

– Czy to odgłos świata, który dźwigasz na swych barkach? – zapytał normalnym głosem patolog.

– Pozwól, że wezmę prysznic i napiję się kawy. Będę za godzinę.

– Ona się stąd nie ruszy.

Rozdział 9

Krótko potem Brunetti wyszedł do szpitala, postanowiwszy nie parzyć kawy w domu, tylko wstąpić na nią po drodze. Gdy dotarł do Ballarina, nie było jeszcze wpół do ósmej, ale z ulgą stwierdził, że w środku już ktoś jest. Zastukał do drzwi. Kiedy Antonella przyszła sprawdzić, kto przyszedł, zapytał, czy mógłby się napić kawy i zjeść brioszkę. Kobieta wysunęła głowę za próg i spojrzała w obie strony, po czym otworzyła drzwi na oścież, by wpuścić go do cukierni. Później zamknęła je na klucz.

Napotkawszy spojrzenie komisarza, powiedziała: – Nie możemy obsługiwać klientów przed otwarciem. To niezgodne z prawem.

Brunettiego kusiło, żeby z udawaną surowością oznajmić, że to on stanowi tutaj prawo, ale było za wcześnie na żarty – a on nie pił jeszcze kawy. Zamiast żartować, podziękował i obiecał, że wstąpi innym razem i wtedy zapłaci, więc nie dojdzie do naruszenia przepisów.

– Przypuszczalnie jest jakiś inny przepis, którego nie znamy – powiedziała Antonella, wchodząc za ladę, ale jej głos został zagłuszony przez dźwięk młynka do kawy. Wręczyła komisarzowi jeszcze ciepłą brioszkę i odwróciła się po kawę. Potrzeba było trochę czasu i dwóch torebek cukru, by to połączenie dokonało magicznej przemiany, i Brunetti wyszedł z *pasticcerii* jako człowiek odrodzony.

W szpitalu uświadomił sobie, że nie wie, gdzie szukać rannej dziewczyny ani nawet kogo o nią zapytać – był zbyt zaspany, żeby się dowiedzieć od Rizzardiego, jak młoda pacjentka ma na nazwisko. Wzbraniał się przed spotkaniem z patologiem w miejscu, gdzie ten pracował, więc udał się na SOR, gdzie prawdopodobnie przywieziono dziewczynę. Dowiedział się tam, że ponieważ inne oddziały były już przepełnione, położono ją na kardiologii. Dokumentację medyczną odesłano razem z nią, a ponieważ za komisarzem utworzyła się czteroosobowa kolejka, uznał, że ma już wystarczająco dużo

informacji, by móc ją znaleźć. Ileż dziewczyn ze złamaną ręką i szwami na głowie mogło się znajdować na oddziale kardiologii?

I rzeczywiście była jedyna, leżała na pustym korytarzu, na noszach zaparkowanych – jak ujął to w myślach Brunetti – najwyraźniej do czasu, aż zdołają znaleźć dla niej miejsce w jakiejś sali. Podszedł bliżej. Błada kobieta leżała na wznak, najwidoczniej śpiąc, z lewą ręką zagipsowaną i ułożoną na brzuchu; jej wolna dłoń spoczywała na biodrze. Głowę miała zabandażowaną. Brunetti dostrzegł, że zgolono jej włosy na kawałku czaszki, żeby dało się założyć opatrunek.

Poszedł do dyżurki i zastał tam jedną pielęgniarkę.

– Przyszedłem się zobaczyć z tą młodą kobietą. Mogę zobaczyć jej kartę? – zapytał.

– Jest pan lekarzem? – zapytała pielęgniarka, mierząc go wzrokiem od stóp do głów.

– Nie, policjantem.

– Czy ona coś zbroiła? – zapytała pielęgniarka, posyłając w kierunku dziewczyny błyskawiczne spojrzenie.

– Nie. Wydaje się, że wręcz przeciwnie.

– Co pan przez to rozumie?

– Być może została zepchnięta ze schodów na moście – odparł Brunetti, ciekaw, jak pielęgniarka zareaguje na to zwierzenie.

– Kto zrobiłby coś takiego? – zapytała głosem zabarwionym troską, zerkając na młodą kobietę. Jej koleżanka Clara najwyraźniej nic jej nie powiedziała.

– Właśnie tego przyszedłem się dowiedzieć. – Brunetti uśmiechnął się, kiedy to mówił.

– W takim razie niech pan to weźmie – zaproponowała pielęgniarka i podała mu teczkę leżącą na dzielącym ich kontuarze.

– „Francesca Santello” – przeczytał Brunetti. – To wenejka?

– Takie sprawia wrażenie – odparła kobieta. – Cóż, w tych nielicznych słowach, które od niej usłyszałam. Kiedy nastawiali jej rękę i zakładali szwy,

podali jej coś i od tego czasu jest półprzytomna lub śpi.

– Co mówiła?

– Prosiła, żebym zadzwoniła do jej ojca – odparła pielęgniarka, po czym dodała: – ale zasnęła, zanim zdążyła podać jego imię.

– Rozumiem – rzekł komisarz i przejrzał kartę. Nazwisko i data urodzenia, adres zamieszkania w Santa Croce. Do zdjęć rentgenowskich czaszki przypięta była kartka z informacją, że nie widać na nich oznak pęknięcia ani krwawienia wewnętrznego. Badający ją lekarz napisał, że złamanie ręki jest proste, a gips można zdjąć za pięć tygodni.

– Sprawdziłam – powiedziała z naciskiem pielęgniarka, jakby chciała odeprzeć zarzut ze strony Brunettiego.

– Słucham? – Komisarz spojrzął znad dokumentacji.

– Santello. W książce telefonicznej. Ale jest ich tam kilkunastu.

Brunetti zamierzał zapytać, czy sprawdziła adresy, ale ograniczył się do uśmiechu.

– Od jak dawna tutaj jest?

Pielęgniarka spojrzała na zegarek.

– Przywieźli ją po założeniu szwów.

– Chciałbym zostać tu przez pewien czas, aby być przy jej obudzeniu.

Jego wyjaśnienia przemieniły młodą kobietę z podejrzonej w ofiarę i chyba dlatego pielęgniarka nie zgłosiła zastrzeżeń. Brunetti wrócił zatem do kobiety na noszach. Gdy spojrzął na ranę, okazało się, że ona wpatruje się w niego.

– Kim pan jest? – zapytała.

– *Commissario* Guido Brunetti – odparł. – Przyszedłem, bo jedna z pielęgniarek powiedziała, że uważa pani, iż ktoś zepchnął panią ze schodów.

– Nie uważam tak, tylko wiem – powiedziała dyszącym głosem, jakby musiała uwalniać słowa z krtani siłą. Zamknęła oczy i komisarz spostrzegł, jak zaciska usta z bólu lub frustracji.

Czekał.

Spojrziała na niego jasnoniebieskimi, niemal przezroczystymi oczami.

– Wiem. – Jej głos był niewiele głośniejszy od szeptu, ale to jedno słowo zabrzmiało ostro jak cięcie diamentowym nożem.

– Opowie mi pani o tym, co się stało?

Poruszyła głową bardzo nieznacznie, ale nawet to sprawiło, że wydała stłumiony okrzyk bólu. Zastygła w bezruchu, po czym bardzo cicho, jakby nie chciała narażać się na powtórkę, powiedziała: – Wracałam do domu. Po kolacji z przyjaciółmi. Gdy wchodziłam na most za Scuola, usłyszałam za sobą kroki. – Dziewczyna bacznie obserwowała twarz Brunettiego, żeby sprawdzić, czy nadąża.

Komisarz skinął głową, ale nic nie powiedział. Przez pewien czas leżała nieruchomo, nabierając tchu, by móc mówić dalej. – Gdy zaczęłam schodzić, poczułam, że ktoś jest za mną. Za blisko. Wtedy on dotknął moich pleców i powiedział: *È mia*, pchnął mnie i wtedy się potknęłam. Chyba próbowałam złapać się poręczy. – Brunetti pochylił się, żeby lepiej słyszeć. – Tylko dlaczego miałby mówić „Jesteś moja”? – Francesca uniosła prawą rękę, by dotknąć bandaża. – Prawdopodobnie uderzyłam się w głowę. Pamiętam upadek, ale nic więcej. Potem pojawiła się policja i umieścili mnie w łodzi. To wszystko, co pamiętam. – Potoczyła wzrokiem po korytarzu i spojrzała przez okno. – Jestem w szpitalu, prawda?

– Tak.

– Może mi pan powiedzieć, co jest ze mną nie tak?

– Dobry Boże, to chyba nie moja sprawa – odparł Brunetti z udawaną powagą.

Dziewczyna dopiero po chwili zrozumiała jego żart, uśmiechnęła się i dodała: – Pod względem fizycznym, znaczy się.

– Ma pani złamaną lewą rękę, ale w karcie stwierdzono, że złamanie nie jest poważne.

I założyli pani szwy na głowie. Mózg i czaszka nie zostały uszkodzone, nie ma krwotoku ani pęknięcia. – Komisarz przedstawił nagie fakty i poczuł się w obowiązku dodać: – Doznała pani wstrząśnienia mózgu, więc przypuszczam, że potrzymają panią tutaj parę dni, żeby sprawdzić, czy czegoś nie przeoczyli.

Francesca znowu zamknęła oczy. Tym razem nie otwierała ich przez co najmniej pięć minut, ale Brunetti dalej stał przy noszach.

Kiedy znowu na niego spojrzała, zapytał: – Jest pani pewna, że usłyszała właśnie *È mia*?

– Tak – odparła bez wahania i niepewności.

– Może pani jakoś opisać ten głos? Ton bądź wymowę? – zapytał komisarz. Byłby to marny punkt wyjścia, skoro jednak napastnik zaszedł ją od tyłu, innego nie będzie.

Francesca uniosła prawą dłoń i pomachała palcem w geście zdecydowanego zaprzeczenia.

– Nie, w żaden sposób – odparła, po czym bardziej refleksyjnie dodała: – Nawet pod względem płci.

– I wysokości?

– Ktokolwiek to mówił, forsował głos, jak wtedy, gdy się śpiewa falsetem.

Brunetti pomyślał o układankach, tych staromodnych z drewna, którymi w ostatnich latach życia bawił się jego ojciec, i przypomniał sobie te magiczne chwile, gdy jeden element, zawierający na przykład oko i drobny fragment ciała, otwierał płamę nowego koloru i nadawał niespodziewany sens tym beżowym kawałkom układanki ustawionym w szeregu przy krawędzi stołu, które do tego momentu nic nie znaczyły.

– Jest pani śpiewaczką?

Młoda kobieta otworzyła szeroko oczy i odparła: – Chcę nią być. Ale dopiero za jakiś czas. Czekają mnie lata pracy. – W przypiływie namiętności powróciła do naturalnego pięknego brzmienia głosu, zapominając o stresie i konieczności mówienia szeptem.

– Gdzie pani studiuje? – zapytał, ostrożnie zmierzając do punktu, którego bliskość mógł jedynie podejrzewać.

– W Paryżu. W tamtejszym konserwatorium.

– Nie tutaj? – upewnił się komisarz.

– Nie, moja uczelnia zamknęła swoje podwoje na czas letnich wakacji, przyjechałam więc tu, żeby przez kilka tygodni uczyć się z moim ojcem.

– Uczy w Wenecji?

– W konserwatorium, ale tylko na część etatu. Jest również jednym z *ripetitori* zatrudnianych na zlecenie w teatrze. I tam z nim pracuję.

– W La Fenice? – zapytał komisarz, jakby w Wenecji było pełno teatrów.

– Owszem.

– Rozumiem. Czy ojciec aprobuje to, czego uczą panią Francuzi?

Francesca uśmiechnęła się i, jak bywało z uśmiechami młodych ludzi, od razu zrobiła się ładniejsza.

– Mój ojciec zawsze się tym zachwyca – odparła ze stosowną skromnością.

– Tylko pani ojciec?

Już miała odpowiedzieć, ale się powstrzymała.

– Kto był tą osobą? – zapytał komisarz, widząc wahanie.

– *Signora Petrelli* – odparła szeptem Francesca, jakby zapytano ją o to, kto jej zdaniem mógłby uleczyć jej złamaną rękę, a ona odpowiedziała, że *La Madonna della Salute*.

– Jak to się stało, że słyszała pani śpiew?

– Szła do swojego pokoju prób i mijala drzwi sali, w której byłam z ojcem, i... – Dziewczyna zamknęła oczy i Brunetti zorientował się, że zasnęła; zrozumiał, że tego ranka nie otrzyma od niej więcej informacji.

Rozdział 10

Brunetti wrócił do dyżurki pielęgniarek, ale kobiety, z którą wcześniej rozmawiał, nie było. Wyciągnął telefon i czując, jak niedorzeczna jest jego niechęć do spotkania oraz rozmowy z Rizzardim, zadzwonił do patologa.

Odebrawszy, Rizzardi zapytał: – Rozmawiałeś już z nią?

– Tak.

– Co możesz w tej sprawie zrobić?

Brunetti zastanawiał się nad tym od czasu rozmowy z dziewczyną.

– Dowiedzieć się, czy mamy tam monitoring.

– Kamery? – upewnił się Rizzardi.

– Jest ich trochę w różnych punktach miasta – wyjaśnił komisarz. – Chociaż to mało prawdopodobne, by była akurat w tym.

Po pauzie, która mogła świadczyć zarówno o nieuprzejmości, jak i o kurtuazji, Rizzardi spytał: – Za mało tam turystów?

– Mniej więcej.

– Czemu ktoś miałby coś takiego zrobić? – zapytał Rizzardi głosem zupełnie wyzbytym ironii.

– Nie mam pojęcia – odparł Brunetti. Pięć lat wcześniej syn jego znajomego został zaatakowany na ulicy przez jakiegoś narkomana, ale tego rodzaju przypadkowe napaści – rodzaj wandalizmu wymierzonego w ludzi – były w Wenecji zjawiskiem właściwie nieznanym.

Rizzardi nie musiał wiedzieć, że napastnik odezwał się do swojej ofiary, więc komisarz podziękował tylko przyjacielowi, że zadzwonił.

– Mam nadzieję, że dowiecie się, kto to zrobił – rzekł patolog, po czym dodał: – Muszę kończyć. – To powiedziawszy, rozłączył się.

Pozostawiony własnym rozważaniom Brunetti sporządzał w myślach wykaz

agencji, które zainstalowały kamery w mieście. Wiedział, że ACTV ma je na *imbarcaderi*, zarówno po to, żeby mieć pewność, że sprzedawcy biletów nie oszukują klientów, jak i w celu identyfikacji wandalii. Wiedział, że wiele budynków jest strzeżonych lub przynajmniej obserwowanych za pośrednictwem kamer, choćby jednak zwracał sobie głowę instalowaniem kamery na moście, z którego prawdopodobnie korzystali wyłącznie weneccjanie?

Przypomniał sobie, że widział raport o kamerach monitorujących, które zainstalował jego wydział, nie pamiętał jednak, gdzie one się znajdują; jakieś kamery na pewno mieli karabinierzy.

Jedną widział też w zaułku prowadzącym do biur Guardia di Finanza niedaleko Ponte Rialto. Wrócił, żeby jeszcze raz spojrzeć na młodą kobietę, ale zanim dotarł do wózka z noszami, usłyszał jej spokojny oddech. Opuścił oddział i skierował się na Campo Santi Giovanni e Paolo. Rusztowanie nadal pięło się po obu stronach bazyliki. Chociaż stało tam od lat, nie pamiętał, kiedy ostatnio widział na nim jakichś robotników. Pod wpływem impulsu wszedł do świątyni i natychmiast się zatrzymał, słysząc głos mężczyzny siedzącego w drewnianej budce na prawo od drzwi. Gdy ostatnim razem Brunetti wszedł do tego kościoła, nie było ani budki, ani tego człowieka.

– Jest pan mieszkańcem?

Brunettiego ogarnęło nagłe oburzenie, powiększone w dwójnasób przez to, że mężczyzna mówił po włosku z obcym akcentem. Kimże innym miał być, wchodząc do kościoła o dziewiątej rano, w garniturze? Pochylił głowę i spojrzął przez szybę budki na człowieka, który zadał mu to pytanie.

– *Scusi, signore* – rzekł mężczyzna z pełnym szacunkiem – ale muszę o to pytać.

Uspokoił tym Brunettiego. Mężczyzna wykonywał swoją pracę i nie był nieuprzejmy.

– Jestem – rzekł komisarz, po czym, chociaż nie było to w ogóle konieczne, dodał: – Przyszedłem zapalić świeczkę mojej matce.

Mężczyzna uśmiechnął się szeroko i błyskawicznie zasłonił usta, żeby ukryć braki w uzębieniu.

– Brawo! – pochwalił komisarza.

– Mam zapalić jedną pańskiej mamie?

Dłoń strażnika opadła i jego usta otworzyły się szeroko ze zdumienia.

– O tak, proszę – powiedział.

Brunetti ruszył w kierunku głównego ołtarza. Jasność wszystkiego, co przed sobą widział, podnosiła go na duchu. Światło słońca napływało ze wschodu, rozlewając się po rozchodzących się faliście barwnych wzorach na posadzce. Po obu stronach nawy głównej ciągnęły się wzdłuż ścian świadectwa wspaniałości Wenecji – posągi dożów i ich żon przesypiających kolejne stulecia. Wciąż zgorszony gwałtem zadany temu biednemu dziełu podczas ostatniej renowacji, komisarz nie chciał patrzeć na tryptyk Belliniego znajdujący się z prawej strony.

W połowie długości prawej nawy przystanął, by przyjrzeć się fragmentowi witraża; z upływem lat stracił zdolność chłonięcia piękna w zbyt dużej ilości za jednym razem, starał się więc ograniczać w miarę możliwości jego dawkę, uważnie oglądając tylko jedną lub dwie rzeczy.

Patrzył na kwartet muskularnych świętych z włóczniami.

Matka Brunettiego zawsze żywiła szczególną cześć dla ukazanego na grzbiecie konia świętego, który zabijał smoka, sądziła jednak na przemian, że jest nim święty Jerzy albo święty Teodor. Komisarz nigdy nie pomyślał o tym, by zapytać, dlaczego tak bardzo jej się podobają, ale teraz, gdy odeszła, uznał, że pewnie z uwagi na niechęć do despotów, bo czyż smok nie był największym despotą? Wyjął z kieszeni monetę i upuścił ją z brzękiem do metalowej skrzynki.

Wziął dwie świece, do których użycia uprawniał go wydatek jednego euro, i zapalił knot pierwszej, a następnie drugiej świecy. Umieścił je w środkowym rzędzie i cofnął się, obserwując świece, dopóki się nie upewnił, że płomienie nie zgasną.

– Jedna jest za matkę tego gościa przy drzwiach – powiedział szeptem, żeby przypadkiem tam w górze niczego nie pomieszano i nie zapisano obu świeczek na konto jego rodzicielki. Po raz ostatni zerknął na świętego, który po tyłu

latach był już jego starym znajomym, skinął głową i się odwrócił. Idąc nawą, miał spuszczonego wzrok, by nie przeciążać umysłu, nie mógł jednak nie dostrzec wspaniałości posiadki.

Przy drzwiach pochylił się, spojrzął mężczyźnie w oczy i rzekł: – Załatwione.

W drodze do komendy myślał o wszystkim, czego będzie musiał się dowiedzieć: najpierw rozmieszczenie kamer, a potem nazwy instytucji państwowych sprawujących nad nimi pieczę.

Musiał także rozważyć, jak chętnie różne organy sił porządkowych będą ujawniać swoje działania, nawet jedne drugim, i czy będą skłonne uczynić to w duchu współpracy, nie domagając się sędziowskiego nakazu.

Udał się natychmiast do pokoju odpraw i zastał Vianella przy biurku. Przed nim leżała otwarta ogromna teczka z dokumentami, opatrzona nazwą „Nardo” na okładce. Na widok nadchodzącego komisarza inspektor przybrał udręczony wyraz twarzy i wyciągając do niego teatralnie trzęsącą się rękę, wyszeptał: – Uratuj mnie, uratuj.

Często zmuszany do przeglądania tych samych akt, Brunetti podniósł ręce, jakby chciał odegnąć złośliwą zjawę, i rzekł: – Znowu ta markiza?

– Ta sama – potwierdził Vianello. – Tym razem oskarża swojego sąsiada o to, że trzyma na dziedzińcu dzikie koty.

– Lwy? – zapytał Brunetti.

Vianello postukał palcami w czytana właśnie stronę i rzekł: – Nie, koty z sąsiedztwa. Tym razem twierdzi, że on wpuszcza je co noc i karmi.

– Mimo że mieszka w Londynie?

– Markiza mówi, że widziała, jak karmił je jego kamerdyner – wyjaśnił inspektor.

– Który również mieszka w Londynie.

– To wariatka – zauważył Vianello. – To siedemnasta skarga, jaka od niej wpłynęła.

– I musimy ją rozpatrzyć?

Vianello zamknął teczkę i popatrzył tęsknym wzrokiem na śmietnik stojący

w drugim końcu pokoju. Opierając się pokusie, odsunął dokumenty na bok biurka i odparł: – Myślisz, że tracilibyśmy na to czas, gdyby nie była babcią ministra?

Zamiast odpowiedzieć na to pytanie, Brunetti rzekł: – Mam coś ciekawszego.

Signorinę Elettrę zastali przy biurku, odwróconą od komputera i czytającą czasopismo, którego nie próbowała ukrywać. Równym szokiem byłby dla nich widok obrazu przedstawiającego Ewę bez Adama czy posągu świętego Kosmy bez świętego Damiana u boku.

Gdy Brunetti zauważył, że ekran komputera jest pusty, szok komisarza jeszcze się powiększył. Pomyślał, że może jedynie obrócić to w żart.

– Urządza pani strajk, *signorina*?

Podniosła wzrok, zaskoczona, i posłała spojrzenie inspektorowi.

– Powiedziałeś mu?

– Nic nie mówiłem – odparł Vianello.

– O czym? – zapytał Brunetti, kierując pytanie do nich obojga.

– Więc pan nie wie? – zdziwiła się, zamykając magazyn i robiąc okrągłe oczy z miną niewiniątka.

– Nikt mi nic nie powiedział – zaznaczył z naciskiem komisarz, chociaż wcale nie było to prawdą. Młoda kobieta powiedziała mu, że ktoś zepchnął ją ze schodów. Stojący obok Vianello skrzyżował ręce, dając wyraźnie do zrozumienia, że ma zamiar to przetrzymać.

– Och, drobiazg – powiedziała Elettra i zajrzała z powrotem do magazynu.

Brunetti podszedł do jej biurka. „Vogue”. Tak też przypuszczał.

Signorina Elettra zauważyła jego spojrzenie i powiedziała: – To francuskie wydanie.

– Nie czyta pani włoskiego?

Elettra przymknęła na moment oczy i zrobiła swoimi powiekami coś takiego, co podważyło wartość włoskiej edycji magazynu, kwestionując równocześnie gust każdego, kto zadawał tak niedorzeczne pytania.

– Czym mogę *wam* służyć dzisiejszego ranka, panowie? – zapytała, zwracając się do Vianella, jakby właśnie zauważyła, że weszli do sekretariatu.

– Może pani zacząć od wyjaśnienia – odparł Brunetti, zerkając na wciąż milczącego inspektora, żeby objąć go oskarżeniem – co jest grane.

Elettra i Vianello wymienili jakieś sygnały, których komisarz nie rozumiał, i wtedy ona powiedziała: – Żądam głowy porucznika Scarpy.

W ostatnich kilku latach głęboka niechęć, którą pałali do siebie *signorina* Elettra, sekretarka *vice-questore* Giuseppe Patty, i porucznik Scarpa, jego najbliższy powiernik i pomocnik, nasiliła się. Ona i porucznik znajdowali przyjemność we wzajemnym blokowaniu wszelkich swoich inicjatyw – Scarpa z całkowitym lekceważeniem dla kosztów ponoszonych przez resztę osób pracujących w komendzie, a *signorina* Elettra hamowana w swojej trosce o nie.

Gdy zaproponowała sporządzenie wykazu nie tylko z nazwiskami i wyrokami skazującymi recydywistów, ale i z danymi na temat częstotliwości i szkodliwości popełnianych przez nich przestępstw, Scarpa od razu skrytykował tę propozycję jako próbę stygmatyzowania i dyskryminacji zresocjalizowanych przestępców. Gdy Scarpa przedstawiał kogoś do awansu, do jego listu na pewno dołączony był jej spis nagan otrzymanych przez rekomendowanego funkcjonariusza.

– Jako dekoracji biura? – zapytał Brunetti, rozglądając się, jakby szukał najlepszego miejsca na umieszczenie głowy porucznika, może na parapecie okiennym obok milczącego Vianella.

– To uroczy pomysł, *commissario* – odparła. – Jestem zdumiona, że sama na niego nie wpadłam. Ale nie, mówiłam w przenośni i chcę tylko, żeby stąd zniknął.

Brunetti znał ją wystarczająco dobrze, by za żartobliwymi słowami usłyszeć szcęk żelaza i stali. Dopasował swój głos do okoliczności i spytał: – Co on znowu zrobił?

– Wie pan, że nie znosi Alvisiego? – zapytała Elettra, zaskakując komisarza tak otwartym stwierdzeniem prawdy. Po przybyciu do komendy kilka lat temu porucznik Scarpa początkowo wydawał się zabiegać o względy Alvisiego,

szybko jednak odkrył, że ten obdarza swą życzliwością wszystkich po równo, z nowo przybyłym włącznie. Tak oto sytuacja szybko się popsuła, ponieważ porucznik nigdy nie przegapił sposobności do wytknięcia Alvisemu licznych niedociągnięć. Mimo całej ocieężałości umysłu funkcjonariusz Alvisie był powszechnie uznawany za porządnego, lojalnego i dzielnego policjanta; walorów tych nie mieli niektórzy jego bardziej inteligentni koledzy. Jednak nienawiść, tak jak miłość, pojawiała się nawet nieprzywoływana i robiła, co chciała.

– Owszem – odparł w końcu Brunetti.

– Scarpa wysłał oficjalną skargę na niego.

– Jemu? – zapytał komisarz, dodatkowo naruszając protokół przechyleniem głowy w kierunku gabinetu zastępcy komendanta, Giuseppe Patty.

– Gorzej: prefektowi i komendantowi – odparła, wskazując dwóch najwyższych rangą funkcjonariuszy wymiaru sprawiedliwości w mieście.

– Na co się skarży?

– Zarzuca Alvisemu użycie siły w karygodny sposób.

Nie mogąc w to uwierzyć, Brunetti odwrócił się do inspektora.

– Alvisie. Użycie siły w karygodny sposób – rzekł Vianello, jakby pragnął, by Brunetti mógł usłyszeć absurdalność w zestawieniu tych słów. Inspektor spojrział w stronę *signoriny* Elettry, chcąc skierować uwagę komisarza z powrotem na sekretarkę Patty.

– Porucznik oskarża go o napaść na jednego z demonstrantów w zeszłym tygodniu – wyjaśniła Elettra.

– Kiedy to powiedział? – zapytał Brunetti. Był świadkiem protestu na Piazzale Roma, zorganizowanej naprędce demonstracji z udziałem około stu bezrobotnych mężczyzn, którzy zdołali zablokować cały ruch samochodowy do Wenecji. Ponieważ nie uprzedzili o niej ani nie wystąpili o pozwolenie na jej organizację, policja nie spieszyła się z przybyciem, a gdy już przybyła, zastała kierowców i demonstrantów obrzucających się wyzwiskami; nie bardzo było wiadomo, jak ich od siebie odróżnić, ponieważ część kierowców wysiadła z samochodów.

Przybycie policjantów w maskach i hełmach, w których wyglądali niczym ponure chruszczki, oraz nagły ulewny deszcz ostudziły zapał demonstrantów, którzy zaczęli się rozchodzić.

Jeden z nich upadł jednak lub został powalony na ziemię. Uderzył przy tym głową o krawężnik i trzeba go było zawieźć karetką do szpitala. Wtedy jakiś świadek zeznał, że mężczyzna prawdopodobnie upadł, bo potknął się o jedną z flag porzuconych przez demonstrantów.

Dwa dni później czterech uczestników demonstracji przyszło do komendy, aby oficjalnie zaświadczyć, że ich kolega został powalony na ziemię pałą funkcjonariusza Alvisiego; znali jego nazwisko, ponieważ widzieli, jak się to stało. Okazało się, że wszyscy są członkami tego samego związku co ofiara rzekomej napaści. Zastępca komendanta, z którym skontaktowano się telefonicznie, powierzył śledztwo porucznikowi Scarpie, ten zaś zaczął od wniosku o zawieszenie Alvisiego bez prawa do pensji do czasu zakończenia postępowania.

Komisarz słuchał tego z rosnącym zdumieniem: nigdy wcześniej czegoś takiego nie zrobiono. I jak, na litość boską, Alvisie miał zapłacić czynsz?

– Godzinę po poinformowaniu Alvisiego – ciągnęła *signorina* Elettra – otrzymaliśmy trzy telefony od prasy, z dwóch wydań ogólnokrajowych i z „Il Gazzettino”. – Zerknęła na Vianella, a potem na Brunettiego i dodała: – Żaden z reporterów nie chciał mi zdradzić, jak się o tym dowiedział, a jeden zapytał, czy to prawda, że Alvisie był już karany za akty przemocy.

Brunetti odwrócił się na dźwięk gromkiego śmiechu inspektora, który zauważył: – Alvisie nie potrafiłby użyć przemocy, nawet gdyby od tego zależało jego życie.

Komisarz, który był tego samego zdania, nic nie powiedział.

– Kiedy zdałam sobie sprawę, jak prasa musiała się dowiedzieć o rzekomych karach dla Alvisiego za stosowanie przemocy, postanowiłam zastrajkować. – Odczekawszy chwilę, dodała: – Ale stawiam się w pracy, ograniczam jedynie ilość pracy, której się podejmę.

– Rozumiem – rzekł Brunetti. – Do jakiego zatem stopnia jest to strajk?

– Jak wyraźnie zaznaczyłam w porannej rozmowie z zastępcą komendanta, nie będę robiła niczego dla porucznika: nie będę rozsyłała jego notatek służbowych, łączyła z nim rozmów telefonicznych, i przestałam się do niego odzywać... niezależnie od tego, jak dużą mogłoby to sprawiać mu przyjemność... głównie jednak nie będę szukała ani przekazywała jakichkolwiek informacji. – Kończąc ten wykaz, Elettra się uśmiechała. Na jej twarzy odmalował się wyraz niezmiernej błogości, gdy dodała: – Trzem dzwoniącym osobom powiedziałam już, że nie mam pojęcia, kim jest porucznik Scarpa, i zasugerowałam, żeby zadzwoniły do Corpo Forestale.

Brunetti przypomniał sobie, że wiele lat temu *signorina* Elettra zdobyła – by użyć najmniej niestosownego terminu – hasło dostępu do komputera Scarpy, ale pytanie, czy ten fakt będzie miał teraz jakieś znaczenie lub się na coś przyda, uznał w tym momencie za niewłaściwe.

– Mogę zapytać, jak zareagował na to *vice-questore*?

– Wydawało się, o dziwo, że jest w stanie znieść tę perspektywę, musiałam więc mu oznajmić, że za każdy dzień zawieszenia Alvisego będę dla niego pracowała dwie godziny mniej, w związku z czym pod koniec tygodnia nie będę robiła dla niego prawie nic, tak jak nic nie robię obecnie dla porucznika. – Elettra była spokojna, niemniej straszna mimo swojego spokoju.

– Jak zareagował, jeśli wolno spytać?

– Skromność nie pozwala mi stwierdzić, że był przerażony – odparła z pewną dumą. – Zmusił mnie tym do wyjaśnienia, że to, co robię, jest naprawdę o wiele łaskawsze od tego, co zrobiono Alvisemu, który został wyrzucony w jednej chwili. – Posłała im jadowity uśmiech, który Brunetti zaczął doceniać, i dodała: – Odzwyczajam przy okazji zastępcę komendanta od tego, co przez lata przerodziło się w żenujące uzależnienie od moich umiejętności.

– To też mu pani powiedziała? – zapytał Brunetti, nie mogąc ukryć zdumienia.

– Oczywiście, że nie, *dottore*. Chyba będzie najlepiej dla nas wszystkich, jeżeli sobie tego nie uzmysłowi.

Rozdział 11

Brunetti w pełni zgadzał się z oceną *signoriny* Elettry.

– Strajkuje pani tylko przeciwko nim? – zapytał, pragnąc to wyjaśnić, zanim poprosi o pomoc.

– Oczywiście. Jeżeli chciałby pan, żebym coś zrobiła, z wielką radością się tym zajmę – odparła, zamykając magazyn. – Nie wiem, czemu zawracam sobie głowę czytaniem tego.

– Moja żona mówi dokładnie to samo o „Muscoli e Fitness” – rzekł komisarz z udawaną powagą.

Signorina Elettra nie dała się jednak złapać w pułapkę.

– Jestem pewna, że interesuje się tym, bo te sprawy były bardzo istotne dla Henry’ego Jamesa.

– Czytała go pani? – zapytał Brunetti, nie mając pewności, czy jest zdumiony, czy zmartwiony.

– Tylko w tłumaczeniu. Obawiam się, że mój umysł jest tak przytępiony czytaniem policyjnych raportów, że trudno mi się skupić na skomplikowanej prozie i zgłębianiu ludzkiej psychiki.

– Zaiste – przyznał cicho komisarz, po czym, wyczuwając zniecierpliwienie Vianella ich żartami, wyjaśnił: – Chciałbym, żeby się pani dowiedziała, czy ktoś umieścił kamerę przy Ponte de le Scuole.

– Chodzi o ten most za San Rocco?

– Owszem.

Już po chwili przypomniała sobie to miejsce i odparła: – Nie sądzę. Znajduje się w tak ustronnym miejscu... – Odwróciła się do Vianella i zapytała: – Jak uważasz, Lorenzo?

– Powinniśmy spróbować u karabinierów – powiedział inspektor, sprawiając wrażenie bardzo zadowolonego z siebie. – Pamiętam, jak jeden z

nich przed laty mówił mi, że instalują sporo kamer, i twierdził, że... – przerwał w tym miejscu, przykuwając ich uwagę – ...chcą je umieścić w mało uczęszczanych miejscach.

– To jakiś żart o karabinierach? – zapytała *signorina* Elettra.

– Coś jest na rzeczy, prawda? – potwierdził Vianello. – Ale nie, właśnie tak powiedział. – Ani komisarz, ani sekretarka Patty nie chcieli tego komentować. Po kilku sekundach inspektor dodał: – I zrobił.

Vianello miał kontynuować, gdy nagle ich głowy odwróciły się równocześnie – niczym słoneczniki ku słońcu – w stronę otwierających się drzwi gabinetu *vice-questore*, a ich twarze zaczerwieniły się w takiej samej fototropicznej reakcji na widok jego surowego oblicza.

– Ty – rzekł Patta na widok Brunettiego, ignorując Vianella, który tego dnia przyszedł do pracy w mundurze i przez to nie był wart uwagi zwierzchnika. – Chcę z tobą porozmawiać. – Początkowo wydawał się nie dostrzegać *signoriny* Elettry, potem jednak posłał jej szorstkie skinienie głową i odwrócił się w stronę gabinetu.

Brunetti, z twarzą równie poważną jak wcześniejsze oblicze zastępcy komendanta, zerknął na swoich współpracowników i wszedł za przełożonym do gabinetu.

Patta stanął pośrodku pokoju, co stanowiło pewny znak, że ich rozmowa będzie prawdopodobnie, bez względu na temat, krótka.

– Co ci wiadomo o tym jej strajku? – zapytał, machając gniewnie w stronę drzwi.

– *Signorina* Elettra właśnie mi o nim wspominała, *vice-questore*.

– Nic nie wiedziałeś?

– Nie, *dottore*.

– Gdzie się podziewałeś? – zapytał Patta ze zwykłą delikatnością, po czym, nie racząc zaczekać na odpowiedź komisarza, podszedł do okna i bacznie przyglądał się budynkom na drugim brzegu kanału. Kiedy już utrwalił sobie w pamięci ich widok, zapytał, nie odwracając się: – Nad czym teraz pracujesz? – Brunetti miał wrażenie, że to pytanie w rodzaju tych, jakie Patta zadawał, gdy

myślał o czymś innym – prawdopodobnie o strajku Elettry.

– Ubiegłego wieczoru ze schodów na moście zepchnięto kobietę. Jest w szpitalu.

Patta się odwrócił.

– Myślałem, że tutaj takie rzeczy się nie zdarzają – powiedział, po czym, na wypadek gdyby Brunetti nie był dostatecznie wyczulony na ton tej wypowiedzi ani na nacisk, jaki położył na słowo „tutaj”, dodał: – W spokojnej Wenecji.

Komisarz ugryzł się w język, jego odpowiedź nie mogłaby zabrzmieć bardziej neutralnie: – Kiedyś z pewnością tak było, *dottore*, ale w ostatnich latach przyjeżdża do nas tyle osób..., że już tak nie jest. – Wyciąwszy słowa „z Południa” i zastąpiwszy je dłuższą pauzą po słowie „osób”, uznał, że jego wypowiedź jest prawdziwa i wyważona zarazem.

Patta chyba czytał w myślach Brunettiego, bo jego głos stał się cichy i niemal złowieszczy.

– Czy przeszkadza ci to, że jest tu nas tak wielu, *commissario*?

Brunetti wzdrygnął się nieznacznie, lecz w widoczny sposób, by okazać zaskoczenie, i odparł: – Miałem na myśli turystów, *vice-questore*, nie zaś ludzi, którzy przyjeżdżają tutaj do pracy... – rozważał, czy coś powiedzieć, pomyślał, że powie, rozmyślił się, a potem uznał, że ma to gdzieś, i dokończył zdanie: – dla dobra miasta, takich jak pan. – Uśmiechnął się i pogratulował sobie powściągliwości, dzięki której nie uwzględnił w tym gronie porucznika Scarpy.

Zastanawiał się, co zrobi Patta i czy nie posunął się za daleko w prowokowaniu swojego przełożonego. Szef nie mógł go po prostu zwolnić, ale obaj funkcjonowali w tym systemie dostatecznie długo, by rozumieć, że zastępca komendanta ma znajomych, którzy są wystarczająco wpływowi, by uprzykrzyć życie Brunettiemu, tak samo jak komisarz dzięki swoim koneksjom może przysporzyć poważnych problemów Patcie. Brunetti mógłby zostać przeniesiony w jakieś okropne miejsce, a przecież było ich na tyle dużo, że aż w głowie się może zakręcić. Patta mógł również podążyć łatwiejszą drogą i dopilnować, by przeniesiono znajomych i stronników

Brunettiego w komendzie: okropnych miejsc z pewnością nie brakowało.

Rozmyślając o tych sprawach, komisarz stał z dłońmi splecionymi na plecach i wzrokiem utkwionym w duże zdjęcie Prezydenta Republiki wiszące za biurkiem Patty. Zaczął sporządzać alfabetyczny spis okropnych miejsc, do których mógł być odesłany, i doszedł do Katanii, gdy *vice-questore* rzekł: – Opowiedz mi o tym zdarzeniu na moście. Co dokładnie się stało?

– Wczoraj późnym wieczorem młoda kobieta została zepchnięta ze schodów przez kogoś, kto wcześniej odezwał się do niej.

– Odezwał się? W jaki sposób? – zapytał Patta. Podszedł do biurka i zajął miejsce w fotelu, skinieniem dłoni wskazując komisarzowi krzesło przed biurkiem.

Brunetti usiadł.

– Tuż przedtem, zanim ją pchnął, powiedział: „Jesteś moja”.

– Wierzysz w to? – upewnił się Patta, nie będąc w stanie zapobiec temu, by instynktowna podejrzliwość wkradła się do jego głosu.

Nie zważając na ten sceptycyzm, zainteresowany jedynie pytaniem komisarz rzekł: – Wierzę.

– Co jeszcze ci powiedziała? – zapytał, po czym dodał: – To ktoś ważny?

W normalnych okolicznościach Brunetti odwróciłby sens takiej uwagi i zrewanżowałby się swojemu przełożonemu filozoficznym dociekaniami o tym, jak najlepiej określić czyjąś ważność, dzisiaj jednak chciał unikać kłopotów, więc odparł: – Korzysta z gościny w La Fenice, wydaje się również, że *signora* Petrelli ma o niej wysokie mniemanie. – Wiedział, że obydwa te stwierdzenia są prawdziwe, lecz zestawione w ten sposób, całkowicie zwodnicze.

– Petrelli? – zdziwił się Patta i dodał: – Zgadza się, przecież wróciła. Co ona ma wspólnego z tą dziewczyną?

Brunettiemu nie spodobało się to pytanie ani zawarta w nim insynuacja.

– Z tego, co mi wiadomo, słyszała, jak ta młoda kobieta śpiewa w teatrze, i zatrzymała się, żeby jej pogratulować – wyjaśnił, jakby nie słyszał ani nie rozumiał podtekstu w słowach Patty.

– Więc ta kobieta tam śpiewa?

– Oczywiście – odparł Brunetti, jakby całe miasto ustawiało się do niej w kolejce po autograf. – Kilka wieczorów temu byliśmy tam na przedstawieniu i entuzjazm *signory* Petrelli wydaje się uzasadniony. – Na tym poprzestał; co najmniej jedno z tych stwierdzeń było bezsprzecznie prawdziwe.

– W takim razie... – zaczął Patta i Brunetti czekał, aż jego przełożony wyciągnie jakiś pomocniczy kalkulator, którym tylko on umiał się posługiwać, i obliczy zależność między ważnością ofiary a ilością czasu, który funkcjonariusze policji powinni poświęcić na zbadanie jej sprawy. Po wykonaniu obliczeń Patta wsunął ów kalkulator z powrotem do kieszeni w swoim umyśle, a następnie zapytał: – Możesz się tym zająć?

Brunetti wyjął z kieszeni notes i go przekartkował.

– O drugiej mam spotkanie – co było kłamstwem – ale potem jestem wolny.

– W takim razie spróbuj się czegoś dowiedzieć – rzekł Patta. – Nie możemy pozwolić, by działy się takie rzeczy. – Dyrektor miejscowego Urzędu Turystyki nie mógłby wyrazić tego jaśniej.

Brunetti wstał dziarsko, skinął głową i wyszedł z gabinetu. Zastał *signorinę* Elettrę samą przed komputerem, robiącą dla niego to, czego sam nie chciał się nauczyć.

– Lorenzo? – zapytał.

– Musiał się z kimś spotkać.

– Coś wiadomo?

– Zanim wyszedł, powiedział, że dzwonił do karabinierów. Okazało się, że rzeczywiście mają kamerę po drugiej stronie mostu, na którym znaleziono tę dziewczynę; pokazuje prawą stronę, prowadzącą do San Rocco. – Odsunęła się wraz z fotelem od biurka i pokazała na ekran, mówiąc: – Właśnie mi to przysłali.

Nie próbując maskować zaskoczenia, komisarz powiedział: – Karabinierzy naprawdę to zrobili?

– Inspektor wyświadczył im w przeszłości kilka przysług.

Brunetti nie miał pojęcia, o jakie przysługi mogło chodzić, i nie chciał tego

wiedzieć.

– Już nigdy nie opowiem żadnego dowcipu o karabinierach – skłamał.

Posyłając mu sceptyczne spojrzenie, *signorina* Elettra przesunęła swój fotel w bok, żeby zrobić miejsce dla komisarza. Brunetti pochylił się, chcąc lepiej widzieć ekran. Obraz początkowo przypominał mu zdjęcie rentgenowskie: szare, ziarniste i zupełnie nieostre. Dostrzegł balustradę – tylko dlatego jednak, że wiedział, iż patrzy na most – u góry ekranu oraz tylną ścianę Scuola di San Rocco, chociaż mogła to być ściana dowolnego budynku. Pojawił się jakiś ruchomy kształt: niewielka, okrągła, falująca, ciemnoszara bryła w prawym dolnym rogu ekranu. Bardzo szybko wyrosły z niej ramiona, tors, nogi i stopy, bryła przesunęła się, a potem jej części zniknęły w odwrotnej kolejności, gdy znalazła się na drugiej stronie mostu.

– To wszystko? – zapytał, nie potrafiąc ukryć rozczarowania.

Signorina Elettra wzruszyła ramionami i przesunęła fotel do przodu. Przycisnęła kilka klawiszy; inne szare kształty przemknęły po moście, jakby ślizgały się po stopniach schodów.

Komisarz przyglądał się, jak dwa, trzy z nich przemierzają most w obu kierunkach, potem stracił rachubę. Na ekranie długo widać było jedynie balustradę mostu i mur budynku z tyłu. *Signorina* Elettra dotknęła klawisza, ale nic się nie zmieniło.

Na ekranie gwałtownie pojawiła się czyjaś sylwetka, co wywołało u nich obojga stłumiony okrzyk. Brunetti obserwował, jak wystrzeliło z niej coś cienkiego i stuknęło o schody, następnie odsunęło się, po czym cała sylwetka runęła na ziemię, pociągając za sobą kolejną z tych małych okrągłych brył, tyle że ta odbiła się od stopnia i wtedy wszystko znieruchomiło.

Mijał czas.

– Przyspieszę to – powiedziała *signorina* Elettra. Na ekranie przez pewien czas nic się nie działo.

Nagle w prawym dolnym rogu pojawiły się dwa okrągłe kształty, w których Brunetti rozpoznał głowy. Komisarz obserwował, jak na ekranie ukazują się całe sylwetki, po czym widoczni mężczyźni podbiegają po schodach do

nieprzytomnej kobiety. Jeden uklęknął przy niej, podczas gdy drugi poruszył ręką i przyłożył coś do ucha. Ten klęczący zdjął marynarkę i okrył nią kobietę, po czym obaj wstali i zastygli w bezruchu.

Signorina Elettra przewinęła obraz i mężczyźni przenieśli się na koniec mostu z nerwowym ożywieniem bohaterów odtwarzanego w przyspieszonym tempie filmu. Jeden z nich dwukrotnie podbiegł i przyklęknął obok nieruchomej postaci na schodach. Po chwili głowy obydwu równocześnie odwróciły się błyskawicznym ruchem w lewo, po czym na scenę wpadło dwóch następnych mężczyzn ubranych na czarno.

Elettra pochyliła się, dotknęła klawisza i wszystko na powrót toczyło się w normalnym tempie. Mężczyźni w czerni uklękli przy leżącej osobie, która zdawała się poruszać. Jeden karabinier położył dłoń na ramieniu kobiety i pochylił się nad nią, mówiąc jej coś do ucha.

Kobieta znieruchomiała.

Signorina Elettra znowu przewinęła taśmę; jeden z umundurowanych funkcjonariuszy skoczył na równe nogi na przekór prawu ciężenia; potem to samo uczynił drugi. Nagle ekran zapełnił się ludźmi, gdy przy moście pojawili się z noszami dwaj mężczyźni w białych uniformach. Wyglądało na to, że rozmawiają z karabinierami, po czym wbiegli na most i położyli na nim nosze. *Signorina* Elettra spowolniła bieg zdarzeń na filmie i mężczyźni w białych uniformach zanieśli kobietę na środek mostu; jeden karabinier szedł tuż za nimi. Sanitariusze ułożyli kobietę na noszach, a następnie podnieśli je i zniknęli wraz z nią w lewym dolnym rogu ekranu.

Sekretarka Patty dotknęła kolejnego klawisza i osoby na filmie ponownie zastygły w bezruchu niczym dzieci w zabawie.

– Mogę obejrzeć moment, w którym ona upada? – zapytał Brunetti.

Signorina Elettra spełniła jego życzenie i znowu oglądali sytuację, w której młoda kobieta się przewraca. Zobaczyli, jak ona bezskutecznie próbuje zamortyzować upadek ręką i uderza głową o krawędź schodów.

– Proszę jeszcze raz – rzekł Brunetti i zaczęli od początku. Tym razem nie zważał – lub starał się nie zważać – na upadającą kobietę i szukał za jej plecami jakichś oznak ruchu. Coś się ruszało. – Może pani to spowolnić?

Znowu puściła nagranie i tym razem młoda kobieta wyglądała tak, jakby upadała pod wodą, osuwając się elegancko aż do kontaktu z ziemią, na której miała złamać rękę i skaleczyć się w głowę.

Brunetti ignorował to i bacznie przyglądał się miejscu za nią. I znowu to zobaczył: ciemna pionowa smuga, która pojawiła się z tyłu, a potem odpłynęła, a tuż za nią podążył jakiś cienki, prążkowany i poziomy przedmiot. Błysnął w miejscu, w którym wcześniej znajdowała się pionowa smuga, potem zaś został wciągnięty z powrotem na lewą stronę.

Signorina Elettra wróciła do początku sceny i oglądali te same zjawy: najpierw ciemną pionową, a potem prążkowaną poziomą; obie pojawiały się z tego samego miejsca i w nie powracały.

Sekretarka Patty nacisnęła odpowiedni klawisz i nagranie wróciło do punktu wyjścia, raz i drugi. Kiedy puszczone w zwolnionym tempie film doszedł po raz czwarty do momentu, gdy na ekranie ukazywał się kilkucentymetrowy znikający poziomy przedmiot, Elettra zatrzymała kadr i odwróciła się do komisarza, żeby zapytać: – Co to pana zdaniem jest?

– Płaszcz i szalik – odparł bez wahania. – Przeszedł na środek mostu, przyjrzał się temu, co zrobił, a potem odwrócił się i poszedł na drugi brzeg kanału. – Brunetti pochylił się i dotknął palcem ekranu. – To jego szalik, unoszący się w powietrzu.

– Sukinsyn – szepnęła *signorina* Elettra i wtedy po raz pierwszy w ciągu tych wszystkich lat komisarz usłyszał, jak sekretarka Patty używa ostrego języka. – Mógł ją zabić.

– I chyba sądził, że to zrobił – odparł ponuro Brunetti.

Rozdział 12

Signorina Elettra zachowywała milczenie, wpatrując się w ostatnią falę poziomych linii. Wsparła brodę na dłoni i dalej bacznie się im przyglądała. – To raczej nie mogło być nic innego, prawda? – przyznała w końcu. Nachyliła się bliżej ekranu, nacisnęła klawisz i obraz na monitorze nagle zrobił się większy. – Niech pan popatrzy.

Widać nawet frędzle.

Brunetti pochylił się i spostrzegł, że Elettra ma rację. Cofnął się, wsadził ręce do kieszeni i wpatrywał się w obraz na ekranie, analizując możliwy przebieg zdarzeń.

– Spadła ze szczytu schodów – rzekł. – Albo więc on ją śledził, albo czekał w pobliżu mostu, co oznacza, że wiedział, którądy będzie szła. Potem, gdy już ją pchnął, nie mógł się oprzeć pokusie sprawdzenia, co się jej stało. – Przemyslał to jeszcze raz i dodał: – Poruszyła się dopiero wtedy, gdy podeszli do niej ci mężczyźni.

– Więc on rzeczywiście sądził, że ją zabił – dokończyła za niego Elettra. Po czym głosem pełnym oburzenia i odrazy stwierdziła: – Boże, to straszne.

Brunetti spostrzegł, że zamknęła oczy i postanowił milczeć, dopóki się nie uspokoi. Podeszedł do okna i przyglądał się pnączom w ogrodzie *palazzo*, gdzie przez ostatnią dekadę nie widział innych oznak życia niż to coroczne odradzanie się stale rozrastającej się rośliny. Za miesiąc glicynia będzie w pełnym rozkwicie, na razie jednak jej pnącza będą czały się groźnie na murze, najwyraźniej nie mając ochoty wyjawić swojego sekretu aż do dnia, gdy nagle kwiaty pojawią się tam, gdzie nie było ich dzień wcześniej, a ich woń wypełni wszystkie pokoje w komendzie. Usłyszał z tyłu, jak *signorina* Elettra mówi swoim normalnym głosem: – Zazwyczaj to mąż, chłopak, eksmąż bądź były chłopak lub ktoś, kogo ona próbuje uczynić byłym.

Brunetti doszedł do tego samego wniosku i uznał, że nie ma innego wyboru

niż wrócić do szpitala i jeszcze raz porozmawiać z napadniętą dziewczyną.

– Ona się nazywa Francesca Santello – powiedział.

– Ile ma lat?

– Jest młoda. – Komisarz nie pamiętał, co napisano w szpitalnej karcie, i nie potrafił nic więcej dodać. – Wygląda na osiemnaście. Bądź niewiele więcej.... Studiuje w Paryżu.

– Mam spróbować czegoś się o niej dowiedzieć?

Brunetti skinął głową i zauważył: – Sprawia sympatyczne wrażenie.

– Sympatyczne dziewczyny nie zawsze mają sympatycznych chłopaków – odparła *signorina* Elettra.

Komisarz połączył skinienie głową ze wzruszeniem ramion, by pokazać, że się z nią zgadza i z rezygnacją akceptuje, że taki jest świat.

– Dziwne jest to, jak stał na moście i na nią patrzył – zauważyła poważnym głosem. – Maniak by się tak nie zachował. Popchnąłby ją dla zabawy i uciekł. Ten człowiek chciał jednak zobaczyć, co zrobił. – Zamyśliła się. – Sprawdź to.

Brunetti zerknął na zegarek i postanowił wrócić do domu na obiad, a potem pójść do szpitala w godzinach, gdy jest on, przynajmniej teoretycznie, zamknięty dla odwiedzających.

– Gdzie ona leży? – zapytała *signorina* Elettra.

– Na kardiologii.

Sekretarka Patty nie zdołała ukryć zaskoczenia.

– Co takiego?

– Nie mieli innego miejsca.

Elettra w końcu spytała: – Myśli pan, że tam jest bezpieczna?

– Równie bezpieczna jak wszyscy pacjenci.

Zamierzał poprosić Vianella, by poszedł z nim tam po obiedzie, ale zmienił zdanie. Miał świadomość, że podczas pierwszej rozmowy w szpitalu dziewczyna była półprzytomna i mogłaby go nie pamiętać. Lepiej więc, żeby po przebudzeniu ujrzała stojącą przy łóżku kobietę. Zadzwoił do Claudii

Griffoni i zapytał, czy może się z nim spotkać o trzeciej przed drzwiami frontowymi szpitala, by swą „kobiecą obecnością podziałać uspokajająco” na ofiarę napaści, kiedy on będzie ją przesłuchiwał.

Załatwiwszy tę sprawę, poszedł do domu, tracąc czas na niemal pustych uliczkach, dopóki jeszcze mógł. Na Campo Santa Marina zauważył, że stoliki przed barem Didovich są zajęte, a większość gości siedzi z zamkniętymi oczami, wystawiając twarze do słońca. Na ich widok przypomniał sobie zasłyszane u amerykańskiego turysty sformułowanie: „filtry przeciwsłoneczne są dla maminsynków”. Pamiętał również, że powtórzywszy te słowa Rizzardiemu, wywołał rzadki u patologa uśmiech.

Zgodnie z przypuszczeniami zastał swoją rodzinę siedzącą rzędem na tarasie w podobny sposób, jak siedzieli goście w barze: Paola, w rękawiczkach i wełnianym szaliku na szyi, czytała.

Chiara miała na sobie T-shirt, którego widok sprawił, że Brunetti poczuł gęsią skórę na rękach. Siedziała na odchyłonym do tyłu krześle, ze stopami na poręczu i zamkniętymi oczami; wszystko wskazywało, że była pogrążona w głębokim śnie. Raffi miał na uszach słuchawki i siedział z zamkniętymi oczami, kręcąc głową na boki, jakby cierpiał na chorobę Parkinsona lub pisał w tańcu Świętego Wita.

Żadne z nich nie zauważyło jego przybycia. Stał i bacznie im się przyglądał. Jego żonę porwał kult słów, córkę słońce, a syna coś, czego on nie chciał nazywać muzyką. W swojej ucieczce w odmienne stany świadomości porzucili wszelką myśl o nim. Oraz, jak się wydawało, wszelką myśl o obiedzie.

Wycofał się do kuchni i zobaczył czerwone światełko, które sygnalizowało, że piekarnik jest włączony, będzie zatem coś do jedzenia, kiedy już żywe trupy z tarasu wstaną z krzeseł i dołączą do niego. Nie mając nic lepszego do roboty, Brunetti nakrył do stołu, starając się robić przy tym jak najwięcej hałasu. Pozwolił, by talerze brzękały na drewnianym blacie, stuknął dwoma widelcami o talerz i przesunął na drugą stronę stołu noże, z których jeden przyjemnie przy tym zazgrzytał. Do tego serwetki, rozczarowująco ciche, i kieliszki, które pobrzękiwały. Na kuchennym blacie leżał zapakowany w

papierową torebkę bochenek chleba i Brunetti, wyjmując go, bardzo szeleścił papierem. Przez chwilę myślał o tym, żeby nadmuchać torebkę i przebić ją z hukiem, ale uznał, że to będzie nie fair. Wyjął wiklinowy koszyk z pieczywem i pokroił połowę bochenka na kromki grubości, która odpowiadała tylko jemu, postanowiwszy zadowolić się jednym z drobniejszych zwycięstw, jakie niesie życie. Wyciągnął butelkę wody mineralnej, po czym otworzył lodówkę i znalazł napoczętą butelkę pinot grigio. Gdy obie znalazły się na stole, nie widział powodu, by dłużej czekać. Poza tym pora obiadu już dawno minęła i był bardzo głodny. Wrócił na taras i zobaczył ich troje, skamieniałych niczym gipsowe odlewy ofiar eksplozji Wezuwiusza w Pompejach.

– Zjemy teraz obiad? – zapytał normalnym tonem. Żadne z nich nie zareagowało, co mógł wybaczyć jedynie Raffiemu, który właśnie wybijał spazmatyczny rytm na swoich udach. – Zjemy teraz obiad?! – powtórzył, tym razem głośniejszym głosem. Paola oderwała wzrok od książki i popatrzyła na niego, ale był pewny, że go nie widzi. Jej oczy pozostały skupione na jakimś miejscu lub świecie wewnętrznym, gdzie ludzie mówili przemyślanymi pełnymi zdaniem i nie robili wielkiej sprawy z tego, o której godzinie zjedzą posiłek. Chiara otworzyła oczy, podniosła rękę, żeby osłonić je przed słońcem, i zobaczyła ojca.

– Och, jesteś – powiedziała z uśmiechem. – Jak miło. – Irytacja spakowała swoje manele, otworzyła drzwi i ciągnąc za rękaw zniecierpliwienie, rozpoczęła długi marsz na parter.

Paola położyła otwartą książkę na balustradzie tarasu okładką ku górze i wstała.

– Która godzina? – zapytała. – Nie słyszałam cię.

– Właśnie przyszedłem – wyjaśnił.

Ruszyła ku niemu, wciąż wydając się lekko olśniona słońcem bądź lekturą. Kiedy dotarła do męża, dotknęła jego ręki i pocałowała go w ucho.

– Zjemy frittate z cukinią i nadziewaną pierś z indyka – powiedziała.

– Odrywam cię od czegoś ważnego? – zapytał, zerkając na książkę, którą Paola zostawiła na tarasie.

– Od prawdy, piękna, stylowej prozy, bolesnej psychologicznej przenikliwości, porywających dialogów – wyrecytowała Paola.

– Po prostu nie możesz się rozstać z Agathą Christie, prawda? – rzekł Brunetti i ruszył z powrotem do kuchni.

Paola zabrała książkę, położyła ją przed Raffim i wyrwała mu słuchawki z uszu, po czym poruszyła ustami, jakby coś mówiła.

Raffi dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że matka żartuje, i wtedy łaskawie się roześmiał.

– Umieram z głodu – powiedział do oddalającej się matki, jakby nie robił tego co najmniej raz dziennie, odkąd tylko nauczył się mówić.

On i Chiara weszli za matką do kuchni i zajęli swoje miejsca przy stole. Paola pochyliła się nad piekarnikiem i rzuciła przez ramię: – Dziękuję, że nakryłaś do stołu, Chiaro.

Chiara spojrzała ze zdziwieniem najpierw na nią, potem na brata, który pokręcił głową, po czym składając ręce na piersiach, wskazał palcem na ojca, który przytknął palec do ust. Jego gest pozwolił Chiarze na stwierdzenie: – Cóż, zawsze wszystko sama gotujesz, mamó, więc ja przynajmniej to mogę zrobić.

Raffi wielokrotnie wkładał palec wskazujący do otwartych ust, ale ani słowem nie zdemaskował perfidii swojej siostry. Posiłek minął spokojnie, przy leniwie toczącej się rozmowie ludzi, którzy czuli się swobodnie w swoim towarzystwie. Paola zapytała Raffiego, czy Sara przyjedzie z Paryża na Wielkanoc do domu, a gdy odparł, że tak, zapytała, czy za nią tęskni. Chłopak spojrzał znad swojego deseru, tortu dyniowego z rodzynkami, odłożył widelec na talerz i przyłożył dłoń do serca.

– Nie myślę o niczym innym. Tęsknię za nią tak, jak rozbitek tęskni za widokiem żagli na horyzoncie, jak człowiek zagubiony na pustyni tęskni za widokiem płynącego powoli strumyka, jak...

– Przymierający głodem tęskni za kawałkiem chleba. Jak... – zaczęła wyliczać Chiara, której przerwała Paola.

– Czyż to nie ciekawe – zauważyła głosem, jakiego używała do snucia

domysłów – że tęsknotę tak często wyraża się w kategoriach fizycznych: głodu, pragnienia, fizycznego bezpieczeństwa?

– Do czego więc powinniśmy tęsknić? – zapytał Brunetti. – Do powszechnego pokoju?

– Nie o tym mówię – odparła Paola. – Ciekawe jest to, że tęsknota jest częściej wyrażana w kategoriach fizycznych niż duchowych czy intelektualnych.

– Tak jest bliżej znaczenia tego słowa – zauważyła Chiara. – Człowiek źle znosi fizyczny niedostatek: wody, jedzenia, snu. Odczuwa go.

– Sądzę, że człowiek gorzej znosi brak wolności i spokoju umysłu – wtrącił Brunetti.

Raffi dalej jadł tort, jakby uznał to za zdecydowanie ciekawsze zajęcie niż snucie tego rodzaju rozważań.

– Ale fizyczny ból szkodzi – nie ustępowała Chiara. – Nikt nie umiera na złamane serce.

Paola położyła dłoń na własnym udręczonym sercu. Sięgnęła przez stół i ujęła dłoń męża.

– Widzę, Guido, że wychowaliśmy dzikuskę.

Brunetti uznał, że już pora udać się na spotkanie z Griffoni.

Rozdział 13

Claudia zjawiała się o trzeciej. Wysoka, jasnowłosa, niebieskooka, swoim wyglądem zadawała kłam wszelkim z góry przyjętym osądom weneccjan o neapolitańczykach, natomiast błyskotliwą inteligencją i spostrzegawczością potwierdzała inne. Pogodny dzień zachęcał do pozostania na schodach szpitala, więc Brunetti, stojąc na nich, opisał napaść i zawartość materiału filmowego z okolic mostu.

– Widać jedynie płaszcz i szalik tego mężczyzny? – upewniła się Griffoni.

– Tak. – Komisarz cofnął się o krok i przystanął, a następnie obrócił się ku niej gwałtownie, pozwalając, by jego ręka imitowała wirujący w powietrzu szalik. Jakaś przechodząca po *campo* kobieta posłała im dziwne spojrzenie, po czym weszła do szpitala.

– Stał tam i patrzył?

Brunetti skinął głową.

– A potem odwrócił się i zniknął na drugim końcu mostu.

Griffoni spojrzała w bok na most prowadzący na *campo*, jakby próbowała sobie wyobrazić na nim takie same wydarzenia.

– Pójdziemy z nią porozmawiać?

Brunetti poprowadził ich dziedzińcem wypełnionym wonią ziemi pragnącej otworzyć się na nadejście wiosny. Pozwalając nogom podążać krętą ścieżką pamięci, gdy przemierzali szpital, przekazał Griffoni swą skąpą wiedzę o dziewczynie: studiowała śpiew w Paryżu, ale była tu na feriach międzysemestralnych i ćwiczyła w teatrze ze swoim ojcem, jednym z *ripetitori*.

– Jest dobrą śpiewaczką? – zapytała Claudia.

– Jej ojciec tak zapewne uważa. – Brunetti zastanawiał się nad możliwym, lecz niezbyt prawdopodobnym związkiem między Francescą Santello a Flavią

Petrelli. Obie śpiewały; obie padły ofiarą prowokacji, chociaż uświadomił sobie, że to marne słowo na opis tego, co przydarzyło się Francesce. W końcu postanowił to powiedzieć, choćby po to, by sprawdzić, jak to zabrzmiał. – Flavia Petrelli gratulowała jej śpiewu. Ktoś mógł to usłyszeć.

Claudia zatrzymała się nagle.

– Mógłbyś to powtórzyć?

– Signora Petrelli ma fana, który chyba przyjechał za nią tutaj – rzekł komisarz, mówiąc powoli, żeby dać sobie czas na nadanie odpowiedniego kształtu swojej opowieści. – Przysłała jej kwiaty w ogromnych ilościach. Zaczęło się to w Londynie, zdarzyło się w Sankt Petersburgu, a potem przysłał następne do jej garderoby po premierze w tutejszym teatrze. Gdy dotarła do domu, znalazła kolejny bukiet w budynku, w którym się zatrzymała, pod drzwiami swojego mieszkania. Nikt nikogo nie wpuszczał do środka.

Claudia potarła policzek, a potem rozczesała palcami włosy i pociągnęła za kilka kosmyków.

– A ta dziewczyna? Nie rozumiem, jaki związek próbujesz stworzyć.

Brunetti też nie rozumiał; nie wiązał ich w linearny sposób, który ktokolwiek inny uznałby za wiarogodny. Znowu ruszył z Claudią u boku. Minęli bar, ledwie zwracając uwagę na ludzi w kapciach i szlafrokach, którzy stali wewnątrz i pili kawę.

– Uważam, że posyłanie komuś kwiatów... – zaczęła, ale odwróciła się i ujrawszy wyraz jego twarzy, dodała: – No dobrze, kwiatów w dużej ilości, różni się od próby zabójstwa. – Siliła się na ironię, ale zdołała jedynie wyrazić sceptycyzm.

– Jedno i drugie cechuje brak umiaru – nie ustępował komisarz.

– Czy to znaczy, że jedno prowadzi do drugiego? – zapytała głosem, który Brunetti od lat słyszał z ust oskarżycieli.

Przystanął i powiedział: – Claudio, przestań się bawić w złego policjanta, dobrze? Jeżeli uznasz to za zachowanie osoby niezrównoważonej, może zrozumiesz, o co mi chodzi.

Griffoni spojrzała na niego wyraźnie nieprzekonana.

– Gdy starasz się powiązać dwie niezwiązane ze sobą rzeczy, najlepiej jest stwierdzić, że są dziełem szaleńca, czyż nie? Nie potrzebujesz motywu, bo możesz obwinić szaleńca.

– To właśnie mówię – nie ustępował Brunetti. – Szaleństwem jest posyłanie komuś setek kwiatów przez wiele miesięcy w trzech krajach, nie zdradzając swojej tożsamości.

– Setek? – zapytała wyraźnie zaskoczona.

– Tak.

– Ach – westchnęła i po długim wahaniu zapytała: – Widziałeś je?

– Te na scenie tak. Powiedziała mi, że w dniu premiery w jej garderobie znalazło się co najmniej dziesięć bukietów, a następny leżał pod drzwiami mieszkania, kiedy do niego wróciła.

– Rozmawiałeś z nią?

– Rodzice Paoli zaprosili ją na kolację kilka dni po przedstawieniu i wtedy nam o tym opowiedziała.

– Mówiła prawdę?

Nie chcąc pytać Claudii, dlaczego miałby wąpić w słowa Flavii, komisarz odparł łagodnie: – Tak sędzę. Wydaje się wiarygodnym świadkiem. – Gdy Brunetti zadzwonił do Freddy’ego, ten potwierdził opowieść o różach w budynku, dodał jednak, że jego zdaniem Flavia reagowała na nie zbyt nerwowo. „Przecież to Wenecja – dodał – a nie Bronx”.

Głos Brunettiego zapewne zdradził jego rozczarowanie tym, że Claudia nie chciała mu uwierzyć, bo gdy tylko zaczęli wchodzić po schodach prowadzących na oddział kardiologii, powiedziała: – Nie potrzebuję potwierdzenia, Guido. Wierzę ci. Jej też. Po prostu trudno mi uwierzyć, że ktoś byłby aż tak...

– Szalony? – podpowiedział Brunetti.

Griffoni zatrzymała się przy drzwiach oddziału i spojrzała na komisarza.

– Owszem, szalony.

Brunetti wyciągnął rękę i pchnął drzwi, po czym wszedł za Claudią na oddział. Gdy podeszli do dyżurki, ujrzał tę samą pielęgniarkę, z którą już

rozmawiał.

Podniosła wzrok, rozpoznała komisarza i rzekła: – Znaleźliśmy dla niej salę. – Pielęgniarka sprawiała wrażenie autentycznie zadowolonej, że może mu to zakomunikować. Dziewczyna została uznana za ofiarę, przypomniał sobie komisarz, więc teraz była ulubienicą wszystkich.

– Dobrze – odparł z uśmiechem. Uznał, że najlepiej będzie wyjaśnić, kim jest towarzysząca mu atrakcyjna blondynka, wskazał więc na Griffoni i powiedział: – Przyprowadziłem ze sobą koleżankę. Chyba lepiej mieć u boku kobietę, gdy będziemy rozmawiać. – Pielęgniarka skinęła głową na znak zgody. – Jak ona się czuje? – zapytał Brunetti.

– Lepiej. Lekarz zmienił środek przeciwbólowy, więc jest nieco bardziej przytomna niż rano.

– Możemy się z nią zobaczyć? – zapytała Griffoni z szacunkiem, jakie piękne kobiety – o ile są inteligentne – okazują w kontaktach z mniej atrakcyjnymi przedstawicielkami własnej płci.

– Oczywiście – odparła pielęgniarka. – Chodźcie ze mną.

Poprowadziła ich korytarzem i zatrzymała się przy drugich drzwiach. Otworzyła je i weszła bez pukania. Griffoni zdecydowanym ruchem położyła Brunettiemu dłoń na ramieniu i powstrzymała przed wejściem do sali za pielęgniarką.

– Niech nas poprosi – powiedziała.

Po chwili pielęgniarka wróciła i poinformowała: – Pacjentka mówi, że mogą państwo wejść.

Brunetti cofnął się, żeby przepuścić Claudię Griffoni w drzwiach. Znaleźli się w dwuosobowej sali z widokiem na czubki wysokich drzew, które właśnie zaczęły wypuszczać liście. Drugie łóżko było puste, ale pościel była odkryta, a na opartych o wezgielowie poduszkach zostało wgniecenie po kimś, kto tam wcześniej leżał.

Griffoni zatrzymała się w odległości dwóch metrów od łóżka i stała nieruchomo, żeby komisarz mógł podejść do dziewczyny. Francesca wyglądała lepiej: włosy miała uczesane, a na twarzy pojawiły się rumieńce.

Sądząc po minie, było oczywiste, że zapamiętała Brunettiego i ucieszyła się na jego widok. Rozpromieniła się i komisarz znowu dostrzegł piękno w jej uśmiechu. – Cieszę się, widząc, że wygląda pani lepiej – powiedział i wyciągnął dłoń na powitanie.

Dziewczyna przywitała się zdrową ręką, mówiąc: – Dzięki Bogu nie jestem pianistką. – Podniosła nieco gips, żeby pokazać drugą, spuchniętą i siną dłoń. I znowu ten miły głos, i nienaganna dykcja.

Komisarz odwrócił się do swojej towarzyszki, która stanęła obok niego przy łóżku.

– To moja koleżanka, Claudia Griffoni – powiedział. Sądząc, że dziewczynie w szpitalnym łóżku spodoba się jego szczerość, dodał: – Pomyślałem, że powinienem przyprowadzić ze sobą kobietę.

– Żebym się mniej bała?

– Mniej więcej.

Dziewczyna zerknęła na policjantkę i napotkała jej wzrok. Zacisnęła usta i zmarszczyła brwi w wyrazie zaskoczenia osobliwą uwagą Brunettiego.

– Dziękuję – powiedziała, po czym, nadal patrząc na Griffoni, dodała: – Nie wygląda zbyt groźnie.

Claudia się roześmiała i komisarz poczuł się dziwnie wykluczony z tego kobiecego powinowactwa. Aby odzyskać swoją pozycję, rzekł: – Chciałbym, żeby mi pani jeszcze raz opowiedziała o wczorajszym wieczorze, przynajmniej tyle, ile pani pamięta.

Griffoni podeszła krok bliżej, postawiła torebkę na podłodze przy ścianie i wyjęła z niej notes oraz pióro. Dziewczyna uśmiechnęła się, jakby nie była jeszcze gotowa zaryzykować ruchu głową z obawy przed bólem. – Myślę o tym od rana, od naszej rozmowy. Próbuję sobie coś przypomnieć, ale to trudne.

Wiem, że mnie popchnął. Nie chcę wymyślać tego, co mogło się wydarzyć wcześniej, i nie chcę niczego pokręcić. Podniosła rękę i pozwoliła jej opaść bezradnie z powrotem na łóżko.

– Jestem pewna jednego: gdy szłam, naprawdę coś słyszałam, chyba od

momentu gdy wyszłam z pizzerii, i też coś wyczuwałam, nie mam jednak pewności, co to było. – Zrobiła pauzę i Brunetti znowu dostrzegł, jak jasne są jej oczy, jak dziwnie nie pasują do ciemnych włosów.

Gdyby była starsza lub bardziej próżna, podejrzewałby, że je farbuje. W tej sytuacji pomyślał, że miała szczęście do genów, którym zawdzięczała kasztanowe włosy przy błękitnych oczach i bardzo jasnej karnacji.

– Obejrzała się pani, żeby zobaczyć, co to jest? – zapytała Griffoni.

Griffoni zadała to pytanie z taką swobodą, jakby już uwierzyła, że dziewczyna rzeczywiście zdawała sobie z czegoś sprawę, i potrzebowała jedynie jaśniejszego wyobrażenia na ten temat. I tą swobodą sprawiła, że z twarzy Franceski zniknęło napięcie.

– Nie. To Wenecja. Tutaj nic złego się nie zdarza.

Brunetti skinął głową i czekał.

– Kiedy znalazłam się na moście, usłyszałam za sobą kroki, ale zanim zdążyłam się odwrócić, usłyszałam, jak on mówi *È mia* naprawdę odrażającym głosem, a potem poczułam pchnięcie. Wtedy myślałam jedynie o tym, żeby nie upaść, by jakoś utrzymać się na nogach i dotrzeć na dół. Ale straciłam równowagę. A potem ten mężczyzna klęczał przy mnie i pytał, czy nic mi nie jest.

– No to jesteśmy w domu – powiedziała Griffoni, odrywając pióro od kartki i wymachując nim w powietrzu. Po czym, poważniejszym tonem, zapytała: – Co pani rozumie przez „odrażający głos”?

Francesca zamknęła oczy i Brunetti zrozumiał, że wraca myślami na most.

– Był bardzo zdyszany – odparła i otworzyła oczy. – Jakby trudno mu było za mną nadążyć lub wejść po schodach. Sama nie wiem. Przypominało to dyszenie. Odgłos, którym można by straszyć dzieci.

– Czy to możliwe, że starał się zamaskować brzmienie swojego głosu? – zapytał Brunetti.

Niebieskie oczy Franceski spojrzały przez okno i długo przyglądały się drzewom. Kiedyś słyszał, że śpiewacy często miewają nadzwyczajną pamięć. Musieli taką mieć. Wyobraził sobie, że dziewczyna przypomina sobie

brzmienie głosu, który usłyszała na moście, i wtedy odparła: – Tak, możliwe. To nie był prawdziwy głos. To znaczy, to nie był normalny głos tego człowieka.

– Na pewno dobrze pani słyszała? Powiedział, że jest pani jego.

– Tak. – Odpowiedziała błyskawicznie i bez wahania.

Brunetti zerknął w bok na Griffoni, zastanawiając się, jak zrozumie jego następne pytanie, ale postanowił i tak je zadać.

– Jest pani pewna, że chodziło mu o panią?

– Oczywiście, że o mnie – odparła z ożywieniem. – Mówiłam panu. Powiedział *È mia*.

Zwracał się do mnie.

Komisarz usłyszał nagle westchnienie Griffoni, ale to dziewczyna zapytała:

– W czym rzecz?

Brunetti obserwował, jak Claudia dokonuje rozbioru gramatycznego przytoczonych słów. Równocześnie dostrzegł, że przygląda się bacznie twarzy Franceski, młodości wyeksponowanej na jej obliczu i w drobnym ciele pod kołdrą. – Nie powiedział *Sei mia*? – zapytała policjantka, nie starając się ukryć niedowierzania. – Do kogoś, kogo spychał ze schodów? – Dziewczyna powiedziała Brunettiemu dwukrotnie, że napastnik zwrócił się do niej tak oficjalnie, i za każdym razem, podobnie jak Claudia, był tym zaskoczony. Jej młody wiek był ewidentny, a napastnik mógł być starszy. Zwracanie się do niej w oficjalny sposób było absurdem. W takim razie ten mężczyzna mówił o jakiejś innej kobiecie: „Ona jest moja”.

Rozdział 14

– Myślę, że on mi mówił, że jestem jego własnością – powiedziała Francesca, wciąż nie rozumiejąc, że mogła nie być głównym celem napastnika. – To właśnie jest takie okropne, że on po prostu decyduje, kto do niego należy. – Słyszając jej gniewne słowa, Brunetti zaczął myśleć, że dziewczyna wyjdzie z tego bez szwanku: ta reakcja była znacznie zdrowsza niż strach i ostrożność.

– Mówiła pani, że nie widziała, by ktoś panią śledził – przypomniał jej.

Odpowiedziała dopiero po chwili.

– Na moście to czułam.

Kiedy to mówiła, komisarz zauważył, że zaczyna słabnąć niczym dziecko, które bawiło się zbyt zapamiętale przez cały dzień i teraz potrzebuje snu. Odwrócił się do komisarz Griffoni i rzekł: – Sądzę, że na początek mamy już wystarczająco dużo informacji, prawda, Claudio?

Policjantka zamknęła notes i wzięła torebkę. Przewiesiła ją przez ramię i podeszła do łóżka.

– Dziękujemy za rozmowę, *signorina* Santello – powiedziała, po czym sięgnęła w dół i uściśnięła delikatnie rękę dziewczyny. Potem przesunęła się, zostawiając miejsce Brunettiemu.

– Czy pani ojciec wie, co się stało? – nie zapomniiał zapytać komisarz.

– Wyjechał na kilka dni do Florencji – odpowiedziała głosem, który stawał się coraz bardziej senny. – Pracuje tam przed festiwalem, akompaniując podczas przesłuchań.

– Powiedziała mu pani o tym, co się stało? – powtórzył Brunetti.

– Tylko tyle, że upadłam i złamałam rękę – odparła Francesca. Opadły jej powieki, ale po chwili ocknęła się, by dodać: – Nie chciałam go straszyć. – Uniosła kąciuki ust na myśl o ojcu albo o tym, że oszczędziła mu zmartwień, i

zasnęła.

Przyglądali się jej przez pewien czas, a potem wyszli. Brunetti zapytał pielęgniarkę w dyżurce, czy wcześniej ktoś przyszedł odwiedzić Francescę. Dowiedział się, że tego ranka przyszła jakaś ciotka, ma wrócić następnego dnia, a pojutrze zabrać ją do domu.

– Ciotka powiedziała mi, że rodzice Franceski się rozwiedli i teraz matka mieszka we Francji – wyjaśniła pielęgniarka, wzruszając ramionami. – Takie czasy, *commissario*.

Brunetti podziękował jej za pomoc. Razem z Griffoni opuścił szpital i ruszyli z powrotem do komendy.

Gdy przechodzili przez *campo*, Claudia powiedziała: – *È mia*. To oczywiste, że mówił o innej kobiecie. Nie zwracałby się do niej per pani. To prawie dziecko, a on próbuje ją zabić, na miłość boską. Na pewno nie zwracałby się do niej oficjalnie.

– A ta druga kobieta? – zapytał Brunetti.

– Nie bądź taki skromny, Guido – odparła z niekłamany rozdrażnieniem.
– Wierzę, że to, co mówiłeś, jest możliwe.

– Tylko możliwe? – zdziwił się, starając się ze wszystkich sił nie sprawiać wrażenia skromnego.

Griffoni uśmiechnęła się i szturchnęła go w bok.

– No dobrze, bardziej niż możliwe. – U stóp Ponte dell’Ospedaletto skręcili w lewo i szli wzdłuż kanału; Brunetti zupełnie nie uświadamiał sobie, że wybrał kierunek marszu, a Griffoni wlokła się niczym ryba pilot u boku rekina, pozwalając mu przewodzić.

Zeszli z następnego mostu i zatrzymali się.

– Co chcesz zrobić? – zapytała Claudia.

– Wysłać Vianella, żeby pogadał z ludźmi z sąsiedztwa i sprawdził, czy widzieli kogoś spędzającego dużo czasu w pobliżu miejsca, w którym ona mieszka – odparł komisarz, po czym dodał: – Chciałbym, żeby ktoś miał oko na tę dziewczynę, ale pod nieobecność Alvisiego jest tak mało ludzi, że nie wiem, czy da się to jakoś załatwić.

– Czemu nie poprosić, żeby to on się tym zajął?

– Kto? Alvisse?

Griffoni skinęła głową i powiedziała: – Niezbyt długo go znam, ale jest lojalny i potrafi stosować się do prostych poleceń. I na pewno bardzo chce wrócić do pracy. Jeżeli więc usłyszy, że to specjalne zadanie, że należy dopilnować, by nic się jej nie stało w szpitalu, skwapliwie skorzysta z takiej szansy.

– Jest zawieszony, a to, jak rozumiem, oznacza, że nie może pracować i nie otrzymuje wynagrodzenia – zauważył Brunetti. – Nie mogę prosić, by podejmował ryzyko pracy bez zezwolenia, a już na pewno nie mogę oczekiwać, żeby robił to za darmo.

Griffoni wyglądała na zamyśloną, po czym stwierdziła: – Myślę, że to nie jest problem.

– Oczywiście, że jest. Jak mamy mu zapłacić... zbierając datki od reszty pracowników? – Mówiąc to, zdał sobie sprawę, jak dziwna jest ta rozmowa. Czy mieli poprosić Scarpę o dołożenie się do wynagrodzenia Alvissego i zagwarantować w ten sposób, że Patta dowie się, co robią?

Griffoni spojrzała na niego i już miała się odezwać, ale zrezygnowała i obserwowała wodę w kanale. Nie znalazłszy tam odpowiedzi, skierowała wzrok z powrotem na komisarza i wyjaśniła: – Możliwe, że *signorina* Elettra nie złożyła wniosku o wstrzymanie wypłaty jego pensji, zanim sama przestała pracować.

– Ona nie przestała pracować – stwierdził dobitnie Brunetti, próbując nadać ich rozmowie trochę sensu. – Strajkuje. – Zastanawiał się, czy tak właśnie czuła się Alicja, zagubiona w lesie słów, z którego nie umiała uciec?

Griffoni nie spierała się o to, tak więc komisarz starał się wzmocnić swoją argumentację.

– Poza tym otrzymuje wynagrodzenie z Rzymu, nie stąd – wyjaśnił. – Jak my wszyscy. – Griffoni z pewnością przynajmniej z tego musi zdawać sobie sprawę.

– Polecenie wstrzymania wypłaty jego pensji wyszłoby stąd, prawda? –

zapytała Griffoni.

– Od porucznika Scarpy, z kontrasygnatą zastępcy komendanta. – Biorąc milczenie Brunettiego za wyraz zgody, dodała: – Są sposoby, żeby to obejść.

Brunetti przyłożył prawą dłoń do twarzy i delikatnie przejechał palcami po włoskach, które wyrosły mu pod dolną wargą od czasu porannego golenia, wmawiając sobie, że słyszy, jak się podnoszą, gdy tylko zniknął nacisk.

– Obejść, powiadasz...

Twarz Griffoni pozostała dziwnie nieugięta, gdy tłumaczyła: – Gdyby to polecenie nie zostało przekazane do Rzymu i gdyby otrzymał nowe zaszeregowanie, otrzymywałby pensję w nieprzerwany sposób.

– Gdyby otrzymał... – Brunetti powtórzył te słowa wypowiedziane w trybie warunkowym, który coraz częściej zakradał się do wielu jego rozmów zarówno z *commissario* Griffoni, jak i z *signoriną* Elettrą. – Nowe zaszeregowanie?

Griffoni uniosła brew i obydwie ręce, jakby chciała zasugerować niezwykle pojemny sens tego sformułowania.

Komisarz przyglądał się uważnie jej twarzy. Czy zmieniła się od momentu, gdy zaprzyjaźniła się z sekretarką Patty? Czy w jej oczach nie pojawiła się pewna szczególna cecha, której wcześniej nie było?

Nie mógł powstrzymać kolejnego pytania: – Ona to wszystko zrobiła?

– Tak.

– A co powiedziała jemu?

– Tylko tyle, że na czas rozpatrywania tej sprawy otrzymuje nowe zaszeregowanie. – Griffoni odwróciła wzrok, po czym znowu spojrzała na Brunettiego. – Teraz pomaga w archiwum.

– W jaki sposób?

– Na tyle, na ile jest w stanie pomóc – odparła Griffoni, nie dodając nic więcej.

Komisarz spojrzał na budynki po drugiej stronie kanału. Okiennice w największym z nich były zbieleiałe od słońca, niektóre przekrzywione. Rynna się obłuzowała i na fasadzie został zaciek.

– Powiedz, żeby kilka razy dziennie przychodził do szpitala i zaglądał do niej, dobrze? – poprosił. – Praca po cywilnemu. Spodoba mu się. – Z jaką łatwością te dwie kobiety potrafiły wplątać człowieka we współudział w swoich machinacjach.

– A gdy ona wróci do domu? Co wtedy? – zapytała Griffoni.

– Jeżeli pozostanie w mieście, on nadal może do niej zaglądać – odparł Brunetti.

Wiedział, że to było niewiele, ale zawsze coś. Alvisie niewiele mógł. Szedł dalej nabrzeżem do komendy. Griffoni podążała za komisarzem.

– Chciałabym usłyszeć, jak śpiewa – powiedziała ku jego zaskoczeniu.

– Dlaczego?

– Ma piękny głos. Wydaje się jednak dziwne, że wydobywa się on z ust takiego chucherka.

Kiedy wchodzili do gmachu komendy, Claudia zapytała: – Czy po rozmowie z Alvisem mam zrobić coś jeszcze?

Fakt, że nie była wenecką, sprawił, że początkowo komisarz nie chciał jej prosić, by poszła do teatru, ponieważ zatrudnieni tam ludzie mogliby nie mieć ochoty na rozmowę z cudzoziemką. No cóż, złagodził to słowo: z osobą, która nie urodziła się w Wenecji. Zaczął jednak podejrzewać, że jej czar i uroda mogą wystarczająco zneutralizować to upośledzenie.

– Sprawdź, czy ktoś w teatrze zauważył coś bądź kogoś, kogo nie powinno tam być.

Nie komentując stopnia ogólności tego życzenia, skinęła głową i zostawiła Brunettiego na szczycie schodów, żeby pójść do swojego gabinetu. Komisarz poszedł do biura *signoriny* Elettry i zastał ją przy biurku. Siedziała wyprostowana, a zamiast czasopisma czytała książkę.

– Wykorzystuje pani strajk do nadrobienia zaległości w lekturze? – zapytał.

Sekretarka Patty nie raczyła na niego spojrzeć albo dlatego, że został objęty jej strajkiem, albo z powodu zauroczenia książką.

Brunetti podszedł bliżej i przeczytał nazwisko na oprawie.

– Sciascia? – zdziwił się. – Czy pracując tutaj, nie dowiaduje się pani

dostatecznie dużo o zbrodni i policji?

To pytanie okazało się wystarczające, by odwrócić jej uwagę od lektury.

– Staram się ograniczyć swoją bezpośrednią z nią styczność.

– Ze zbrodnią?

Elettra spojrzała w stronę drzwi do gabinetu *vice-questore*.

– Z policją – odparła, po czym, reagując na teatralne gesty Brunettiego, dodała tytułem wyjaśnienia: – Ale tylko z tą na określonym szczeblu.

– Mam nadzieję, że mnie to nie dotyczy.

Sekretarka Patty sięgnęła po czerwoną wstążkę zwisającą z oprawy i przed zamknięciem książki wsunęła ją między kartki.

– W ogóle. Jak mogę się panu przydać, *commissario*?

Nie widział powodu, żeby mówić, iż wie o pensji Alvisiego i jego nowym zaszeregowaniu; dopóki oficjalnie o tym nie wiedział, dopóty nie musiał nic w tej sprawie robić.

– Dziewczyna, którą widzieliśmy – zaczął, wskazując ruchem dłoni na ekran komputera – powiedziała mi, że usłyszała wyrazy uznania za swój śpiew od samej Flavii Petrelli. – Dał szansę Elettrze, by zapytała o szczegóły, ale ona odłożyła jedynie książkę i dalej patrzyła na niego z uwagą. – Ona... *signora* Petrelli... ma jakiegoś wielbiciela, którego zachowanie jest, no cóż, pozbawione umiaru – ciągnął. Sekretarka Patty nadal milczała. – Na razie wysyła tylko kwiaty, setki kwiatów, zarówno do jej garderoby, jak i do domu.

– Na razie? – zapytała *signorina* Elettra po długim wahaniu.

Brunetti wzruszył ramionami, żeby wyrazić własny niepokój.

– Nie mam konkretnego powodu, by sądzić, że to ma cokolwiek wspólnego z napaścią na moście. To tylko przypuszczenie.

Elettra rozważała jego słowa z obojętną miną.

– Wie pan, kim jest ten wielbiciel?

– Zupełnie nie – odparł komisarz, ale potem zdał sobie sprawę, że tak naprawdę niewiele się zastanawiał nad jego tożsamością. – To musi być ktoś wystarczająco zamożny, by podróżować tam, gdzie ona występuje, i kupować

aż tyle kwiatów. I na tyle sprytny, i bogaty, by sprawić, że dostarczane są w zasadzie wszędzie, gdzie zechce. – Próbował sobie wyobrazić, co jeszcze ten człowiek musiałby wiedzieć i umieć zrobić. – Musiałby znać Wenecję dostatecznie dobrze, by móc śledzić tę dziewczynę niepostrzeżenie, nie tracąc jej z oczu.

– I tak, żeby ona go nie widziała. Myśli pan, że to oznacza, iż jest weneccjaninem?

– Być może.

– Mam spróbować dowiedzieć się czegoś o tych kwiatkach? – zapytała z entuzjazmem psa gończego spuszczonego ze smyczy na polu.

– Żółte róże. Było ich tyle, że musiał złożyć specjalne zamówienie. Kwaciarnia musiałaby chyba zlecić ich wysyłkę z lądu stałego.

Sekretarka Patty pochyliła się, żeby włączyć komputer.

– Brakowało pani tego – zaryzykował Brunetti, wskazując skinieniem głowy monitor.

– Nie bardziej niż moim przyjaciółkom brakuje dzieci, gdy te wyjeżdżają na studia – odparła w oczekiwaniu, aż rozbłyśnie ekran.

Komisarz uświadomił sobie, jak mało po tylu latach o niej wie. Miała przyjaciółki z dziećmi po maturze, sama jednak z pewnością była zbyt młoda, by mieć dziecko szykujące się do rozpoczęcia studiów. Nie wiedział nawet, ile Elettra ma lat. Gdyby chciał, mógłby bez trudu zajrzeć do jej akt, poznać datę urodzenia i wykształcenie. Nigdy jednak tego nie uczynił, tak jak nigdy nie przeczytałby listów przyjaciela – przynajmniej w czasach gdy ludzie jeszcze pisali listy. Paola, której matka namiętnie czytała książki, odziedziczyła poczucie etyki i honoru szlachetnych bohaterów dziewiętnastowiecznych powieści. On sam zaś, dziwnym trafem, otrzymał bardzo podobne podstawy etyczne od kobiety, która zakończyła naukę na czwartej klasie gimnazjum, i od wiecznie bezrobotnego marzyciela, któremu lata spędzone w obozie jenieckim zrujnowały zdrowie i zaburzyły umysł.

– Słucham? – rzekł, puściwszy mimo uszu jej ostatnie uwagi.

– Powiedziałam, że pozwalam sobie korzystać z niego wybiórczo. –

Wskazała na ekran monitora. – Używam go jak zawsze, tyle że teraz nie robię tego dla dwóch osób. – Komisarz był pod wrażeniem, jak bardzo rozsądnie zabrzmiało to w jej ustach.

– Skoro zaliczam się do tych, dla których nadal pani pracuje – powiedział z udawaną powagą, żeby zademonstrować, jak szczerą ma nadzieję, że tak jest – chciałbym, aby dowiedziała się pani wszystkiego, co się da, o dziewczynie napadniętej na moście. Francesca Santello: rodzice się rozwiedli; matka mieszka we Francji; ona sama podczas pobytów w Wenecji zatrzymuje się u ojca, gdzieś w Santa Croce. Studiuje śpiew w paryskim konserwatorium. – Gdy zauważył, że Elettra notuje, zaczął mówić powoli. – Chociaż Claudia nie jest wenejanką, poprosiłem ją o sprawdzenie, czy w teatrze wydarzyło się coś dziwnego.

Signorina Elettra skinęła głową z taką miną, jakby wspomniał o ograniczeniach wywołanych fizycznym upośledzeniem.

– Zna pani kogoś, kto tam pracuje? – zapytał, dodając: – Jedyna znana mi osoba pięć lat temu przeszła na emeryturę i wyprowadziła się do Mantui.

Odpowiedziała już po chwili.

– W barze na rogu, naprzeciwko teatru pracuje ktoś, z kim chodziłam do szkoły. Mogę zapytać, czy słyszał, jak rozmawiali o czymś dziwnym. Większość obsługi technicznej i pracowników przychodzi tam na kawę, więc mógł coś usłyszeć. – Zanotowała to i zapytała: – Coś jeszcze?

– Chciałbym, żeby spróbowała pani dowiedzieć się czegoś o wielbicielach przychodzących do opery.

Elettra uniosła ołówek, żeby przykuć uwagę Brunettiego.

– Chyba trafniej byłoby ich nazywać prześladowcami.

– Czyimi?

– *Signory* Petrelli.

– A ta dziewczyna? – zapytał komisarz, chociaż znał odpowiedź.

– Jest kimś, kto wszedł mu w drogę.

– Wszedł mu w drogę... – powtórzył Brunetti, z przyjemnością słysząc, jak Elettra potwierdza jego własną opinię.

- Mam się przyjrzeć byłemu mężowi *signory* Petrelli?
- Tak. I niech pani postara się dowiedzieć... Czy plotkarskie magazyny mają wydania internetowe?
- Nie mam pojęcia – odparła beznamiętnie. – Czytam je tylko u fryzjera.
- Jeżeli tak, to czy mogłaby pani sprawdzić, z kim w kilku ostatnich latach była związana?
- Czy oboje myślimy o tym samym?
- Być może – odparł Brunetti. – Proszę po prostu przejrzeć te magazyny – dodał, myśląc, że gdyby zapytał Flavię wprost, oszczędziłby tym *signorinie* Elettrze mnóstwa zachodu i wówczas miałaby przynajmniej więcej czasu na dalsze strajkowanie.

Rozdział 15

W swoim gabinecie Brunetti włączył własny komputer i pomyślawszy, że jest człowiekiem, nie myszą, i z pewnością potrafi zebrać podstawowe informacje, przyjrzał się statystykom dotyczącym stalkerów. Stalker – kolejny termin, podobnie jak „seryjny morderca”, który Anglicy wnieśli do policyjnego języka. Cóż, pomyślał, dali nam również słowo „prywatność”, więc wszystko ma swoje blaski i cienie.

Zaczął czytać wewnętrzne dokumenty i statystyki komendy, a następnie sięgnął do większego zasobu rejestrów prowadzonych przez Ministerstwo Spraw Wewnętrznych. Czytał z rosnącym zainteresowaniem i coraz większym przygnębieniem. Po godzinie rzekł na głos: – To tyle, jeśli chodzi o włoskiego kochanka.

Policja oceniała, że mniej więcej dwie kobiety tygodniowo padały ofiarą zabójstwa, a sprawcą zwykle był jakiś eks. Odnotowywano niezliczone przykłady przypadkowych śmierci oraz rozmaitych bestialskich napaści. Komisarz zastanawiał się, kiedy modne stało się oblewanie kobiet kwasem.

Pamiętał, że przed laty uczestniczył w konferencji w Rimini, gdzie jakiś patolog w garniturze i krawacie, którego z łatwością można było wziąć za małomiasteczkowego aptekarza, mówił o wielu zabójstwach, których co roku nie wykrywano: bardzo częste były nieszczęśliwe upadki oraz przedawkowanie tabletek przez kobiety nadużywające alkoholu.

Lekarz powiedział, że kobiety uderzały się czasem w głowę i tonęły w wannie; kiedyś wykonał sekcję zwłok kobiety, której mąż wrócił do domu z pracy i zastał ją właśnie unoszącą się bezwładnie na wodzie. Tłumaczył policji, że tego ranka zostawił ją śpiącą w łóżku. Ten bardzo zamożny człowiek okazał się także bardzo beztroski, zapomniał bowiem o kamerach monitoringu, które zarejestrowały na taśmie, jak jego żona wchodzi do łazienki, a osiem minut później on, nagi, z dużą płachtą folii bąbelkowej w

ręku wchodzi tam za nią. Ślady tej folii patolog znalazł pod jej paznokciami. „Młodzi, zdrowi ludzie nie upadają w wannie. Pamiętajcie o tym, panie i panowie” – zaznaczył, zanim przeszedł do omówienia swojego kolejnego przypadku.

A młode kobiety nie potykają się i nie przewracają na mostach, dodał w myślach komisarz. Przywołał statystyki ostatnich kilku lat i spostrzegł, że agresja wobec kobiet rośnie w tempie odwrotnym do tempa upadku włoskiej gospodarki. Całkiem spora liczba mężczyzn w obliczu ruiny finansowej wybierała samobójstwo, ale jeszcze większa zwracała swoją wściekłość lub desperację – bądź inną emocję, która ich napędzała – przeciwko najbliższym sobie kobietom, zabijając lub okaleczając je z częstotliwością, która przerażała komisarza.

Były to, pomyślał, kobiety, które znali i – jak twierdzili – wciąż albo kiedyś kochali, w wielu przypadkach kobiety, z którymi wychowywali razem dzieci. Nie były one jakimiś odległymi, nieosiągalnymi gwiazdami scen operowych, śpiewającymi dla tysięcy, ale nie dla nich.

Zamknął program i wpatrywał się w zielone zbocze wzgórza na wygaszaczu ekranu, które było w komputerze, kiedy ten trafił do jego gabinetu i jego życia. Zielone wzgórza, jedno opadające w lewą stronę, a drugie, znajdujące się dalej, w prawo, niemal tak jakby fotograf ustawił je do zdjęcia.

Brunetti nachylił się, otworzył przeglądarkę i wpisał jej nazwisko w okienku, wcisnął klawisz enter i po paru sekundach ujrzął Flavię Petrelli uśmiechającą się do niego tak, jakby chciała mu podziękować za chęć pomocy. Oto ona, przebrana w kostium, piękna, promienna.

Patrzył na jej strój i starał się rozgryźć, jakie role wymagałyby takiego kostiumu. Trafił z hrabiną w *Weselu Figara* oraz, obejrzawszy niedawno tę samą produkcję, Toscę. Kowbojski kapelusz i pistolet pozwoliły rozpoznać w niej Minnie, chociaż Brunetti nigdy nie oglądał *Dziewczyny z Zachodu*. Na następnym zdjęciu Flavia miała na sobie wydekoltowaną krynolinę i włosy – bądź perukę – upięte wysoko na głowie. Nie zawracał sobie głowy czytaniem podpisu.

Przeszedł do Wikipedii i po lekturze zamieszczonego w niej hasła

przypomniawszy sobie, że Petrelli urodziła się w Górnej Adydze przed ponad czterdziestoma laty i tam zaczęła swoją muzyczną edukację. Pomiędzy podsumowanie jej kariery i zaczął czytać krótki akapit zatytułowany „Życie prywatne”. Wspomniano w nim o mężu, z prawidłowo przyporządkowaną hiszpańską narodowością, oraz o dwojce dzieci, których imion nie podano. Jej małżeństwo, przeczytał, skończyło się rozwodem. Pojawiła się tradycyjna wzmianka o „wcześnie odkrytym talencie”, „nadzwyczajnym debiucie” i „mistrzowskiej technice”, a także lista ról, w których wystąpiła. Poza tym nie było nic.

Powracając do Google’a, komisarz otworzył kolejny artykuł, złożony głównie ze zdjęć, ale szybko się zmęczył widokiem peruk i sukien balowych. Miał numer śpiewaczki w swojej komórce i zadzwonił do niej.

– Sì – odebrała po czwartym dzwonku.

– Mówi Guido. Chciałbym z tobą porozmawiać. Dziś wieczorem, o ile to możliwe.

Zapanowało bardzo długie milczenie, ale w końcu Petrelli powiedziała: – O czym chcesz rozmawiać i jak długo to potrwa?

– Chodzi o dziewczynę, z którą rozmawiałaś, a jak długo, nie wiem.

– O dziewczynę? – zdziwiła się. – Jaką dziewczynę?

– O Francescę Santello – wyjaśnił Brunetti, lecz odpowiedzią było milczenie. – Kilka dni temu rozmawiałaś z nią w teatrze.

– Kontralt? – upewniła się Flavia.

– Tak sądzę. Tak.

– Co z nią?

– Mógłbym cię odwiedzić?

– Jestem w teatrze, Guido. Dziś wieczorem mam występ. Jeżeli to, co musisz mi powiedzieć, ma mnie wytrącić z równowagi, to nie chcę teraz tego słyszeć, nie tuż przed przedstawieniem. Poza tym na jej temat nie mam nic do powiedzenia. Spotkałyśmy się w teatrze, komplementowałam jej śpiew i to wszystko. – Brunetti usłyszał jakiś hałas w słuchawce, przypominał odgłos zamykających się drzwi. Następnie rozległ się kobiecy głos – nie była to

Flavia. Potem zapadła cisza.

– Czy mógłbym cię odwiedzić po występie?

– Czy tej dziewczynie coś się stało?

– Owszem, ale czuje się już dobrze.

– Dlaczego więc do mnie dzwonisz?

– Dlatego, że chcę, abyś mi powiedziała wszystko, co pamiętasz z waszego spotkania.

– Mogłabym to powiedzieć w tej chwili – zauważyła śpiewaczka już mniej życzliwym tonem.

– Nie, wolałbym się spotkać osobiście.

– Żebym mogła zdradzić poczucie winy wyrazem twarzy? – zapytała Petrelli, być może żartem, być może nie.

– Nie, bynajmniej. Po prostu nie chcę, żeby poganiał nas czas. Chcę, żebyś mogła spokojnie sobie przypomnieć, co się stało i co wtedy mówiłaś.

Nastąpiła kolejna długa przerwa w rozmowie, podczas której znowu usłyszał głos tej drugiej kobiety, a potem jakieś hałasy mogące świadczyć o przesuwaniu bądź stawianiu jakichś przedmiotów.

– W porządku – powiedziała szorstko, głosem, jakiego używa się wobec naprzykrzających się sprzedawców. – Wiesz, o której kończymy. Będę na ciebie czekała.

– Dziękuję ci – rzekł Brunetti, ale ona rozłączyła się, zanim zdążył wypowiedzieć drugie słowo.

Powinien był sprawdzić, czy tego dnia ma spektakl, ale ta historia go zaniepokoiła – niewytłumaczalna przemoc zawsze budziła niepokój. Jeżeli jego interpretacja wydarzeń była prawidłowa, istniała możliwość, że przemoc użyta wobec Franceski może dotknąć też Flavię.

Przy kolacji wyjaśnił, że tego wieczoru musi wyjść, by porozmawiać po przedstawieniu z Flavią Petrelli. Żadne z jego dzieci nie wydawało się zainteresowane, ale Paola słuchała jego domysłów z uwagą. Kiedy już zdał jej relację, powiedziała: – Ludzie dostają bzika na punkcie innych osób. – Przechyliła głowę i spojrzała w dal, jak czyniła wtedy, gdy przychodziła jej do

głowy jakaś nowa myśl. – Chyba dlatego Petrarca zawsze sprawiał, że czułam się skrępowana.

– Co takiego? – zapytał Brunetti w szczerym zdumieniu.

– Ta jego historia z Laurą – odparła Paola i Brunetti zaczął się zastanawiać nad tymi słowami – padającymi z ust najpoważniejszej czytelniczki, jaką znał, o człowieku, który nauczył swoich rodaków, jak tworzyć poezję. „Ta jego historia z Laurą?”

– Zawsze zadawałam sobie pytanie, czy był po prostu zakręcony na jej punkcie, chociaż podejrzewam, że wprawiał się w ten rozpaczliwy stan, ponieważ on sprzyjał tworzeniu poezji.

– Pięknej poezji – zauważył Brunetti, dbając o precyzję sformułowań.

– Pięknej bez wątpienia, ale cała ta nieodwzajemniona miłość szalenie męczą. – To powiedziawszy, Paola ułożyła naczynia na stercie, by potem umyć je w zlewie; ich dzieci już dawno wymknęły się chyłkiem do swoich pokoi, żeby oddawać się jałowym zajęciom, pracę pozostawiając matce. – A co z Laurą? Być może uważała, że on jest utrapieńcem, dziwakiem lub, jeśli wolisz, stalkerem. I właśnie dlatego pomyślałam o nim w tym kontekście. – Puściła ciepłą wodę z kranu i włożyła naczynia do zlewu, po czym spojrzała na męża i dodała: – Czy sądzisz, że gdyby żył teraz, kazałby przykuć Laure łańcuchami w piwnicy i byłaby matką jego dwojga nieślubnych dzieci?

Ponieważ Brunetti nie potrafił znaleźć stosownej odpowiedzi na jej pytanie, najlepszą rzeczą, jaką mógł zrobić, było stwierdzenie: – Nigdy mi nie mówiłaś, że myślisz o Petrarce w ten sposób.

– Jestem po prostu znużona zamieszaniem wokół niego. Ludzie przytaczają jego słowa, ale ile osób naprawdę jeszcze go czyta? – zapytała Paola. – No i ile razy poecie może ujść płazem coś takiego:

*Aura che quelle chiome bionde et cresse
cercondi et movi, et se' mossa da loro,
soavamente, e spargi quel dolce oro,
et poi 'l raccogli, e 'n bei nodi il rincrespe...*

To powiedziawszy, Paola zacisnęła usta, po czym wyjaśniła przeproszającym tonem: – Kiedyś znałam całość, teraz jednak to wszystko, co pamiętam. – Wyciągnęła z mydlin sztućce, wypłukała je pod strumieniem ciepłej wody i umieściła na suszarce nad zlewem, dodając: – Niebawem będą do ciebie dzwonić z informacją, że stoję zagubiona na ulicy i nie mogę trafić do domu. Komisarz spojrział na zegarek, pocałował ją bez słowa i wyszedł do teatru.

* * *

Ucieczka przed dalszą dyskusją o włoskiej poezji sprawiła, że do teatru dotarł piętnaście minut przed końcem przedstawienia. Okazał policyjną legitymację przy wejściu dla aktorów i powiedział, że sam znajdzie drogę za kulisy. Strażnik nie przejawiał zbytniego zainteresowania i powiedział, że winda znajduje się na lewo od niego.

Gdy komisarz wysiadł na poziomie sceny, spostrzegł mężczyznę mniej więcej w swoim wieku, ubranego jak on, w garnitur i krawat, i zapytał go o drogę na scenę. Mężczyzna, z plikiem kartek w dłoni, wskazał na wprost i zapewnił, że z pewnością usłyszysz, gdzie znajduje się scena, po czym odszedł i zostawił go, nie racząc zapytać, kim jest.

Brunetti zastosował się do jego wskazówek i przeszedł słabo oświetlonym korytarzem do dźwiękoszczelnych drzwi, które nie były w stanie stłumić grzmiących dźwięków orkiestry. Drzwi otworzył w chwili, gdy kule wystrzelone przez Rzymian dosięgły piersi biednego Maria; ogłuszy go odgłos strzałów oraz głosy śpiewaków. Muzyka, zamęt, ogólny zgiełk.

Brunetti zaczekał chwilę, żeby przyzwycząić oczy do światła, a potem zrobił kilka kroków i zatrzymał się. Tuż przed nim było trzech techników, którzy stali z założonymi rękami, oglądając operę, oraz dwóch innych, którzy byli zajęci obsługą swoich *telefonini*. Na scenie stała Flavia. Była ubrana w długą, czerwoną suknię, a na włosach miała diadem z klejnotami. Znowu na blankach Castel Sant' Angelo zapowiadała własną śmierć. Po chwili rzuciła się

w przepaść, muzyka znowu zagrziała, kurtyna powoli opadła, a jeden z maszynistów skierował spojrzenie na ekran telefonu swojego kolegi.

Publiczność – podobnie jak w wieczór, kiedy Brunetti był na widowni – oszalała ogarnięta gorączką, jaką wywołało samobójstwo Toski oraz końcowe akordy, które w wykonaniu kogoś, kto umiał śpiewać i grać, zazwyczaj ją wywoływały. Brunetti przesunął się kilka metrów, żeby móc widzieć całą strefę za kurtyną, gdzie grupa wykonawców chodziła, śmiejąc się i rozmawiając. Mijały minuty.

Jakiś mężczyzna z podkładką do pisania w ręku zaczął machać, żeby zgromadzić troje głównych wykonawców, po czym wygonił ich na środek sceny, a sam odwrócił się i ruchem ręki kazał wszystkim pozostałym odsunąć się na boki. Kurtyna powędrowała w górę i troje wokalistów w cudowny sposób przywróconych do życia ukazało się publiczności, otrzymując gromkie brawa. Po pewnym czasie Flavia wymknęła się za kulisy i wyprowadziła na scenę dyrygenta – którego u Falierów nazwała „miernotą, robiącą hałas” – po czym cofnęła się i dołączyła do klaszczących. Wszyscy znowu chwycili się za ręce i kurtyna opadła.

Brunetti stał z boku i przyglądał się jeszcze przez wiele minut, jak różni wykonawcy wychodzili do publiczności, żeby otrzymać swoją nagrodę. Widział, jak Flavia się uśmiecha, promieniejąc radością za każdym razem, kiedy ukazywała się widowni, a potem jak uśmiech pierzcha z jej twarzy w chwili powrotu za kulisy.

Ponieważ gromkie brawa nie ustawały, mężczyzna zawiadujący ruchem wykonawców klasnął z werwą i odsunął brzeg kotary, żeby umożliwić ponowne wyjście odtwórcom głównych ról. Klasnął jeszcze raz, głośniejszym głosem, i wtedy spojrzeli w jego stronę cztery osoby. Tosca napiła się wody i podała szklankę swojej garderobianej; dyrygent zniknął; Scarpia glansował buty, ocierając nimi o nogawki spodni, a Cavaradossi wetknął komórkę do kieszeni swojego poplamionego krwią kaftana. Brunetti dowiedział się kiedyś, że na scenie krwawe plamy robi się, pryskając czerwonym tuszem spod podszewki, tak żeby krew rozlewała się na powierzchni ubioru w momencie postrzelenia lub dźgnięcia nożem. Publiczność nadal robiła szalony hałas, a on zastanawiał

się leniwie, czy te plamy schodzą w praniu, a jeśli tak, to czy w teatrze są pralki.

Śpiewacy bardzo się pocili podczas występu. Światła, napięcie, zwykły wysiłek fizyczny towarzyszący śpiewaniu. Prawdopodobnie mieli również maszyny do prania chemicznego.

Przemysł rozrywkowy.

Mężczyzna z podkładką do pisania skinął głową i Scarpia wyszedł na środek sceny. Głośny aplauz. Wrócił za kurtynę w momencie, gdy natężenie oklasków osiągnęło szczyt, i wówczas wyszedł Mario. Jeszcze bardziej gromkie i dłuższe brawa. Śpiewak wrócił ze sceny, wyciągnął *telefonino* i kontynuował rozmowę. Tosca wyszła powoli przed kurtynę i zastygła w bezruchu. Piekielna wrzawa.

Ze swojego miejsca komisarz zobaczył, jak prawa ręka diwy wędruje w górę, pozdrawiając rozentuzjasmowany, rozkochany w niej tłum. Potem, gdy składała powoli głęboki ukłon, który wywołał owacje, jej ręka opadła. Obserwował, jak macha, cofając się prosto za kurtynę i robiąc miejsce dyrygentowi, który wrócił na scenę i został powitany burzą oklasków. Wróciwszy szybko za kurtynę, minął śpiewaków, nie racząc się do nich odezwać.

Po jakimś czasie, gdy entuzjazm publiczności nie słabł, wszyscy czworo wzięli się za ręce, wyszli gęsiego na scenę i ukłonili się jednocześnie. Powtórzyli to dwa razy, a potem, gdy robiło się już coraz ciszej, powrócili za kurtynę. Człowiek kierujący przyjmowaniem wyrazów uznania zrobił szybki poziomy ruch dłońmi, jaki Brunetti widywał w wykonaniu personelu naziemnego, gdy samolot bezpiecznie zatrzymywał się przy terminalu. Oklaski powoli umilkły.

Obsługa techniczna zajęła się demontażem Castel Sant'Angelo znajdującego się za Brunettim. Pracownicy opuścili masywne bloki kamiennych szańców okalających wieżę na wózki i wywieźli je ze sceny. Okna rozłożone na części z równą łatwością jak kawałki układanki umieszczono na różnych wózkach i odesłano tam, gdzie wcześniej fragmenty murów obronnych.

Gdy komisarza przestało to interesować, rozejrzał się i zobaczył, że jest jedyną osobą oprócz personelu technicznego, która została na scenie. Podszedł do człowieka wydającego obsłudze polecenia i zapytał, czy może mu wskazać drogę do garderoby *signory* Petrelli.

Mężczyzna posłał mu ostre spojrzenie i zapytał: – A pan to kto?

– Przyjaciel – odparł Brunetti.

– Jak pan się tutaj dostał?

Komisarz wyjął portfel i wyciągnął z niego legitymację. Mężczyzna wziął ją i bacznie się jej przyjrzał, popatrzył na Brunettiego, żeby porównać twarz ze zdjęciem, po czym oddał mu dokument.

– Mógłby mnie pan tam zaprowadzić? – zapytał Brunetti.

– Niech pan idzie za mną – zaproponował mężczyzna i zwrócił się w tę stronę, skąd – jak się komisarzowi wydawało – wcześniej przyszedł. Potem przeszli długim korytarzem, skręcili w prawo, następnie w lewo, wsiedli do windy i pojechali dwa piętra wyżej. Wysiadłszy z windy, skręcili w lewo, w jakiś inny korytarz, i na trzecich drzwiach po lewej stronie Brunetti ujrzał nazwisko Flavii. Tam mężczyzna go zostawił. Brunetti zapukał i zza drzwi dobiegł stłumiony kobiecy krzyk, który nie zabrzmiał zachęcająco. Kilka minut później drzwi się otworzyły i z pokoju wyszła jakaś kobieta niosąca czerwoną suknię na wieszaku. Na jego widok przystanąła i zapytała: – Guido?

Komisarz skinął głową i kobieta przytrzymała otwarte drzwi, by po chwili je za nim zamknąć. Flavia, bosa i ubrana w biały bawełniany szlafrok, siedziała przed lustrem, przeczesując obiema dłońmi swoje krótkie włosy; peruka spoczywała na stojaku po jej lewej stronie. Odsunęła ręce od głowy i gwałtownie nią potrząsnęła; na wszystkie strony poleciały z niej krople potu. Chwyła ręcznik i długo wycierała nim włosy. Zmęczona tym rzuciła ręcznik na blat toaletki i odwróciła się do Brunettiego.

– On znowu się tutaj dostał – powiedziała drżącym głosem.

– Mów – odparł komisarz, siadając obok śpiewaczki, żeby nie stać nad nią podczas rozmowy.

– Gdy wróciłam po przedstawieniu, to było tutaj – wyjaśniła niespokojnym

głosem, wskazując na pomięty ciemnoniebieski ozdobny papier prezentowy. Kawalek cienkiej złotej wstążki leżał na podłodze.

– Co to takiego? – zapytał Brunetti.

– Obejrzyj – odparła Petrelli, sięgając po papier.

– Nie dotykaj tego – powiedział komisarz głośniejszym, niż powinien, i jej ręka zastygła w bezruchu. Śpiewaczka posłała mu gniewne spojrzenie, w którym dostrzegł odruchową reakcję upartej osoby powstrzymanej przed zrobieniem czegoś, na co ma ochotę.

– Odciski palców – wyjaśnił spokojnie Brunetti, po czym dodał, mając nadzieję, że Flavia ogląda seriale kryminalne w telewizji: – DNA.

Gniew na jej twarzy zastąpiło rozczarowanie.

– Przepraszam, powinnam była o tym pomyśleć.

– Co to jest?

– Musisz to zobaczyć. – Petrelli podniosła z toaletki grzebień z długą rączką. Odwracając go w dłoni, pchnęła papier ostrym końcem i odsunęła go na bok. W świetle lamp do makijażu pojawił się błysk; kobieta zahaczyła o coś zębem grzebienia i wydobyła to z papieru.

– *Oddio* – mruknął komisarz. – Jest prawdziwy? – Obok zmiętego opakowania leżał naszyjnik. W równych odstępach złote ogniwa naszyjnika robiły się cieńsze i otaczały kamienie wielkości pastylek do ssania Fisherman's Friend, tyle że te były ciemnozielone, nie szarobrazowe. – One są prawdziwe?

– Nie mam pojęcia – odparła śpiewaczka. – Wiem tylko, że ktoś zostawił tutaj tę paczkę i że rozpakowałam ją, kiedy wróciłam po wywoływaniu przed kurtynę.

– Czemu ją rozpakowałaś? – zapytał Brunetti, opierając się odruchowej chęci dodania: „w sytuacji, gdy dzieje się to wszystko”.

– Marina, moja garderobiana, powiedziała mi kilka dni temu, że na ulicznym targu w San Maurizio znalazła coś, co jej zdaniem może mi się spodobać, i że dziś wieczorem mi to przyniesie.

Zerkając na naszyjnik, komisarz zauważył: – Czegoś takiego na pewno nie widuje się w sprzedaży na targu ulicznym w San Maurizio, prawda? Pytałaś ją

o to?

– Nie musiałam. Gdy przyszła po mój kostium, powiedziała, że wczoraj musiała się zaopiekować wnukami i zupełnie o tym zapomniała.

– A to widziała? – zapytał, nie odrywając oczu od hipnotyzującej zieleni naszyjnika.

– Nie. Zakryłam go ręcznikiem. Pomyślałam, że to ty jesteś osobą, której powinnam go pokazać.

– Dziękuję – rzekł Brunetti. Powędrował spojrzeniem z powrotem do zielonych pastylek i policzył je: było ich co najmniej dwanaście. – Jakie to wzbudza w tobie uczucie? – zapytał, wskazując ruchem głowy na naszyjnik.

Flavia zamknęła oczy i zacisnęła zęby, po czym otwarła usta na tyle, by wyszeptać w odpowiedzi: – Przerażenia.

Rozdział 16

– Nie możesz zamknąć drzwi na klucz? – zapytał delikatnie, aby pokazać, że rozumie jej reakcję.

Zbyła ten pomysł wzruszeniem ramion.

– Sądzę, że mogłabym, ale ktoś zawsze musi tu wejść: gdy zapomnę wachlarza lub szala, Marina musi go przynieść, tutaj zostawia też swoje rzeczy charakteryzatorka.

Brunettiemu wydało się to marnym argumentem, ale nic nie powiedział. Patrząc w lustro, Flavia napotkała jego spojrzenie i wyznała: – Prawdziwym powodem jest to, że nie wiedziałabym, gdzie umieścić klucz na czas występu na scenie. Moje kostiumy do tej opery nie mają kieszeni, a nie mam zamiaru wciskać go do stanika.

– Zawsze się nad tym zastanawiałem – rzekł Brunetti i natychmiast tego pożałował.

– Nad czym? – zapytała śpiewaczka, rozczesując włosy dłońmi, tym razem wyraźnie zadowolona, że już wyschły.

– Czytałem bądź słyszałem opowieści o dawnych sopranistkach, które nie chciały śpiewać, dopóki nie otrzymały zapłaty w gotówce, a wtedy wkładały jedwabną sakiewkę z dukatami, talarami lub Bóg wie czym do stanika.

– Niestety, czasy otrzymywania honorarium w gotówce już dawno minęły – odparła z prawdziwym żalem Flavia. – Dzisiaj zostali tylko agenci, przelewy na konto i zapisy księgowe.

– Przyglądała się swojej twarzy w lustrze. – Jak miło byłoby dostać gotówkę – dodała, wydając się tęsknić za piękniejszymi czasami.

Odwróciła się od lustra, by spojrzeć mu prosto w oczy.

– Opowiedz mi o tej dziewczynie.

– Ubiegłego wieczoru ktoś pchnął ją na moście, mówiąc *È mia*.

– Och, biedactwo. Co się jej stało?

– Złamała rękę i uderzyła się w głowę na tyle mocno, że trzeba było założyć szwy.

Twarz jej stężała.

– Dlaczego mi to mówisz?

– Z powodu jej wieku i z powodu języka.

Petrelli pokręciła głową.

– Nie rozumiem.

– Napastnik nie powiedział *Sei mia*, nie użył formy, jakiej normalnie użyłabyś w stosunku do młodszej osoby i, jak mi się wydaje, kogoś, kogo spychasz z mostu. – Komisarz miał nadzieję, że śpiewaczka uśmiechnie się na te słowa, ale tak się nie stało, więc ciągnął: – Powiedział *È mia*.

– I znowu czekał, a Flavia milczała. – Albo więc zwracał się do niej oficjalnie, albo mówił o jakiejś innej osobie: „Ona jest moja”. – Wychwycił moment, w którym śpiewaczka zrozumiała, w czym rzecz.

– I ja jestem tą inną kobietą? – zapytała takim tonem, jakby nie mogła bądź nie chciała w to uwierzyć.

Brunetti postanowił nie odpowiadać i sam zapytał: – Pamiętasz, co powiedziałaś tej dziewczynie i kto był przy tym obecny?

Próbując odtworzyć tę scenę, Petrelli spojrzała na swoje splecione na kolanach dłonie.

– Byłam ze swoim *ripetitore*, Riccardem Tuffo. Tutaj zawsze pracuję z nim. Usłyszałam, jak ktoś śpiewa w sali prób. To brzmiało tak dobrze, że chciałam się dowiedzieć, kto to jest.

Riccardo zapukał więc do drzwi i kiedy je otworzył, z pokoju wyszedł inny pianista i wtedy rozpoznałam tę dziewczynę. Poprzedniego wieczoru po przedstawieniu czekała przy wejściu dla aktorów. Tego samego wieczoru, w którym przyszliście zobaczyć przedstawienie. Chciała mi podziękować za występ. – Flavia oderwała wzrok od swoich dłoni i dodała: – Ona ma niezwykły głos: to prawdziwy kontralt, głęboki i autentyczny.

– Co jej powiedziałaś?

– Zwykle rzeczy: że jest bardzo dobra i zrobi wielką karierę.

– Był tam jeszcze ktoś, kto mógł słyszeć twoje słowa?

Flavia zastanawiała się nad tym przez chwilę.

– Nie, tylko nas czworo: ja, ta dziewczyna, Riccardo oraz ten drugi *ripetitore* – jej ojciec.

To wszystko.

Brunetti nie dawał za wygraną.

– Nikt inny nie mógł cię usłyszeć?

Większość osób poproszonych o zweryfikowanie wspomnień z rozmowy bądź wypadku odpowiadała natychmiast, jakby chciały zaznaczyć, że kwestionowanie ich pamięci to zniewaga dla niej i dla nich. Flavia jednak znowu popatrzyła na swoje dłonie, a potem obróciła się w fotelu, żeby spojrzeć na naszyjnik.

– Kiedy oboje wyszliśmy i zmierzaliśmy do naszego pokoju prób, z drugiego końca korytarza szli ku nam jacyś ludzie. Nadal chwaliłam tę dziewczynę i oni mogli mnie usłyszeć.

– Rozpoznałaś kogoś z nich?

– Nie. Odkąd tu poprzednio śpiewałam, minęły lata i jest sporo nowych twarzy. – Petrelli wzięła grzebień i wepchnęła naszyjnik z powrotem do opakowania, usuwając go z pola widzenia.

– Tak naprawdę nie zwracałam na nich uwagi – zakończyła.

Potem, z niedbałym skinieniem w stronę naszyjnika, jakby stanowił kilka stron partytury, które ktoś zostawił w pokoju, zapytała: – Co chcesz z nim zrobić?

– To, co zwykle – odparł Brunetti. – Zabrać do komendy. Zdjąć odciski palców.

– Naprawdę to robicie?

– Owszem. Kogo mam wskazać jako właściciela?

– Po co zawracać sobie tym głowę?

– Po to, by po zakończeniu badań dowód rzeczowy oddać właściwej osobie.

– Naprawdę? – zapytała Flavia, nie potrafiąc ukryć zdumienia. – On jest wart majątek.

– Widzę – odparł Brunetti. – Lub raczej tak mi się wydaje. – Zerknął na naszyjnik, ale teraz widział jedynie niebieski papier.

– Po co miałby mi dawać coś takiego? – zapytała oszołomiona.

– Żeby zrobić na tobie wrażenie – wyjaśnił komisarz. – Dać ci niewątpliwy dowód szacunku i przywiązania.

– Przecież to szaleństwo – zauważyła, tym razem sprawiając wrażenie zagniewanej raczej niż speszonej. – Przywiązania? – zapytała, jakby dopiero teraz usłyszała to słowo. – Co to miałyby znaczyć?

– Dokładnie to, co mówię, Flavio, że ten człowiek jest do ciebie w pewien sposób przywiązany. A ten prezent ma sprawić, abyś zainteresowała się ofiarodawcą, który traktuje cię z taką... szczodrością – odparł Brunetti i zanim Flavia zdążyła zareagować, przyznał: – Wiem, że to szaleństwo. Tyle że wcale nie mamy tutaj do czynienia z osobą normalną.

Petrelli spróbowała przybrać lżejszy ton i zapytała: – Czy policjanci powinni mówić takie rzeczy?

Brunetti roześmiał się i niczym precyzyjnie zaprogramowany robot odparł: – Absolutnie. Nie mamy uprzedzeń do żadnych osób. I wszystkim okazujemy szacunek w każdym momencie naszej pracy. – Dokończył bardziej swobodnym tonem: – Tylko przy rodzinie i przyjaciółach możemy mówić, co myślimy.

Petrelli popatrzyła na niego i uśmiechając się, położyła mu dłoń na rękę.

– Dziękuję ci, Guido.

Brunetti pomyślał, że to chyba najlepszy moment, by to powiedzieć, i wyznał: – Nie wzięliśmy w tym wszystkim pod uwagę jednej rzeczy.

– Chyba wystarczy, że wzięłeś pod uwagę, że on jest szaleńcem i wie, gdzie mieszkam – powiedziała ze złością Flavia. – Nie wydaje mi się, bym mogła zdzierżyć kolejne niespodzianki.

– To tak naprawdę nie powinno być niespodzianką – rzekł komisarz, wiedząc, że mija się prawdą.

– O czym mówisz? – zapytała Petrelli i cofnęła dłoń.

– Zakładamy, że ten człowiek jest mężczyzną. Wszyscy mówią „on”, rozmawiając o tym, co się wydarzyło, ale wcale nie możemy być tego pewni.

– Oczywiście, że to mężczyzna – odparła ostrym głosem śpiewaczka. – Kobiety nie spychają innych kobiet z mostów.

– Flavio – zaczął komisarz, zaniepokojony, że może utracić jej zaufanie, starając się znaleźć sposób, żeby powiedzieć to, co chce powiedzieć, nie obrażając śpiewaczki. Po cóż jednak marnować czas na sugestie i dalsze pytania? Czemu po prostu nie powiedzieć tego i nie mieć tego za sobą? – Ostatnim razem, gdy tutaj byłeś... dwa razy mieszkałaś z kobietą.

Petrelli wzdrygnęła się, jakby próbował ją uderzyć, ale się nie odezwała.

– Mógłbym dodać, że z bardzo miłą kobietą – zaznaczył Brunetti z uśmiechem, lecz ona nie odwzajemniła uśmiechu. – Ludzie w twojej branży nie zwracają zbyt wiele uwagi na takie rzeczy, ale inni ludzie tak. Obsesjoniści tym bardziej.

– A więc to zemsta lesbijek za to, że z tego zrezygnowałam? – zapytała Flavia, w ogóle nie kryjąc gniewu. – Albo jakiejś kobiety, która chce, żebym przeniosła swoją miłość na nią?

– Nie mam pojęcia – odparł spokojnie Brunetti. – Ale twoje dawne życie nie jest tajemnicą, więc... chcąc, nie chcąc... musimy rozważyć możliwość, że osoba, która cię prześladowała – w końcu wymówił to słowo – jest kobietą. – Flavia milczała, więc mówił dalej. – Fakt, że kobiety są mniej agresywne od mężczyzn, mógłby być korzystny, ale osoba, o której mowa, już dokonała aktu przemocy i jeżeli jego powodem była rozmowa z tą dziewczyną, źle to wróży.

Petrelli zaskoczyła go swoją reakcją.

– Czy w szpitalu ktoś z nią jest?

– Tak, policjant, który będzie do niej zaglądał od czasu do czasu.

– Co to znaczy?

– Nic więcej nie mogę zrobić – odparł komisarz, postanawiając nie wdawać się w wyjaśnienia. – Ona niebawem wróci do domu, a wtedy będzie chroniona przez swoją rodzinę – ciągnął, nie będąc wcale o tym przekonany.

Flavia milczała, wierząc się w fotelu, po czym zapytała: – Chcesz powiedzieć, że jeżeli mamy do czynienia z kobietą, to ona zaatakuje każdą kobietę, z którą rozmawiam.

– Niczego nie chcę powiedzieć, Flavio. Proszę tylko, żebyś uwzględniła taką ewentualność.

Petrelli znowu umilkła, ale komisarz wziął ją na przeczekanie.

– Moja znajoma, mezzosopran, powiedziała mi, że miała kiedyś wielbicielek, która groziła jej nożem.

Brunetti czekał.

– Ta kobieta wysyłała jej po występach parę krótkich listów, zawsze bardzo pochlebnych i inteligentnych. Niezbyt często, raz, może dwa razy w roku. Przez osiem lub dziewięć lat.

A potem zaproponowała w liście, by poszły na drinka po występie w Londynie. Jej elokwencja i błyskotliwość sprawiły, że moja znajoma przystała na tę propozycję. Flavia urwała i Brunetti zastanawiał się, czy doczeka się zakończenia tej historii. Śpiewaczka ożywiła się jednak sama i ciągnęła: – Spotkały się więc w barze po przedstawieniu i gdy tylko usiadły, moja znajoma zrozumiała, że kobieta jest szalona. – Petrelli napotkała zaintrygowane spojrzenie komisarza i wyjaśniła: – Czasem po prostu się wie, że ktoś jest szalony.

– Co się stało?

– Ona w kółko gadała o tym, że moja znajoma jest dla niej jedyną osobą na świecie, że są sobie przeznaczone. A gdy moja znajoma zaczęła zbierać się do wyjścia, tamta wyciągnęła nóż i zagroziła, że ją zabije, jeżeli tamta nie pójdzie razem z nią.

– I co zrobiła?

– Powiedziała mi, że miała dość przytomności umysłu, by powiedzieć z uśmiechem, że powinny pojechać taksówką do jej hotelu.

– A potem?

– Kiedy wyszły, moja znajoma przywołała taksówkę, a potem odepchnęła kobietę, wsiadła, zatrzasnęła drzwi i kazała kierowcy jechać. Dokądkolwiek.

– Poszła na policję?

– Nie.

– I co się potem stało?

– Nic. Nigdy więcej nie otrzymała od tej kobiety żadnych wiadomości. Ale potrzebowała wielu miesięcy, żeby dojść do siebie – odparła Flavia, po czym, po długim czasie, zauważyła: – Nie jestem pewna, czy po czymś takim w ogóle można dojść do siebie.

– Ja też – zgodził się Brunetti i zapytał: – Czy twoi wielbiciel zachowywali się tak wcześniej?

Flavia dość gwałtownie pokręciła głową.

– Moi? Nie. W żadnym wypadku. – Petrelli odwróciła wzrok i spojrzała w lustro, ale komisarz, który widział jej odbicie, zdał sobie sprawę, że śpiewaczka patrzy na coś niewidzialnego dla nich obojga.

Zauważył, że w momencie, w którym Flavia wyczuła jego spojrzenie, szybko odwróciła się do niego i powiedziała: – To na ogół kobiety.

– Kto taki?

– Wielbiciele. Fanki, które mnie denerwują, które denerwują nas wszystkich.

– Czym?

Petrelli pokręciła głową, jakby znalezienie odpowiednich słów było za trudne. Sięgnęła po rzeczy na toaletce i kilka z nich poprzesuwała, wzięła szczotkę i czubkami palców gładziła jej włosie. W garderobie było tak cicho, że Brunettiemu zdawało się, iż słyszy dźwięk wydawany przez włosie szczotki.

– Te kobiety są w potrzebie – powiedziała w końcu Flavia, chyba niepewna, czy użyła właściwego słowa. – Starają się to ukryć, ale nie potrafią.

– Czego potrzebują?

– Nie wiem. Czegoś. Od nas – odparła i umilkła. – Może chcą miłości. – Kolejna, jeszcze dłuższa pauza. – Nie chcę jednak tak myśleć. – Odłożyła szczotkę na toaletkę, po czym skinęła kilka razy głową, jakby pragnęła przekonać samą siebie o prawdziwości tego, co właśnie powiedziała.

Brunetti już miał coś wtrącić, gdy Flavia dorzuciła z wściekłością: – Wielbiciele są wielbicielami, nie przyjaciółmi.

– Nigdy?

– Nigdy – odparła z gniewną pewnością siebie. – A teraz ta napaść.

– Właśnie.

– Co mogę zrobić?

– Niedługo stąd wyjedziesz, prawda? – upewnił się komisarz.

– Za niecały tydzień, a potem mam trochę wolnego czasu, żeby побыć z dziećmi.

Wydawało się, że rozmowa trochę ją uspokoiła, więc Brunetti, licząc, że dodatkowe informacje mogą pomóc, zapytał: – Powiedziałaś, że to zaczęło się w Londynie.

– Owszem. W Sankt Petersburgu też było mnóstwo kwiatów, ale tam jest to normalne; przynosi je wiele osób.

– Żółte róże? – zapytał, pamiętając, co widział po jej występie i co opisała przy kolacji.

– W Sankt Petersburgu tylko trochę. W Londynie dużo.

– Coś jeszcze?

– Z mojej garderoby znikają różne rzeczy. Nigdy pieniądze, tylko przedmioty.

– Jakie przedmioty?

– Płaszcz, rękawiczki, a w Paryżu notes z adresami.

Brunetti zastanowił się nad tym i zapytał: – Czy ktoś z twoich przyjaciół wspominał o dziwnych rozmowach telefonicznych?

– Dziwnych w jakim sensie?

– W tym, że ktoś pytał, gdzie jesteś. Mówiąc na przykład, że jest twoim przyjacielem, a ty od dawna nie odbierasz telefonów.

Komisarz spostrzegł, że coś sobie nagle przypomniała.

– Tak. Przyjaciółka w Paryżu powiedziała, że odebrała telefon od osoby, która twierdziła, że nie może się ze mną skontaktować, i pytała, czy wie, gdzie

jestem.

– I co się stało?

– W głosie dzwoniącego było coś nieprzyjemnego, więc odparła, że też od miesiąca nie ma ode mnie żadnych informacji.

– Ten dzwoniący był mężczyzną czy kobietą? – zapytał Brunetti.

Flavia ściągnęła usta i powiedziała takim tonem, jakby zaraz miała poinformować go o czymś, co by dowiodło, że miał rację: – Kobieta.

Brunetti oparł się odruchowej chęci dodania: „A nie mówiłem?”.

Rozdział 17

Flavia pochyliła się, oparła łokciami na toaletce i ukryła twarz w dłoniach. Brunetti słyszał, że coś mówi do siebie, ale nie mógł rozszyfrować słów. Czekał. Widział z boku, jak kręci kilka razy głową. Potem wyprostowała się i spojrzała na niego.

– Nie mogę uwierzyć, że to się dzieje. – Zamknęła oczy i zagryzła dolną wargę, po czym znowu popatrzyła na komisarza i głosem mniej opanowanym niż wcześniej powiedziała: – To po prostu tani melodramat, prawda? Wierzę oczywiście, że to się dzieje; i właśnie to jest tak potworne.

Brunetti nie chciał jej okłamywać, choć bardzo chętnie dodałby jej otuchy. Krótka rozmowa między Flavią a Francescą, ograniczona do komplementowania talentu dziewczyny, miała chyba związek z napaścią na moście. *È mia*. Czy grzecznościowy komplement doprowadził do tej manifestacji całkowitego opętania i każda osoba, którą Flavia przejawiała zainteresowanie, miała być narażona na niebezpieczeństwo?

W swojej zawodowej karierze Brunetti miał szczęście, że niezależnie od tego, ilu złych i bardzo złych ludzi napotkał podczas pracy w policji, rzadko miał do czynienia z szaleńcami.

Zachowania złych ludzi były sensowne: chcieli pieniędzy, władzy, zemsty bądź żony bliźniego swego i chcieli tego z powodów, które inni mogli zrozumieć. Poza tym zazwyczaj istniał jakiś związek między nimi a ich ofiarami: rywalizowali ze sobą, współpracowali, byli wrogami, krewnymi, powinowatymi. Wystarczyło znaleźć osobę, która odniosła korzyść – i to nie tylko finansową – ze śmierci bądź obrażeń ofiary, i skupić się nad tym związkiem lub zacząć podążać po nitce do kłębka, by bardzo często szarpnięcie nitki doprowadziło do sprawcy. Zawsze była jakaś nitka – tajemnica polegała na tym, żeby ją znaleźć.

W tym przypadku jednak powodem agresji mogła być choćby przypadkowa

rozmowa, drobna pochwała, delikatna zachęta – coś takiego, co każda wielkoduszna osoba dałaby młodej kobiecie będącej u progu kariery. To najwyraźniej wywołało wściekłość tak wielką, że poskutkowało użyciem przemocy wobec dziewczyny.

– Co ja mam zrobić? – zapytała w końcu Flavia i Brunetti oderwał się od swoich spekulacji, by z powrotem skupić się na rozmowie ze śpiewaczką. – Nie potrafię tak żyć, uwieczona między tym pokoikiem a moim mieszkaniem. Nie chcę się bać każdej osoby zbliżającej się do mnie na ulicy...

– A gdybym powiedział, że prawdopodobnie nic ci nie grozi?

– Zagrożeni są moi znajomi, każdy, z kim rozmawiam. To nie to samo?

„Tylko dla najprawdziwszych chrześcijan” – pomyślał komisarz, ale nie powiedział tego na głos. Przez lata spotykał się z różnymi reakcjami na fizyczne zagrożenie. Dopóki pozostaje ono w sferze przypuszczeń, reagujemy jak herosi, lwy; w obliczu rzeczywistego zagrożenia stajemy się płochliwi jak myszy.

– Flavio – zaczął przekonywać – nie sądzę, by ta osoba chciała cię skrzywdzić. On lub ona chce cię kochać. I cieszyć się twoim szacunkiem lub miłością.

– To obrzydliwe – prychnęła. – Lepiej zostać skrzywdzoną. Sprawa jest wtedy prosta.

– Przestań, Flavio, dobrze? – powiedział Brunetti tak ostro, że nawet siebie zaskoczył.

Na kilka sekund otworzyła szeroko usta i oczy.

– Co? – zapytała i komisarz bał się, że zaraz każe mu wyjść.

– Nie jest lepiej być skrzywdzoną. Pomyśl o tej dziewczynie ze złamaną ręką, szwami na głowie i Bóg jeden wie jak wielkim lękiem. Niewiele zdarza się gorszych sytuacji. Więc przestań, dobrze? Proszę.

Posunął się za daleko. Zdawał sobie z tego sprawę, ale było mu to obojętne. Albo Flavia przerwie ten melodramat, zostawi go na scenie i będzie się zachowywała jak dorosła osoba, albo... Tego właśnie nie był pewien: co by się stało, gdyby dochowała wierności wielkim słowom i wspaniałym gestom?

Pamiętał ją jako osobę zdecydowanie bardziej rozsądną, w rzeczywistości stąpającą znacznie mocniej po ziemi.

Petrelli wzięła grzebień i jego ostrym końcem rozsunała papier pakunkowy, ponownie odsłaniając naszyjnik. Wpatrywała się w niego, po czym przechyliła się w bok na fotelu, by Brunetti dobrze widział klejnoty.

– Tylko człowiek szalony dałby to komuś, kogo nie zna i kogo nigdy nie spotkał – zauważyła. – Myślisz, że on – zaczęła, zawahała się i dodała: – lub ona... naprawdę sądzi, że coś takiego sprawi, że się nim lub nią zainteresuję, albo spowoduje, że to, co zrobił tej biednej dziewczynie, się nie zdarzyło?

– Nie dzielimy z tą osobą tej samej rzeczywistości, Flavio – zauważył Brunetti. – Zasady, które stosujesz w rozmowie ze mną, ze swoją garderobianą lub kolegami ze sceny, nie mają zastosowania w tym przypadku.

– A które mają zastosowanie?

Brunetti podniósł ręce w uniwersalnym geście bezradności.

– Nie wiem. To zasady, które ustala ta osoba.

Śpiewaczka pochyliła się, żeby spojrzeć na zegarek leżący na toalecie, i powiedziała: – Już prawie północ. Boże, mam nadzieję, że nie zostaliśmy tutaj zamknięci.

– Nie ma portiera? – zdziwił się komisarz.

– Owszem, jest, zatrudnili go po tym, jak w teatrze wybuchł pożar. Teraz podobno musi chodzić po budynku, a przynajmniej tak mi powiedziano.

– Może więc już pójdziemy? – zasugerował Brunetti. – Odprowadzę cię do domu.

Petrelli spojrzała na niego zdezorientowana.

– Sądziłam, że wygodniej ci jest iść do Ponte Rialto.

– Jeżeli przejdę przez Ponte dell'Accademia, różnica wyniesie tylko kilka minut – powiedział komisarz zdawkowo, jakby w to wierzył, a potem, zanim mogła podać w wątpliwość jego słowa, dodał: – No chodźmy. Spędziłaś dzisiaj w tym miejscu wystarczająco dużo czasu.

Kobieta znowu spojrzała na zegarek.

– Już jest jutro.

Brunetti uśmiechnął się i ponownie zaproponował: – Ubieraj się i chodźmy.

Flavia poszła do łazienki i po chwili dobiegły stamtąd znajome odgłosy: wody rozpryskującej się w umywalce, buta spadającego na posadzkę, a potem jeszcze kilka trzasków i stuków. Potem otworzyły się drzwi i ukazała się w nich ona: w brązowej spódnicy i żakiecie, butach na niskim obcasie i z lekkim makijażem. Brunetti dziękował w duchu, że żyje w kraju, gdzie kobieta, która właśnie mówiła, że lęka się o własne życie, maluje oczy i usta przed dziesięciominutowym spacerem opustoszałymi ulicami miasta po północy.

Trochę czasu zajęło im ustalenie, co zrobić z naszyjnikiem, ale Flavii w końcu udało się zawinąć pakunek w biały ręcznik i upchać go w foliowym worku. Worek z kolei trafił do ciemnozielonej płóciennej torby, która – jak zauważył Brunetti – pochodziła z londyńskiej księgarni Daunt's. Flavia podała mu torbę, a on przewiesił ją sobie przez ramię.

Poszli korytarzem do windy. Gdy na nią czekali, w kieszeni zakietu Flavii zadzwieczał telefon; żadne z nich nie zdołało zamaskować szoku. Flavia wyjęła aparat i spojrzała na ekran. Imię, które tam zobaczyła, sprawiło, że wyraz jej twarzy złagodniał.

– To Freddy – powiedziała, zerknąwszy na komisarza. Po czym odebrała, mówiąc całkowicie naturalnym głosem, radosna, spokojna i zadowolona: – *Ciao, Freddy!*

Drzwi windy rozsunęły się i weszli do środka.

– Wiem. Wiem. Przepraszam, że nie zadzwoniłam, ale w teatrze było pełno fanów i musiałam bardzo długo podpisywać programy i płyty. – Długa cisza. – Wiem, że obiecałam, że to zrobię, ale było ich tylu i było tak miło, że zupełnie o tym zapomniałam. Naprawdę przepraszam. – Freddy mówił coś przez chwilę, a potem Flavia oznajmiła: – Właśnie wychodzę.

Winda stanęła, drzwi się rozsunęły i Petrelli wyszła na korytarz, po czym zaczekała, aż Brunetti wysiądzie z windy. Powstrzymała go ręką przed dalszym marszem w stronę wyjścia.

– Nie musisz się martwić, Freddy. Nie mogłabym być w bezpieczniejszym

towarzystwie.

Guido Brunetti... mówił, że chodziliście razem do szkoły... przyszedł potem do garderoby i rozmawiałam z nim. – Kolejna chwila ciszy. – Tak, przedwczoraj wieczorem opowiedziałam mu o wszystkim, więc przyszedł po spektaklu. Wychodzi z teatru razem ze mną. – Spojrzała na komisarza, który skinął głową.

– Nie, Freddy, nie kłopotz się. Powiedział, że odprowadzi mnie do domu. – Flavia pochyliła głowę i obróciła się nieco w bok. – Nie, naprawdę, nie musisz. – Nagle zaczęła się śmiać, całkowicie szczerze i swobodnie. – Och, głuptas z ciebie. Jak zawsze. W porządku, na szczycie mostu. Jeżeli jednak będziesz w piżamie, zrozumieć, że kłamałeś.

Wyłączyła telefon i włożyła go z powrotem do kieszeni. Komisarz zastanawiał się, gdzie go trzyma podczas przedstawień.

– Martwił się – powiedziała tytułem wyjaśnienia. – Ale słyszałeś naszą rozmowę.

Powiedział, że jeszcze się nie położył i spotka się z nami na moście, żebyś nie musiał odprowadzać mnie aż do domu. Freddy zawsze zamartwiał się z byle powodu – dodała Flavia i ruszyła do wyjścia. Portiera zastali w swojej dyżurce, jak pił coś z metalowej zakrętki termosu; przed nim leżała napoczęta kanapka.

– Dobry wieczór, *signora* – rzekł. – Było tu dzisiaj mnóstwo ludzi, czekali na panią. – Swoim kubkiem wzniosł toast w pustą przestrzeń. – Ale w końcu wszyscy poszli do domu.

– Nigdy przedtem tego nie zrobiłam, po prostu o nich zapomniałam – powiedziała do Brunettiego, a w jej głosie słychać było zaskoczenie. – Portier przyjrzał się baczniej Brunettiemu i napotkawszy jego spojrzenie, pociągnął łyk napoju z kubka.

Flavia wzruszyła ramionami.

– Nie da się tego naprawić – mruknęła, życzyła mężczyźnie dobrej nocy i otworzyła drzwi na *calle*. Znalazłszy się na zewnątrz, skrzyła w prawo i ruszyła w stronę Campo San Fantin. Komisarz miał już zwrócić jej uwagę, że

powinni byli pójść w lewo, ale potem sobie przypomniał, że później musieliby iść w miejscu, gdzie jest wąsko i ciemno. Flavia skręciła przy hotelu i Brunetti dość chętnie pozwolił jej prowadzić. W *calle* przed teatrem nikt nie stał, to jednak przypuszczalnie niewiele znaczyło: aby dotrzeć do domu, śpiewaczka i tak musiała pokonać Ponte dell'Accademia. Freddy miał się tam z nią spotkać, ale w tym właśnie miejscu byłby też każdy, kto by na nią czekał.

Odkąd, mniej więcej przed dziesięciu laty, zmieniono oświetlenie miasta, Brunetti narzekał na to, jak jasne stały się weneckie noce; niektórzy z jego znajomych skarżyli się, że przy świetle wpadającym przez okna mogą czytać przed snem. Tutaj jednak, zbliżając się do podziemnego przejścia, którym trafiliby do wąskiej *calle* prowadzącej na Campo Sant'Angelo, odetchnął z ulgą na myśl o tym, jak jasno jest wokół.

Wyszli na *campo* i Petrelli zapytała: – Często to robisz?

– Co? Odprowadzam kobiety do domu?

– Nie. Bywasz poza domem po północy, nie musząc dzwonić do żony.

– Ach – westchnął. – Paola z przyjemnością siedzi sama i czyta.

– Nie wolałaby, żebyś tam był? – zapytała Flavia z wyraźnym zaskoczeniem.

– Owszem, wolałaby i przypuszczalnie nie położy się, dopóki nie wrócę do domu. Kiedy jednak czyta, to, kto jest przy niej, nie ma większego znaczenia, wówczas na nikogo nie zwraca uwagi.

– Dlaczego?

To pytanie słyszał już wielokrotnie. Dla ludzi traktujących czytanie poważnie było ono zajęciem, nie rozrywką, i obecność innej osoby niczego nie wносиła. Dzieci go rozpraszały; zazdrościł Paoli zdolności znikania podczas lektury, zostawiania ich wszystkich poza nawiasem. Wiedział jednak, że ludzie na ogół uważali, że to dziwne, niemal nieludzkie, więc odparł: – Tak została wychowana: że czyta się w samotności, więc taki ma nawyk.

– Dorastała tam, w *palazzo*? – zapytała Flavia.

– Tak, mieszkała tam do ostatniego roku studiów... właśnie wtedy ją poznałem... ale potem wyjechała, żeby zrobić dyplom.

– Nie została tutaj?

– Nie. – Komisarz zastanawiał się, co jego własne dzieci postanowią zrobić i jak szybko.

– Dokąd pojechała?

– Do Oxfordu.

– Tego w Anglii? – zapytała Flavia, zatrzymując się, żeby na niego spojrzeć.

– Nie, w Missisipi – odparł Brunetti nie po raz pierwszy.

– Słucham? – Była wyraźnie zdezorientowana.

– W Oxfordzie w stanie Missisipi istnieje uniwersytet – wyjaśnił komisarz.

– Rozumiem – powiedziała Petrelli i znowu ruszyła. – Poznałeś ją, a potem ona wyjechała. Na jak długo?

– Tylko na półtora roku.

– Tylko?

– Studia miały trwać trzy lata, ale Paola skończyła je dwa razy szybciej.

– Jakim cudem?

– Przypuszczalnie szybko czytała – odparł z uśmiechem.

Flavia przystanęła obok zamkniętego o tej porze *edicola*, tuż przy wejściu na Campo Santo Stefano. Komisarz zauważył, że na placu znajdowało się niewiele osób i wszystkie się poruszały; wyglądało na to, że nikt nie stał, żeby się przekonać, kto wchodzi na plac od strony teatru. W bardzo nieteatralnym geście Flavia wskazała ruchem głowy na posąg stojący na środku placu i wszystko, co go otaczało.

– Czy to wszystko jest dla was normalne? – zapytała.

– Sądzę, że tak. Widzieliśmy to jako dzieci, w drodze do szkoły, idąc zobaczyć się z przyjaciółmi, wracając do domu z kina. Nic bardziej normalnego.

– Myślisz, że właśnie dlatego tacy jesteście?

– Kto? My, weneccjanie?

– Tak.

– A jacy jesteśmy? – zapytał, spodziewając się, że usłyszy o legendarnej wyniosłości, arogancji i chciwości weneccjan.

– Smutni.

– Smutni? – Brunetti nie potrafił ukryć zaskoczenia i nuty sprzeciwu w głosie.

– Tak. Mieliście to wszystko, a teraz macie jedynie pamięć o tym.

– Co masz na myśli?

Petrelli znowu ruszyła.

– Jestem tu prawie miesiąc i w barach, gdzie ludzie mówią, co myślą, ponieważ rozmawiają z innymi weneccjanami, słyszę jedynie, jakie to wszystko jest okropne: te tłumy, korupcja, statki wycieczkowe, ogólna dewaluacja wszystkiego. – Właśnie przechodzili obok Palazzo Franchetti i śpiewaczka wskazała na okna budynku: kamień wpleciony w nitki babiego lata, światło przesączające się z drugiej strony kanału. Zamknięte bramy broniły dostępu do ogrodu i budynku. – Wyobrażam sobie, że kiedyś mieszkała tu bardzo liczna rodzina – stwierdziła, idąc dalej wzdłuż muru, dopóki nie dotarli do małego *campo* u stóp mostu.

Popatrzyła na *palazzi* stojące wzdłuż przeciwległego brzegu kanału i dodała:
– Tam także mieszkały rodziny.

Gdy stało się jasne, że Flavia nie ma już nic więcej do dodania, Brunetti ruszył w stronę mostu i zaczął wchodzić po schodach, licząc, że zdoła przemóc rozdrażnienie, które wywołały w nim jej słowa. Słyszał za sobą jej kroki. Po chwili śpiewaczka znalazła się obok niego, idąc z prawej strony, koło balustrady. Gdy przewieszał płócienną torbę na drugie ramię, usłyszał szelest papieru.

– Nie masz nic do powiedzenia? – zapytała Petrelli.

– Żadne moje słowa niczego nie zmieniają. Hamburg nie jest już dawnym Hamburgiem, a paryżanie utyskują na zmiany w swoim mieście, ale niemal wszyscy uważają, że mają prawo narzekać na zmiany dokonujące się tutaj. Ja po prostu o tym nie myślę.

– Flavia! – zawołał z góry jakiś mężczyzna i zdenerwowany Brunetti stanął

przed śpiewaczką, blokując jej drogę do góry. Niespodziewająca się tego kobieta wpadła na niego od tyłu. Oboje zatoczyli się, chcąc utrzymać równowagę na schodach. Brunetti podniósł wzrok, żeby zobaczyć, czyj to głos.

Ujrzał, jak Freddy, ubrany w dżinsy, białą koszulę i ciemnoniebieską kurtkę, wyglądający bardzo młodo jak na swój wiek, zaczyna schodzić w ich kierunku. *Marchese* d'Istria jak zwykle emanował spokojem i dobrym zdrowiem. Brunetti zauważył, że zapięta na guziki kurtka jest przyciasna, nikomu jednak nie przyszłoby na myśl zarzucić Freddy'emu, że jest gruby: był jedynie *robusto*, co stanowiło kolejną niewątpliwą oznakę jego wciąż dobrego zdrowia.

Komisarz odsunął się w lewo, a Flavia puściła balustradę i weszła na podest. Freddy pochylił się i pocałował ją w oba policzki, po czym odwrócił się do Brunettiego i udając, że nie spostrzegł obronnego odruchu szkolnego kolegi, objął go serdecznie.

– Guido, jak cudownie cię widzieć. Rzadko miewam możliwość spotkania moich ulubieńców jednocześnie. – Jedną ręką wskazał na bazylikę Santa Maria della Salute, a drugą położył troskliwie na ramieniu Flavii. – I to w tak cudownym miejscu. – Po czym, po namyśle, dodał poważnym głosem: – Wolałbym jednak spotykać się w innych okolicznościach.

Flavia uwolniła się z jego objęć z gracją piskorza i odwróciła się do Brunettiego.

– Dzięki za odprowadzenie aż tutaj, Guido. Teraz Freddy może zrobić resztę. Niedługo będą mnie wozić po Wenecji i na każdym moście ktoś nowy będzie przejmował nade mną opiekę. – Te słowa miały zabrzmieć niefrasobliwie, ale komisarz postanowił doszukać się w nich innego, o wiele poważniejszego tonu.

Freddy zapytał, jak się udało przedstawienie, i Flavia wypowiedziała parę krytycznych uwag o dyrygencie; oboje usilnie się starali, by ta wymiana zdań przypominała zwyczajną rozmowę. Brunetti dbał o to, by od czasu do czasu odwracać ku nim głowę, gdy szli ramię przy ramieniu w dół schodów, ale jego uwaga skupiała się na innych znajdujących się na moście ludziach, zarówno tych schodzących razem z nimi, jak i tych wspinających się w ich stronę. O

tej porze przechodniów było niewielu, większość stanowiły pary lub grupki osób. Zbliżał się do nich jakiś mężczyzna z Jack Russell terierem. Spuszczony ze smyczy pies pognał na szczyt mostu po to tylko, by natychmiast zawrócić do nadchodzącego pana. Wysoka kobieta z szalem owiniętym wysoko wokół szyi, mijając ich, rozmawiała przez *telefonino*; szła szybciej niż oni, ale w ogóle nie zwróciła na nich uwagi. Brunetti zauważył, jak uważnie stawiała stopy, bardziej obciążając jedną, co na wilgotnych stopniach było bardzo wskazanym środkiem ostrożności.

Kiedy dotarli na ostatni podest, komisarz się zatrzymał. Uznał, że najlepiej będzie, jak pozwoli, by poszli dalej w lewo, i nie zapytał Freddy'ego, czy mogą porozmawiać nazajutrz.

Flavia była wystarczająco wytrącona z równowagi; nie chciał dopuścić do tego, by myślała, że zamierzają się spotkać, by o niej porozmawiać. Pocałował ją dwa razy, uściśnął dłoń Freddy'emu, a potem ruszył w kierunku domu. W chwili gdy dotarł na mały plac przed muzeum, odwrócił się i zobaczył, że zniknęli.

Wrócił na róg placu; Flavia i jej przyjaciel skręcali właśnie w lewo w *calle*, która miała ich poprowadzić przez most na Campo San Vio. Czując się wyjątkowo głupio, przeszedł szybko do miejsca, w którym skręcili, przystanął i obserwował ich dalej, dopóki nie doszli do mostu. Ruszył za nimi, zażenowany. Byli jedynymi osobami na tej ulicy, a on nie miał pojęcia, co robi.

Przy moście prowadzącym na Campo San Vio jakiś zwierzęcy instykt kazał mu spojrzeć w prawo i wtedy zobaczył jakąś postać, tak naprawdę pół postaci, stojącą w miejscu, gdzie *calle* przechodziła w nabrzeże. Spostrzegł płaszcz, chyba przeciwdeszczowy, chyba z narzuconym na niego szalem. Komisarz zachwiał się i mocno wsparł na lewej nodze. Torba zaczęła mu się zsuwać z ramienia i odwrócił się, żeby ją przytrzymać. Kiedy znowu spojrzął, postaci nie było, a jedyny jej ślad stanowił odgłos oddalających się kroków. Pobiegnął do wylotu *calle*, ale gdy tam dotarł, ulica była pusta na całej długości. I chociaż nadal słyszał odgłos kroków, nie potrafił ocenić, skąd dobiegał. Pobiegnął do najbliższego skrzyżowania: ani na prawo, ani na lewo nie było

nikogo. A w oddali ciągle słychać było cichnący odgłos kroków. Zatrzymał się i wstrzymał oddech, ale i tak nie potrafił ocenić, dokąd zmierza tamta osoba, czy w kierunku bazyliki, czy w stronę Akademii. Dźwięk ucichł. Brunetti zawrócił i ruszył do domu.

Rozdział 18

Paola porzuciła wszelką nadzieję, że jej mąż wróci do domu; tak więc Brunetti, stwierdziwszy, że nikt na niego nie czeka i wszyscy śpią, wszedł do kuchni w poszukiwaniu czegoś do jedzenia i picia. Szybko uznał jednak, że chce tylko znaleźć się w łóżku, u boku żony, lecz najpierw musiał znaleźć miejsce na zieloną płócienną torbę. Zastanawiał się nad tym, zanim zadziałał zdrowy rozsądek, przypominając mu, że ma ją trzymać w domu nie dłużej niż osiem godzin, zostawił więc torbę na toalecie i wszedł do łazienki.

Żona powitała jego pojawienie się u swego boku mruknięciem, które Brunetti postanowił uznać za wyraz czułości i niebawem pogrążył się w obrazach znikających szali, cichnących kroków i żółtych róż ułożonych w powiększające się i wydzielające duszącą woń stosy.

Nazajutrz rano zdał żonie krótką relację ze spotkania z Flavią, Paolę jednak bardziej ciekawił szmaragdowy naszyjnik i poprosiła, by go jej pokazał. Ostro zganiła jego wyzbyte polotu porównanie kamieni do pastylek Fisherman's Friend i uparcie twierdziła, że na pewno są wielkości „jaj siewki”, wyjaśniając, że wiele razy zetknęła się z tym wyrażeniem podczas lektur, lecz nie wiedziała, jakiej są one wielkości.

– Nie możemy go dotykać, dopóki nie zdejmy odcisków palców – uprzedził Brunetti, niegotowy po jednej zaledwie kawie do wdawania się w dyskusję o tym, jak duże może być jajo siewki. W istocie miał pewne wątpliwości co do możliwego wyglądu tego ptaka i tym samym nie potrafił dokładnie określić wielkości jego jaj.

Wyszedł z mieszkania z torbą, po drodze wstąpił na kawę z brioszką, ale cały czas uważał, żeby mieć pakunek stale przy sobie. W komendzie udał się natychmiast do laboratorium, żeby porozmawiać z Bocchesem. Aura samowystarczalności, jaką wiecznie roztaczał naczelny technik, często prowokowała komisarza do aktów niepotrzebnej brawury: tym razem

podszedł do biurka Bocchese, bez słowa przechylił torbę i pozwolił, by pakunek wysunął się z niej na blat. Traf chciał, że papier zahaczył o jeden z pasków torby i naszyjnik ukazał się na biurku na szafirowym tle opakowania.

– To dla mnie? – zapytał Bocchese, spoglądając na Brunettiego z przyklejonym do twarzy uśmiechem idiotycznego zachwytu. – Skąd wiedziałeś, że dziś są moje urodziny? No cóż, nieważne. Dzięki, że pamiętałeś. Myślę, że będę go nosił do mojej czerwonej sukienki. – Rozczapierzył palce prawej dłoni i poruszył nimi nad naszyjnikiem, jakby miał zaraz go podnieść, ale Brunetti nie chciał uczestniczyć w tej grze i cofnął się, pozwalając mu dotykać, co tylko zechce.

Bocchese pogodził się z częściowym zwycięstwem i cofnął rękę. Wysunął środkową szufladę biurka i grzebał w niej tak długo, aż znalazł jubilerską lupę. Przyłożył ją do oka i pochylił się nad naszyjnikiem, uważając, żeby unikać kontaktu z klejnotami i papierem, na którym spoczywały. Przez moment przypatrywał się bacznie kamieniom, po czym zmuszając komisarza do odsunięcia się, przeniósł się na drugi koniec biurka, żeby spojrzeć na cenną biżuterię z innej perspektywy. Wodził wzrokiem po każdym kamieniu, nucąc piosenkę, którą Brunetti słyszał z jego ust tylko w chwilach wielkiego zadowolenia.

Bocchese odłożył lupę na biurko i wrócił na swoje krzesło.

– *Maria Vergine*. Niewątpliwie masz dobry gust w wyborze kamieni szlachetnych, Guido.

W takiej oprawie prawdopodobnie są prawdziwe, a jeżeli tak, ich wartość... jest ogromna.

– Prawdopodobnie? – zdziwił się Brunetti.

Zastanawiając się nad odpowiedzią, Bocchese wydał wargi, jakby szykował się do całowania niemowlęcia.

– Dzisiaj, gdy te kamienie napływają z Ameryki Południowej, niemal nie sposób tego ocenić. – Technik pokręcił głową na znak dezaprobaty dla fałszerstwa, którego nie potrafił wykryć. – Jeżeli jednak oprawa ma tyle lat, ile mi się wydaje – ciągnął – czyli co najmniej trzydzieści, i jeżeli przy niej nie majstrowano, to one są bezcenne.

– Zawsze się zastanawiałem, co znaczy to słowo, szczególnie gdy używa się go w odniesieniu do rzeczy, które ludzie kupują i sprzedają – rzekł Brunetti, dodając: – za jakąś cenę.

– To prawda, czyż nie?! – zawołał z radością Bocchese. – Ciekawe, dlaczego nadal tak mówimy...

– Ile wynosi cena, której nie mają? – zapytał Brunetti.

Bocchese rozsiadł się i skrzyżował ręce, przyglądając się bacznie kamieniom.

– Zwykle pokazuję je swojemu znajomemu, który jest jubilerem... naprawdę zna się na kamieniach... i pytam, ile jego zdaniem są warte.

– Kto to taki?

– Vallotto.

Nie próbując ukrywać szoku, komisarz zauważył: – Przecież to złodziej!

– Mylisz się, Guido – zaczął Bocchese – jest kimś o wiele gorszym. To krętacz i oszust, ale jest bardzo przekonujący, kiedy więc zrobisz z nim interes, nie możesz powiedzieć, że cię ograbił, ponieważ podpisujesz formularz z oświadczeniem, że zgadzasz się na jego ceny, to zaś znaczy, że nie sposób go powstrzymać.

– On kupuje, ale i sprzedaje, prawda? – zapytał Brunetti, myśląc o pierwszorzędnym sklepie Vallotta nieopodal Rialto.

– Owszem i przypuszczam, że zadowolony jest dopiero wtedy, gdy to, co kupił, uda mu się sprzedać pięć razy drożej.

– Ale ty mu ufasz?

Bocchese popatrzył na niewielką brązową tabliczkę z epoki renesansu, którą trzymał na biurku jako przycisk do papieru lub talizman. Trącił ją palcem wskazującym, przesuwając kilka centymetrów w lewo.

– Kiedyś wyświadczyłem mu przysługę, więc wciąż mi pomaga, chociaż nie jesteśmy przyjaciółmi. No cóż, nadal porządnie robi mi szacunkowe wyceny.

– Mimo że wie, iż pracujesz dla policji?

– Która mogłaby mu za to płacić? To masz na myśli?

– Nie. Która mogłaby pewnego dnia przyjść z nakazem aresztowania.

Technik przesunął tabliczkę z powrotem na dawne miejsce.

– Uważa, że to była wielka przysługa.

– Co takiego zrobiłeś? – zapytał komisarz, wyczuwając, że technik, zwykle strzegący prywatności, oczekiwał tego pytania.

Bocchese znowu spojrzął na tabliczkę, jakby widoczne na niej dwie postaci również wyraziły zainteresowanie tą historią.

– Chodziliśmy razem do szkoły. To sprawa sprzed ponad czterdziestu lat. Rodzina Vallotta żyła w nędzy; ojciec pił i kilka razy trafił do aresztu. Matka zadowolala się tym, co zdołała zarobić. Ale ich dzieci przychodziły do szkoły czyste i pilnie się uczyły. – Brunetti słyszał tę historię niezliczoną ilość razy: tak wyglądała młodość jego przyjaciół i towarzyszy. – W każdym razie – dodał Bocchese, jakby w odpowiedzi na sygnał ludzi z tabliczki, by się pośpieszył – pewnego dnia kupowałem w sklepie spożywczym jakieś rzeczy dla mojej mamy i ujrzałem jego matkę. Stała w jednym z przejść między regałami, rozglądając się, jakby zbliżał się do niej ogień piekielny. Widziała mnie, ale nie odpowiedziała na moje powitanie. Po czym nagle pojawił się tam właściciel sklepu, krzyczący: „Widziałem cię, widziałem, jak chowasz ryż”, i wtedy właśnie spostrzegłem, że ona trzyma rękę pod płaszczem. Wyglądała, biedna, jakby miała zaraz zemdleć, a on szedł ku niej i wrzeszczał: „Złodziejka, złodziejka. Niech ktoś wezwie policję!”. A ja pomyślałem o Leonardzie oraz pozostałych dzieciach i o tym, jak przyjmą wiadomość, że aresztowano ich matkę.

– Cóż więc zrobiłeś?

– Gdy ten człowiek szedł w jej stronę, minąłem ją, wyciągnąłem rękę i złapałem pudełko z makaronem w taki sposób, żeby zrzucić z półki kilka innych, tak aby właściciel musiał sprawdzić, co się dzieje. Kiedy to zobaczył, próbował mnie złapać, ale wyminąłem go i wyleciałem ze sklepu, a on zupełnie zapomniał o niej i ruszył za mną. Biegłem na tyle wolno, żeby starał się mnie dogonić, ale kiedy wyprowadziłem go na odległość dwóch przecznic od sklepu, zacząłem pędzić naprawdę szybko i zgubiłem go.

Bocchese wspominał to bez cienia uśmiechu.

– Gdy sklepikarz wrócił do sklepu, kobiety już nie było. Nie wiem, czy ją rozpoznał, bo że mnie nie znał, to pewne.

– Jak Vallotto się o tym dowiedział? – zapytał Brunetti.

– Przypuszczam, że matka mu powiedziała – odparł Bocchese bez większego zainteresowania. – Poruszył ten temat dopiero po latach, gdy spotkałem go na ulicy. Powiedział, że słyszał, iż się żenię, i kazał przyjść do swojego sklepu po obrączki. Musiał wiedzieć, bo rzekł: „Pamiętam, co zrobiłeś dla mojej matki. Nigdy cię nie oszukam i jeżeli tylko będę mógł, pomogę”. – Technik popatrzył na komisarza i dodał: – I pomogł.

– Jak?

– Pamiętasz, jak sześć lat temu znaleźliśmy w domu podejrzanego bransoletkę z brylantami oraz trochę pierścionków, a on powiedział, że należą do jego matki?

Brunetti skinął głową, chociaż miał tylko mgliste wspomnienie tej sprawy.

– Zabrałem je do Leonarda, wyjaśniłem, że to sprawa służbowa, i zapytałem, czy pomoże – ciągnął Bocchese.

– I?

– I podał mi nazwisko rodziny, której to skradziono. – Bocchese przerwał, ale Brunetti nie miał nic do powiedzenia i w końcu technik, wskazując na naszyjnik, zapytał: – Co mam z nim zrobić?

– Sprawdź, czy na nim i na papierze są odciski palców. Jeżeli przyślesz mi zdjęcia, każę *signorinie* Elettrze dowiedzieć się czegoś o naszyjniku.

– A potem?

– Masz przecież sejf, prawda? – upewnił się komisarz.

– Mam – potwierdził Bocchese i wsunął papier wraz z klejnotami z powrotem do płóciennej torby.

Następnym przystankiem Brunettiego był sekretariat zastępcy komendanta. Komisarz chciał się zobaczyć z Elettrą i sprawdzić, czy wciąż strajkuje, a jeśli tak, jak sobie radzą *vice-questore* Patta i porucznik Scarpa. Pragnął też usłyszeć, czy dowiedziała się, kto wysłał żółte róże, które trafiły do teatru oraz mieszkania Flavii, i zapytać o naszyjnik. Gdy ujrzał ją przy biurku, tak

wyraźnie dała mu do zrozumienia swoją miną, że jej starania nie zakończyły się sukcesem, iż postanowił nie zawracać sobie głowy pytaniem o kwiaty.

– Nic – wyjaśniła niepytana. – Mój znajomy z baru naprzeciwko teatru jest na wakacjach.

Spróbowałam w kilku kwiaciarniach, które ostały się w mieście, ale w żadnej z nich nie sprzedano aż tylu kwiatów. Sprawdziłam w Mestre i Padwie, ale potem dałam za wygraną. – Czy kiedykolwiek wcześniej słyszał, by użyła tego zwrotu?

Zanim zdążył to skomentować, sekretarka Patty dodała: – Znalazłam wiele artykułów, po włosku i po angielsku, o wielbicielach i stalkerach, ale niestety nie napisano w nich nic, czego nie podpowiada nam zdrowy rozsądek. Wielbicielami opery są niemal wyłącznie kobiety. – Spojrzała na komisarza i uśmiechnęła się, mówiąc: – Rocka także, za to fanami jazzu są mężczyźni.

Brunetti przypomniał sobie znajomego, który kiedyś – w epoce gdy ludzie kupowali jeszcze krążki CD w sklepach – miał właśnie sklep z płytami. Dowiedział się od niego, że najdziwniejszymi klientami byli miłośnicy muzyki organowej. „Większość kupuje wieczorem”, wyjaśnił ów znajomy. „Myślę, że tylko wtedy niektórzy z nich wychodzą z domu”.

– Jeśli chodzi o *signorę* Petrelli – ciągnęła Elettra – spędziłam przedpołudnie, szukając o niej informacji w brukowcach. Początkowo zachwycaly się jej romansem z tą Amerykanką, ale wkrótce się znudziły i temat zszedł najpierw z pierwszych, a potem końcowych stron gazet.

Ostatnim razem wspomniały o niej... jednocześnie nie wykazując nigdy cienia zainteresowania jej śpiewem... dlatego, że jej mąż pozwał ją do sądu, próbując uzyskać zmniejszenie alimentów.

– I?

– Sporządzenie ugody rozwodowej zleciła zapewne najlepszemu prawnikowi w Hiszpanii. Wówczas sympatia opinii publicznej była po jej stronie i sędzia, który rozpatrywał sprawę, powiedział mu w istocie, żeby przestał marnować czas wymiaru sprawiedliwości i płacił żonie, bo inaczej trafi za kratki.

– Czy to ostatnie słowo wywarło jak zwykle swój otrzeźwiający wpływ? – zapytał Brunetti.

– Oczywiście.

– Myśli pani, że on jest w to wplątany?

Elettra rozważyła pytanie w należyty sposób i odparła: – Wątpię. – Po chwili szybko wyjaśniła: – Nie dlatego, że on by tego nie zrobił, ale dlatego, że jest wystarczająco inteligentny, by wiedzieć, że gdyby coś jej się stało, to on byłby pierwszym podejrzanym. Poza tym przebywa teraz w Argentynie.

– Czy po rozwodzie dziennikarze prasowi poświęcali jej dużo uwagi? – zapytał Brunetti.

– Tylko ci, którzy interesują się muzyką. Petrelli zdobywała nagrody i pojawiała się na okładkach czasopism. Wydaje się jednak, że jej życie prywatne przestało ich ciekawić.

– Z powodu wieku?

– Prawdopodobnie – przyznała *signorina* Elettra. – Poza tym życie gwiazd muzyki pop jest o wiele bardziej ekscytujące.

Komisarz skinął głową, ponieważ przypadkiem podsłuchał kiedyś rozmowę własnych dzieci, widział też magazyny, które zostawiały porozkładane w całym domu.

– Moje pokolenie było takie samo – zauważył.

– Moje też – odparła i wzruszyła ramionami.

Kusiło go, żeby dodać: „oraz pokolenie Nerona”, ale pomyślał, że oszczędzi jej tego.

– A ta Amerykanka? – zapytał w końcu.

– Od lat nie ma o niej nic poza artykułami i książkami, które napisała o chińskiej sztuce.

– Żadnej wzmianki o tym, gdzie jest?

– Wszystkie znalezione przeze mnie informacje wskazywały, że przebywa w Chinach, aczkolwiek według niektórych przyjechała tam tylko na jakąś konferencję. Żadnej wzmianki o tym, skąd przyleciała.

Komisarz zmarszczył czoło. Ślepa uliczka. Z tego, co mówiła Flavia, wynikało, że chyba nie ma tutaj drugiego dna.

– Szkoda – rzekł głośno, a *signorina* Elettra podniosła ze zdziwieniem wzrok.

Rozdział 19

– A co z Alvisem? – zapytał.

Zdziwienie zniknęło.

– Został zawieszony.

Brunetti przerwał jej, żeby zapytać: – Odkąd to może się tak dziać?

– Słucham?

– Po raz pierwszy słyszę, by funkcjonariusza policji można było zawiesić z taką łatwością, bez dochodzenia i przesłuchania, a jednak wszyscy żeśmy na to przystali, zachowując się tak, jakby Scarpa był władny to robić. Jest?

Elettra siedziała z otwartymi ustami, patrząc na Brunettiego tak, jakby nagle zaczął mówić do niej po węgiersku.

– To procedura stosowana do zablokowania wypłat pensji policjantom bez wnoszenia przeciw nim zarzutów – odparła z miną świadcząca o tym, że akurat komisarz powinien być świadom zarządzeń ministra spraw wewnętrznych.

– Kto pani o tym powiedział? – zapytał komisarz.

I znowu Elettra wpatrywała się w niego niczym kardynał w obliczu grzechu.

– Myślę, że to częste... – zaczęła wyjaśniać, ale potem doznała olśnienia. – Powiedział mi porucznik Scarpa – stwierdziła, nie będąc już kardynałem, lecz inkwizytorem, który właśnie przypadkiem natknął się na wyraźną możliwość popełnienia herezji.

– Rozumiem – rzekł spokojnie Brunetti, po czym, starając się nie modulować głosu, zapytał: – Nie pomyślała pani o tym, by zajrzeć do ministerialnych przepisów?

Sekretarka Patty odwróciła się do komputera, mówiąc pod nosem: – Nie chce mi się w to wierzyć.

Brunetti oparł się pokusie, by stać za Elettrą w czasie tych poszukiwań, w równym stopniu pewny tego, że nie może jej w żaden sposób służyć pomocą, jak tego, że i tak nie zrozumie, co ona robi. Podeszedł do okna i krzyżując ręce, oparł się o parapet. Paznokcie Elettry stukały w klawisze. Przyjrząwszy się uważnie sznurówkom w swoich butach, zauważył, że są nieco zużyte i powinien je wymienić. Porucznika Scarpę też należało wymienić, chociaż nie dlatego, że był zużyty. Zegar tykał.

– Niesamowite – powiedziała Elettra, nie odrywając oczu od ekranu. – Nie istnieje żaden taki przepis. Nawet jeżeli ktoś jest oskarżony o popełnienie przestępstwa, wciąż otrzymuje pensję i jest uważany za funkcjonariusza policji. – Spojrzała znad monitora z kamiennym wyrazem twarzy. – On nie może tego zrobić. Nie mogą zablokować wypłaty jego pensji.

Brunetti pamiętał, że nie powinien wiedzieć, iż Elettra nie skreśliła Alvisego z listy płac. Na powrót spojrzał na swoje sznurówki i rozważał konsekwencje tego faktu. Jawne naruszanie wielu ustaw, zwłaszcza tych dotyczących ochrony danych osobowych, od lat służyło *signorinie* Elettrze. Napadała na banki, włamywała się do ministerialnych archiwów, przeczesała nawet akta Watykanu. Czasami posuwała się za daleko i wzbudzała nagłą trwogę wśród ludzi, którzy wiedzieli, co robi, często tych samych, dla których to robiła. Zawsze jednak udawało jej się w porę czmychnąć, nie zostawiając śladów. Dyskrecja wydawała się w tym momencie zbędnym luksusem. Statek tonął, więc komisarz wyrzucił dyskrecję za burtę.

– Czym nazwiskiem podpisała pani wniosek o przywrócenie pensji Alvisemu?

Twarz Elettry zastygła w bezruchu. Sekretarka Patty przytknęła trzy palce lewej dłoni do ust i pomasowała wargi.

– Nie wygląda to dobrze – powiedziała.

– Co pani zrobiła?

– Złożyłam wniosek o zatwierdzenie Alvisemu wypłaty za nadgodziny. Nie chciałam wzbudzać podejrzeń, wycofując nakaz wstrzymania przelewu pensji, więc tylko przeniosłam jego nazwisko do innej kategorii i kazałam wypłacić mu pieniądze za pracę na dodatkowych zmianach. Pięciu w tygodniu. –

Przerwała, po czym dodała: – Naprawdę sądziłam, że Scarpa może go zawiesić. Nie wiem, co sprawiło, że mu uwierzyłam.

– A kto zatwierdził te płatności za dodatkowe zmiany? – zapytał Brunetti, niezainteresowany, jak często bywało z jego dziećmi, wyjaśnieniami i wymówkami.

– Właśnie dlatego nie jest dobrze – odparła. – To pan je zatwierdził.

– Ahaaa – mruknął komisarz przeciągle, żeby dać sobie czas na przeanalizowanie możliwych konsekwencji. Spojrzał na Elettrę, lecz ona uciekła wzrokiem. – Ludzie w Rzymie mają akta człowieka, który przepracował w tym tygodniu osiemdziesiąt godzin? – zapytał.

– Owszem – powiedziała Elettra, nadal unikając jego spojrzenia.

– A gdyby zwrócono im uwagę na te liczby, pomyśleliby, że co się dzieje?

Signorina Elettra odparła bez wahania: – Pomyśleliby, że ktoś, kto zatwierdzał mu przepracowane godziny, podzieli się z nim tą dodatkową forszą.

Gdyby Brunetti pracował w Rzymie albo gdziekolwiek indziej, przypuszczalnie doszedłby do identycznego wniosku.

– Więc Scarpa piecze dwie pieczenie na jednym ogniu. Alvisemu dobiorą się do skóry za to, że składa fałszywe oświadczenie o nadgodzinach, a mnie za podpisanie papierów. Kogo obchodzi, czy dostałem forszę od niego, czy nie. Z jakiego innego powodu miałbym to zrobić?

Elettra sama zapewne do tego doszła, przypuszczalnie wymyślała teraz gazetowe nagłówki: „Korupcja nie tylko na Południu”, „Podwójnie opłacony po tym, jak poranił robotnika”.

Sekretarka Patty zaczęła coś odliczać na palcach.

– Co? – zapytał Brunetti.

– Liczę, ile dni zostało nam do wypłaty.

– Siedem – odparł, oszczędzając jej kłopotu z liczeniem. – Dlaczego pani to liczy?

Elettra spojrzała na komisarza, ale wydawało się, że go nie widzi. W końcu wyjaśniła: – Staram się wymyślić sposób, jak to naprawić.

– Mógłbym doznać załamania nerwowego i wtedy nigdy by mnie o nic nie obwiniono – zasugerował Brunetti.

Elettra zachowywała się tak, jakby nie powiedział ani słowa. Patrzyła przed siebie, po czym odwróciła się do komputera i wpisała krótki ciąg słów, sprawdziła efekt i wstukała parę innych znaków. Zmrużyła oczy, czytając informacje wyświetlone w drugim i trzecim rzucie, a potem zamknęła je niemal całkowicie, skupiając się na kolejnym wyświetlonym oknie.

Komisarz myślał, że jego dni w komendzie mogą być policzone, postanowił więc spędzić ostatnie z nich najprzyjemniej, jak mógł, a niewiele rzeczy sprawiało mu tyle radości co obserwowanie, jak *signorina* Elettra wpada w trans, który zwykle oznaczał początek jakichś czynności łamiących prawo. Spójrz na nią, pomyślał, dzisiaj występuje w przebraniu osoby zajmującej wysokie stanowisko w świecie biznesu – w opiętej kamizelce z czarnej wełny, zapiętej na guziki, białej bawełnianej koszuli, grafitowych prążkowanych spodniach i stonowanym krawacie. Gdyby bogowie zmienili Pattę w kobietę, ubierałaby się właśnie w taki sposób.

Czas mijał, a Brunetti dalej przyglądał się, jak Elettra pracuje. Czy też spiskuje, demoralizuje, blokuje, przeciwstawia się i udaremnia prawidłowe funkcjonowanie wymiaru sprawiedliwości – a w każdym razie systemu prawa. Nie miał pojęcia, co ona robi, ale obserwował jej sukces bądź niepowodzenie, tak jak ludzie czynili w holach większych banków, zauroczeni widokiem ekranów, na których umieszczano notowania głównych spółek z mediolańskiej giełdy. Trzeba było tylko studiować ich twarze z zachwytem kontemplujące boga w komputerowym terminalu, żeby wyczytać swój los: ceny rosły bądź spadały, a nadzieje graczy szły ich śladem.

Brunetti zupełnie stracił poczucie czasu. Jediną styczność ze światem zapewniała mu obserwacja wyrazu twarzy *signoriny* Elettry. Widział ją pokonaną, potem wyzywającą, całkowicie oszołomioną, przestraszoną, pełną nadziei, zmartwioną, a następnie przerażoną i nagle absolutnie pewną, że znalazła drogę, prawdę i światło. Oderwała wzrok od ekranu i zrobiła okrągłe oczy zaskoczona widokiem komisarza. – Długo pan tu jest? – zapytała.

Brunetti zerknął na zegarek.

– Pół godziny – odparł, po czym ruchem głowy wskazał komputer. – Znalazła pani coś?

– Owszem. Do aplikacji dotyczących nadgodzin można się dostać tylną furtką.

– Tylną furtką?

– To taki sposób wejścia, aby wprowadzić zmiany we wnioskach.

– A co można w nich zmienić?

– Wszystko. Cel, czas trwania, to, czy praca ma być w mundurze, czy nie.

– A można zmienić nazwisko funkcjonariusza zatwierdzającego wniosek?

– Właśnie to zrobiłam – odparła Elettra i w geście samozadowolenia, takim jaki widziała u Patty, przesunęła dłonią po krawacie.

– Muszę prosić o szczegóły?

– Porucznik Scarpa zażyczył sobie, by funkcjonariusz Alvise działał w porozumieniu...

zawsze chciałam użyć tego słowa... z personelem szpitala celem sprawowania pieczy nad ofiarą napaści. Ponieważ bardzo zależy mu na tym, żeby tego zadania podjął się funkcjonariusz Alvise, zatwierdził wniosek o Nielimitowane nadgodziny.

– Wstydu pani nie ma, prawda? – zauważył Brunetti z szerokim uśmiechem.

– A tym bardziej litości – odparła Elettra, odwzajemniając uśmiech.

Uznawszy, że dyskrecja wymaga, by ich świętowanie odbywało się w milczeniu, Brunetti wyjął telefon z kieszeni i starając się, by wyglądało to niedbale, uniósł go i powiedział: – Bocchese przysłał mi zdjęcia pewnego naszyjnika. Chciałbym, żeby spróbowała się pani o nim czegoś dowiedzieć.

– Został skradziony?

– Nie wiem – odparł komisarz, stukając palcem w ekran komórki, dopóki nie ukazały się na nim zdjęcia. – Wyślę je pani. – Dotknął ikony, próbował sobie przypomnieć nauki Chiary i wykonał wszystkie pokazane mu przez nią kroki. Pierwsze zdjęcie z cichym świstem wysunęło się z jego telefonu – tak sobie to wyobrażał – i pokonało dwumetrową odległość dzielącą go od

komputera *signoriny* Elettry. Za nim powędrowały następne. Podniósł wzrok, zadowolony z siebie; starał się to ukryć, ale sekretarka Patty patrzyła na pierwsze zdjęcie, wyświetlone już na ekranie jej monitora.

– *Maria Santissima...* – szepnęła. – Jeszcze nigdy czegoś takiego nie widziałam.

Brunetti przeczytał wiadomość załączoną przez Bocchesego, stwierdzającą, że oprawa naszyjnika liczy co najmniej czterdzieści lat i tym samym kamienie są prawdopodobnie prawdziwe.

– Skąd on go ma? – zapytała Elettra.

– Dała mi go *signora* Petrelli. Ktoś zostawił go w jej garderobie.

Elettra przysunęła się bliżej monitora.

– Zostawił?

– Tak mi powiedziała.

– Chce pan się dowiedzieć, skąd pochodzi?

– Tak. O ile to możliwe.

– Jeżeli został skradziony, to chyba tak. Interpol ma kartotekę z cennymi klejnotami, które padły ofiarą kradzieży. – Elettra podniosła rękę w kierunku kamieni, ale powstrzymała się przed dotknięciem ekranu chyba z takiej samej obawy, jaką on żywił przed pozostawieniem odcisków palców na czymś tak pięknym.

– A może to pani też sprawdzić u jubilerów?

Skinęła głową, wciąż patrząc na naszyjnik.

– Jestem pewna, że każdy, kto go sprzedawał, pamiętałby tę transakcję. – Odwróciła wzrok od zdjęcia i dodała: – Mam tu listę sklepów jubilerskich, gdzie coś tak cennego mogło zostać sprzedane. Wyślę to zdjęcie i zapytam, czy kupili go bądź sprzedali w ciągu ostatnich...? – Spojrzała z zaciekawieniem na komisarza.

– Chyba nie ma potrzeby tego określać – odparł Brunetti. On, który nie przejawiał specjalnego zainteresowania kamieniami szlachetnymi, z pewnością by go nie zapomniał; jubiler, mający lepsze pojęcie o wartości naszyjnika i bardziej wyczulony na jego piękno, pamiętałby go jeszcze lepiej.

– W tym kraju czy na całym świecie?

– Myślę, że wszędzie.

Sekretarka Patty skinęła głową, a potem zapytała: – Coś jeszcze?

– Mogłaby mi pani powiedzieć, co się stanie z porucznikiem – rzekł łagodnym tonem i się uśmiechnął.

– Ach – westchnęła w odpowiedzi. – Pewnie ma mocnych obrońców w Rzymie, więc przypuszczalnie włos mu z głowy nie spadnie.

– Obrońców, czyli kogo? – zapytał komisarz tym samym łagodnym tonem, pamiętając, jak mówiła, że chce głowy porucznika.

– Nie chcę snuć domysłów, *commissario* – odparła, po czym, odwracając się w stronę hałasu dobiegającego zza pleców komisarza, dodała: – Chyba może pan zapytać o to pana komendanta, *dottore*.

Z łaskawą protekcjonalnością, która cechowała wszystkie jego rozmowy z osobami o niższej pozycji, *vice-questore* Patta postanowił poświęcić uwagę swoim podwładnym. Zwrócił się do *signoriny* Elettry i spokojnie zapytał: – Skoro rozmawia pani z nim, czy to znaczy, że ze mną też?

– Oczywiście, że z panem rozmawiam, *dottore* – odparła uprzejmie Elettra. – Jakżebym mogła nie rozmawiać? – Jej głos pasowałby do reklamy miodu lub proszku do prania.

– O co chodzi? – zapytał Patta tonem, który rezerwował dla swojej sekretarki, nie tym, którego używał w rozmowach z Brunettim. Miód, proszek do prania.

Signorina Elettra skinęła na komisarza. Ten odebrał sygnał i śmiertelnie poważnym głosem wyjaśnił: – Właśnie mówiłem *signorinie* Elettrze, jak bardzo się cieszę, że Alvise ma na oku tę dziewczynę w szpitalu.

Niczym latarnia morska obracająca się ku nowemu statkowi Patta zwrócił swą kształtną głowę w stronę komisarza i zapytał: – Dziewczynę? Alvise?

– To bardzo rozsądne ze strony porucznika, że o tym pomyślał.

– Zwykle nie wyraża się pan o poruczniku tak pochlebnie, prawda, *commissario*? – Chociaż zastępca komendanta próbował zamaskować samozadowolenie, nuty satysfakcji były wyczuwalne w jego głosie. Brunetti,

uznając, że samozadowolenie jest lepsze niż podejrzliwość, zaryzykował nieznaczny grymas skarconego winowajcy, pokręcił lekko głową na dokładkę i odpowiedział: – Muszę przyznać, że to prawda, *dottore*. Są jednak chwile, gdy trzeba docenić zasługę bez względu na to, kto podejmuje decyzję. – Zastanawiał się nad sensownością ściągnięcia ust i pokiwania potakująco głową, pomyślał jednak, że to może przesada, i stłumił ten odruch.

Patta spojrział z powrotem na *signorinę* Elettrę, ale ona była zajęta ponownym zawiązywaniem krawata – Brunettiego zdumiał fakt, że ta męska czynność może być przepełniona taką gracją i delikatnością. Na litość boską, przecież był to ciemnoszary krawat z prawie niewidocznymi czerwonymi prążkami, a wiążąca go osoba nosiła czarną wełnianą kamizelkę i spodnie w prążki; czemu więc ruch materiału wsuwanego przez nią w węzeł przypominał mu sposób, w jaki Paola ściągała pończochy, póki jeszcze nie wyszły z mody?

– Przyszedłeś zobaczyć się ze mną? – Pytanie Patty sprawiło, że Brunetti wrócił myślami do biura zastępcy komendanta.

– Nie, *dottore*. Przyszedłem poprosić *signorinę* Elettrę, aby spróbowała ustalić pochodzenie pewnego klejnotu.

– Skradzionego? – zapytał Patta.

– Nic mi o tym nie wiadomo, panie komendancie.

– Cenny?

– Dla właściciela, jak przypuszczam – odparł komisarz, po czym, zanim chmury tworzące się w oczach Patty w reakcji na jego odpowiedź zaczęły zwiastować burzę, dodał: – Przypuszczam, że znaczna część ludzi nadaje większą wartość temu, co posiadają bądź lubią, niż inni ludzie. – Mówiąc to, myślał o wartości, którą *vice-questore* nadawał porucznikowi.

Signorina Elettra wtrąciła: – Wątpię, czy ma wielką wartość, *commissario*, ale to sprawdzę. – Udało się jej sprawić wrażenie zarówno znudzonej, jak i lekko zdenerwowanej tym, że zawraca się jej głowę drobiazgami.

Fakt, że rozmawiała z komisarzem w ten sposób, wydawał się cieszyć zastępcę komendanta, więc Brunetti pozwolił sobie na zaskoczone spojrzenie w jej kierunku, zanim rzekł: – Jeżeli to już wszystko, *dottore*, chętnie wrócę

do swojego gabinetu.

Patta skinął głową i odwrócił się do drzwi. Za jego plecami *signorina* Elettra podciągnęła węzeł krawata, zerknęła na komisarza i puściła do niego oko.

Rozdział 20

Znalazłszy się za biurkiem, Brunetti nie wiedział, co robić. Nie miał zbytnej ochoty gratulować sobie nieistotnego zwycięstwa nad Patta, w ostatnich latach bowiem drażnienie swojego przełożonego przestało go cieszyć; chociaż, jak się okazało, nie był w stanie się przed tym powstrzymać. Jego koledzy w innych miastach i regionach Włoch stale mu opowiadali, dla jakich ludzi muszą pracować, dając do zrozumienia – bo nie mieli odwagi powiedzieć tego otwarcie – że niektórzy z nich dochowują wierności organizacji innej niż państwo, czego nie można było powiedzieć o *vice-questore*.

Brunetti przekonał się przez lata, że Patta dochowuje wierności swojej rodzinie. Bez zastrzeżeń, bezrefleksyjnie, bez zahamowań. I za to go lubił. Patta był próżny i leniwy, samolubny i czasami niemądry, nie były to jednak wady dokuczliwe. Odznaczał się wielką zarozumiałością, ale nie miał w sobie jadowitej złośliwości – tę pozostawiał porucznikowi Scarpie.

Łatwo było również domyślić się pobudek jego postępowania i równie łatwo je zrozumieć: dążył do awansu zawodowego i zabiegał o aprobatę swoich przełożonych. Brunetti przyznawał, że tak postępuje większość ludzi. Gdyby nie zabezpieczenie w postaci majątku i wpływów rodzinnych jego żony, on sam na pewno nie traktowałby tak nonszalancko swojej pracy ani swojego zwierzchnika.

Skąd jednak brała się lojalność Patty wobec Scarpy? Czymś takim nie można było przecież zaimponować przełożonym ani pomóc sobie w karierze. Brunetti nigdy nie widział ich razem poza komendą, nie wspominał o tym także nikt inny. Obaj pochodzili z Palermo. Więzy rodzinne? Splota długu wdzięczności za dawną protekcję?

Komisarz odepchnął się od biurka w swoim fotelu, skrzyżował ręce i spojrzął na drugi koniec *campo*. Pojedyncze okno u szczytu fasady kościoła

San Lorenzo patrzyło na niego stamtąd niczym oko płaskolicego cyklopa. O ile sobie przypominał, Scarpa pojawił się po prostu pewnego dnia przed laty; nie pamiętał, by *vice-questore* uprzedzał o jego przyjeździe. Nie odniósł też wrażenia, że obaj znali się wcześniej, chociaż trudno było odtworzyć te pierwsze miesiące, gdy wysoki i chudy Scarpa bardziej zwracał uwagę swoim nieskazitelnym mundurem niż tym, co robił bądź mówił.

Brunetti wspominał, jak natknąwszy się na nich w korytarzu przed sekretariatem, dostrzegł pierwszy symptom łączącej ich więzi: rozmawiali, wyraźnie nosowo wymawiając głoski, brzmiało to tak, jakby mówili po arabsku, grecku oraz trochę po włosku. Słyszał – bądź tak mu się wydawało – „tr” zmienione w „ch” oraz czasowniki wstawiane na końcu zdań. Nie rozumiał ani słowa.

Zdarzyło się to na początku drugiego śledztwa w sprawie kasyna, czyli około ośmiu lat temu. I właśnie wtedy Patta stał się orędownikiem Scarpy. Z jakiego powodu?

Chociaż Brunetti bardzo stanowczo wpatrywał się w cyklopa, ten nie chciał mu odpowiedzieć. Aby przechytryć Polifema, Odyseusz ukrył swoich ludzi, a potem siebie pod brzuchami baranów. Brunetti nie był w stanie wymyślić fortelu, który byłby równie skuteczny w jego przypadku.

Ktoś zapukał szybko trzy razy do drzwi i do gabinetu weszła Griffoni, należąca teraz do osób, które mogły nie czekać na zaproszenie. Przewidując chyba, że lato będzie upalne, ostrzygła się bardzo krótko, dzięki czemu w komendzie pojawiła się kolejna chłopczyca, tym razem z koroną złocistych loków i w czarnej sukience sięgającej tuż poniżej kolan. Przynajmniej nie nosiła krawata. Komisarz wskazał jej wygodniejsze z dwóch krzeseł stojących naprzeciw biurka.

– Twarzowa fryzura – rzekł tylko, po czym zapytał: – Dowiedziałaś się czegoś w teatrze?

– Gdy rozmawiałam z *portiere*, do budynku weszło trzech mężczyzn. Odbili karty i wyszli.

– No i? – zapytał Brunetti.

– Przypomniał mi się dom – odparła głosem zabarwionym nostalgią.

Neapol?

– Czemuż to? – zdziwił się komisarz.

– Mój stryj, który był taksówkarzem, miał znajomego w administracji Teatro San Carlo – powiedziała Griffoni, jakby to wszystko wyjaśniało.

– I?

– Był zatrudniony jako maszynista teatralny, ale jedyne, co musiał robić, to przyjechać dwa razy dziennie i odbić kartę. – Spostrzegła zdziwienie na twarzy Brunettiego i dodała: – Wiem, wiem. Ale zrobiono audyt i wprowadzili karty zegarowe, żeby mieć pewność, że wszyscy zatrudnieni przynajmniej meldują się w pracy.

Zaintrygowany komisarz zapytał: – On tam nie pracował?

– Dobry Boże, nie! Miał piątkę dzieci, więc jeździł taksówką po dwanaście godzin dziennie, siedem dni w tygodniu. – Claudia uśmiechnęła się i Brunetti zdał sobie sprawę, że to ją bawi.

– Odbijał kartę zegarową i był zatrudniony? – upewnił się, a gdy skinęła głową, zapytał: – I nikt nie zwracał na to uwagi?

– Cóż – odpowiedziała z wahaniem – przecież nie on jeden tak robił. Nigdy też nie zdobył licencji na taksówkę, więc jedyna praca, jaką miał... oficjalnie, ma się rozumieć... to ta w teatrze.

– Ile lat tam... pracował?

Griffoni zawahała się, popatrzyła na swoje dłonie i zaczęła liczyć na palcach.

– Dwadzieścia siedem – oznajmiła, dodając po chwili: – A taksówką jeździł przez trzydzieści sześć.

– Aha – mruknął Brunetti i ponieważ nic innego nie przychodziło mu do głowy, powiedział tylko: – Pewnie świetnie poznał to miasto.

– W pełnym tego słowa znaczeniu – potwierdziła Griffoni i wyprostowała się na krześle, jakby chciała odegnać pokusę jałowej rozmowy. – Portier powiedział, że wieczorem w dniu przedstawienia do teatru przychodzą najrozmaitsi ludzie, nie tylko obsada i muzycy. Krewni śpiewaków, znajomi, dublerzy. Momentami w holu jest tak tłoczno, że każdy mógłby wejść, a on by

tego nie zauważył.

Brunetti pamiętał tłum, który się tam zebrał w dniu, gdy on i Paola czekali na Flavię.

Claudia mówiła dalej.

– Zaznaczył, że najgorszy moment wypada mniej więcej godzinę przed przedstawieniem, zwłaszcza w przypadku takiej opery jak *Tosca*, w której występuje chór oraz drugi chór dziecięcy, więc gdy wszyscy zaczynają się schodzić, można dostać obłędu. – Zanim komisarz zdążył się odezwać, dodała: – Tak samo jest po przedstawieniu, gdy ludzie wchodzi do pomieszczenia przy portierni i czekają na śpiewaków.

– A co z kwiatami?

– Portier zapamiętał niewiele: przyniosło je dwóch mężczyzn. Garderobiana Flavii Petrelli i kobieta, która przygotowuje peruki, niczego nie zauważyły, aż do momentu zakończenia spektaklu. Dopiero wtedy zobaczyły kwiaty w garderobie. Rozmawiałam z częścią obsługi technicznej. Nikt nie widział niczego dziwnego.

– Ktoś jednak zdołał się dostać do jej garderoby z kwiatami.

– Oraz wazonami – dodała Griffoni. – O ile to, co powiedziała mi garderobiana, jest prawdą.

– Ktoś zdołał wnieść jeszcze większą ich ilość do jednej z bocznych łóż i rzucić je na scenę – zauważył Brunetti, przypominając sobie, co widział w teatrze. – Jak to się mogło stać?

– Kto wie? Może wniósł je jakiś bileter – odparła Griffoni, a następnie dodała: – Jeżeli szaleńcy mają przyjaciół, może jeden z nich pomógł je wnieść do loży.

Nie widząc tutaj większej szansy na sukces, komisarz postanowił zmienić temat.

– Co z Alvisem?

– Przedstawił się dziewczynie w szpitalu i wyjaśnił jej, że jest tam po to, by mieć na nią oko i dopilnować, żeby nikt jej nie przeszkadzał. – Griffoni nie musiała wcale tłumaczyć Brunettiemu, że Alvis nie wie, co to dyskrecja.

– Ile czasu tam spędza?

– Powiedział, że będzie chodził w porach odwiedzin: od dziesiątej do pierwszej, a następnie między czwartą a siódmą.

– A przez resztę doby?

Griffoni mogła tylko wzruszyć ramionami. Alvisse był, jaki był.

– Nie przyszło mu do głowy, że coś mogłoby się wydarzyć poza godzinami odwiedzin.

– No jasne – zgodził się komisarz. – Przecież to byłoby niemożliwe, prawda?

Claudia nie umiała się powstrzymać i zapytała: – Myślisz, że ona jest bezpieczna?

– Trudno powiedzieć, ale jestem pewien, że czuje się bezpieczna, co przypuszczalnie jej pomaga. W tej chwili możemy prosić o pomoc wyłącznie Alvissego.

Zamilkli bez skrępowania, jak bywa między kolegami, którzy stwierdzają, że przez lata stali się przyjaciółmi. Do pokoju dobiegł odgłos łodzi zbliżającej się z prawej strony.

– To mogła być kobieta – stwierdził w końcu Brunetti i wyjaśnił, że skradziony został należący do Flavii notes z adresami, a nieznajoma kobieta zatelefonowała do jej przyjaciółki w Paryżu.

Griffoni posłała mu zdziwione spojrzenie, po czym odwróciła się, by spojrzeć na cyklopa. Założywszy nogę na nogę, pozwoliła, by but, który miał niezwykle wysoki obcas, zawisł na jej palcu. Huśtała nim w górę i w dół, najwyraźniej nieświadoma tego, co robi. Najpierw krawat *signoriny* Elettry, a teraz ten but. Brunetti uświadomił sobie, że zastanawia się, co zrobiłby Petrarca, gdyby Laura nosiła te buty lub ten krawat. Napisałby do nich sonet? Odwrócił się przerażony na widok tak niestosownego stroju?

Próbował ułożyć trzeci wers sonetu do buta, gdy Griffoni przyznała: – Też tak uważam.

Brunetti z radością zrezygnował z poszukiwania rymu do słowa *scarpa*, bał się bowiem, że *arpa* nie pomoże w wyrażeniu głębokich uczuć bez względu na

to, jak łatwo byłoby wpasować harfę^[1] w tekst sonetu.

– Flavia Petrelli wyznała, że fanki ją denerwują, ponieważ ciągle czegoś od niej chcą.

– Myślisz, że to z powodu jej kontaktów seksualnych w przeszłości? – zapytała Claudia, jakby chodziło jej o kolor włosów.

– Nie wiem – odparł komisarz. – Nie mam pojęcia, jak myślą kobiety.

Griffoni zmarszczyła brwi.

– To przypuszczalnie zależy od osoby – zauważyła, dodając: – Jeżeli ta fanka jest kobietą, raczej nie jest reprezentatywna dla ogółu kobiet.

– Chyba nie. – Brunetti grał na zwłokę.

– Chodziło mi tylko o to, że nie mamy skłonności do przemocy, a wydaje się, że ta kobieta ją przejawia. – Claudia spojrzała przez okno, jakby podążała tropem swoich myśli. – Tyle że nie jest w tym zbyt dobra, prawda?

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Zakładając, że pchnęła tę dziewczynę, zabrakło jej skrupulatności. Przyjrzała się swojej ofierze i odeszła.

– To znaczy?

Odpowiadając, Griffoni znowu spojrzała na komisarza.

– Przypuszczam, że nie chciała jej zabić, a jedynie zrobić krzywdę albo przestraszyć.

A może się rozmyśliła. Bóg wie, co ona ma w głowie.

Brunettiego ciekawił sposób, w jaki oboje tak łatwo zmienili zaimek, którego używali do opisu napastnika. Nie było żadnego dowodu, jedynie głos osoby, która zadzwoniła do przyjaciółki Flavii w Paryżu, a przecież to mogła być równie dobrze prawdziwa znajoma telefonująca, żeby zapytać, gdzie jest Flavia.

Zastanawiał się, czy on sam i Claudia nie ulegają myśleniu charakterystycznemu dla dawnych stuleci: że źródłem dziwnego zachowania jest macica, histeria, niemożność znalezienia mężczyzny.

– Chyba pójdę na obiad – powiedział, wstając.

Griffoni spojrzęła na zegarek i także wstała. Razem zeszi na parter. Zdumiało go, że Claudia jest w stanie bez najmniejszego problemu schodzić po schodach w tak wysokich szpilkach, w jakich on sam mógłby najwyżej stępać bokiem, noga za nogę. Kobiety. Jakże utalentowane istoty.

Rozdział 21

Brunetti był zamyślony podczas całego obiadu, wciąż nie godząc się z myślą o sprawcy jako agresywnej kobiecie. Poznał ich trochę w przeszłości, część nawet aresztował, nigdy jednak nie spotkał żadnej w życiu prywatnym.

Żona i dzieci paplały przy stole dość radośnie, a ich uwagę od jego milczenia odwróciła najpierw soczewica z gorącym salami i kandyzowanymi porzeczkami, potem zaś rolada cieleca nadziewana słodką kiełbasą. Chociaż Brunetti przepadał za soczewicą, powiedział tylko żonie, że jej potrawa wspaniale smakuje, po czym na powrót oddał się rozważaniom o tym, co dla niego nadal stanowiło oksymoron: o agresywnej kobiecie.

Zjadł deser śmietankowo-karmelowy i pierwszy raz w życiu nie poprosił o więcej. Paola powiedziała, że przyniesie kawę i mogą ją wypić w salonie albo – jeżeli on sądzi, że jest wystarczająco ciepło – na tarasie.

Aż tak ciepło nie było, więc Brunetti usiadł na kanapie i pomyślał o literaturze. Gdy Paola dołączyła do niego po kilku minutach z dwiema filiżankami kawy na drewnianej tacy, zapytał: – Czy pamiętasz postaci agresywnych kobiet w literaturze?

– Agresywnych? Zabójczo agresywnych czy po prostu agresywnych?

– Najlepiej te pierwsze – odparł i sięgnął po filiżankę.

Paola wsypała cukier do swojej kawy i stanąwszy przy oknie, patrzyła na wieżę zegarową. Zamieszała kawę łyżeczką kilka razy i po chwili przerwy mieszała dalej, aż ten odgłos zaczął działać Brunettiemu na nerwy. Już miał poprosić, żeby przestała, gdy Paola odwróciła się do niego i powiedziała: – Pierwszą, która przychodzi mi na myśl, jest Tessa d’Urberville, ale Bóg wie, że ona miała powód. – Podniosła filiżankę do ust, po czym odstawiła nietkniętą na spodek. – Jest jeszcze pani Rochester, ale ona była szalona. Pełno ich u Balzaca, ale tak dawno go nie czytałam, że nie pamiętam. Jestem pewna, że nie brak ich też u Rosjan i prawdopodobnie u Niemców, ale żadna

nie przychodzi mi do głowy. – W końcu wypła łyk kawy i zapytała: – A co z Dantem? Znasz się na nim lepiej ode mnie.

Brunetti spojrzał na swoją filiżankę i miał nadzieję, że Paola nie spostrzegła nagłego zaskoczenia tym komplementem, szybko zastąpionego radością. On, lepszym czytelnikiem?

Rozsiadł się i założył nogę na nogę.

– Nie – odparł swobodnie. – Nie przypominam sobie ani jednej. Francesca zginęła za cudzołóstwo, a Thaïs trafiła do piekła za pochlebstwa. Meduza i Harpie chyba się nie liczą.

Ciekawe – albo o tym zapomniał, albo nigdy tego nie analizował – jak łatwo u Dantego kobiety schodzą z tego świata. Cóż, poeta był kolejnym z tych mężczyzn zakochanych w kobiecie, którą ledwie znał, ale Brunetti wolał nie zwracać na to uwagi Paoli i nie ryzykować, że skłoni ją do zmierzenia się z kolejnym filarem włoskiej kultury.

– Jeśli już, to ich broni. Czemu inaczej miałby karać stręczycieli i uwodzicieli?

Paola wróciła od okna, żeby odstawić filiżankę na tacę.

– Nie możesz sobie przypomnieć żadnych innych? – zapytał Brunetti.

– Jest mnóstwo niemiłych kobiet, które czynią bliźnim paskudne rzeczy. W twórczości Dickensa aż roi się od nich. – Paola uniosła dłoń, przywołując mu na myśl *Zwiastowanie* z Galerii Uffizi. – Ach – westchnęła, pewnie tak samo jak uczyniła Najświętsza Maria Panna. – W *Samotni* pojawia się francuska służąca. – Stała, czekając na iluminację, a on obserwował, jak analizuje dzieła zebrane Charlesa Dickensa, zatrzymując się przy *Samotni*, żeby dojść do tej sceny. Spostrzegł, jak odżywa w niej wspomnienie, i wtedy spojrzała na niego, mówiąc: – Hortensja.

Czas potrzebny na to, żeby przejść z powrotem do komendy, Brunetti poświęcił próbie zrozumienia, jak ona to zrobiła. Nie była to pokazowa sztuczka, Paola nigdy też nie popisywała się swoją pamięcią do lektur. Cóż, sam znał mężczyzn, którzy potrafili co do minuty opisać wszystkie mecze piłkarskie, jakie kiedykolwiek obejrzel, może więc ta umiejętność

występowała powszechniej, niż sądził. On sam dobrze zapamiętywał mądre słowa padające z ust różnych ludzi, nie zapominał też twarzy.

Znajdował się o dwie minuty marszu od komendy i widział już kanał przed budynkiem, kiedy zadzwonił jego telefon. Rozpoznał numer Vianella.

– O co chodzi, Lorenzo?

– Gdzie jesteś? – zapytał inspektor.

– Niemal u drzwi. Czemu pytasz?

– Spotkamy się tam. Wsiądź do łodzi. – Zanim komisarz zdążył go wypytać, Vianello zakończył rozmowę.

Brunetti skręcił za rogiem; usłyszał motorówkę, nim ją zobaczył przed gmachem komendy, z Foą za sterem.

Vianello, w mundurze, wypadł z budynku i wskoczył na pokład, nie racząc spojrzeć w stronę komisarza. Pobudzony tym widokiem Brunetti pokonał biegiem ostatnie dwadzieścia metrów i bez namysłu wskoczył do motorówki.

– Jazda! – rzucił Vianello, klepiąc Foę w plecy. Łódź, już odcumowana, oddalała się od nabrzeża. Foa włączył syrenę. Nabrali prędkości i popłynęli w kierunku *bacino*. Inspektor złapał komisarza za rękę i pociągnął go za sobą do kabiny. Zamknął wahadłowe drzwi, licząc daremnie na stłumienie dźwięku syreny.

– Co się stało?

– Na piętrowym parkingu przy Piazzale Roma zaatakowano nożem mężczyznę – wyjaśnił Vianello. Siedział naprzeciwko Brunettiego pochylony do przodu, z dłońmi zaciśniętymi na brzegu obitego aksamitem fotela.

Gdy wpłynęli na otwarte wody, Brunetti zapytał: – Dlaczego nie płyniemy do szpitala?

– Gdy zadzwonili, nie było wolnej karetki, dlatego zabrali go do szpitala w Mestre.

– Jak to możliwe? – zdziwił się komisarz.

– Sanitrans miał w pobliżu karetkę wiozącą pacjenta z Padwy, pojechali więc od razu po niego na parking.

– Kto to taki?

– Myślę, że to twój przyjaciel.

– Jaki przyjaciel? – zapytał Brunetti z drżącym sercem.

– Federico d'Istria.

– Freddy? – zdziwił się, przypominając sobie, kiedy widział go ostatnim razem. Na moście. Z Flavią. Zastygł w bezruchu. Freddy został pchnięty nożem, Freddy, który poznał Paolę, gdy oboje mieli po sześć lat, i postanowił nazwać ją Poppie; wtedy nie znosiła tego przydomka i wciąż doprowadzało ją ono do szału. – W jak poważnym jest stanie? – zapytał głosem, w którym usiłował zachować spokój.

– Nie wiem.

– Kiedy to się stało?

– Zadzwonili do nas jakieś piętnaście minut temu, ale wtedy był już w drodze do szpitala.

– Kto dzwonił?

– Pracownicy garażu – odparł Vianello. – Z informacją, że jakiś mężczyzna dostał nożem i leży koło samochodu. Zdołał się przeczołgać do przejścia, ktoś go zobaczył i zadzwonił do nich, oni z kolei zadzwonili do szpitala, a potem do nas.

Brunetti usiłował sprawić, by dotarł do niego sens tego, co usłyszał.

– Więc wciąż jeszcze tam nie dojechał?

Inspektor zerknął na zegarek.

– Minęło pół godziny. Powinien już być w szpitalu.

Komisarz sięgał już po swój telefon, ale ostatecznie położył dłoń płasko na udzie.

– Samochód będzie na miejscu? – zapytał, myśląc o Piazzale Roma i jeździe do szpitala.

– Już czeka – zapewnił Vianello.

– Nic ci nie powiedzieli? – Brunetti nie mógł powstrzymać się przed zadawaniem pytań.

Inspektor pokręcił głową.

– Nic. Zadzwońłem do szpitala i prosiłem, żeby się skontaktowali z ratownikami w karetce, ale odmówili. Powiedzieli, że dowiemy się wszystkiego na miejscu.

– Dzwonili do jego żony?

– Nie wiem.

Komisarz wyjął komórkę i przeglądał kontakty, dopóki nie znalazł numeru Silvany. Po siódmym dzwonku beznamiętny kobiecy głos zaproponował możliwość pozostawienia wiadomości. Komisarz nie był w stanie tego zrobić ani wysłać SMS-a.

– Skąd wiedziałeś, że to mój przyjaciel? – zapytał inspektora.

– Wspominałeś o nim w zeszłym roku, po licealnym spotkaniu klasowym. Mówiłeś, że na nim był.

– Czemu miałbyś o czymś takim pamiętać? – zdziwił się szczerze Brunetti.

– Matka Nadii była kucharką u jego rodziców... wieki temu... i pamiętam, jak mówiła, że był miłym chłopcem...

Komisarz splótł dłonie i pochylił się, wciskając je między kolana.

– Nie znałem go wtedy – powiedział ze spuszczoną głową. – Ale to bardzo sympatyczny człowiek.

Przez następnych kilka minut słyhać było jedynie dźwięk syreny, po czym obroty silnika spadły i znaleźli się przy Piazzale Roma. Zapominając podziękować Foi, Brunetti wyskoczył z motorówki i wbiegł po schodach na jezdnię. Stał tam niebieski samochód z kogutem. Obaj wsiedli i Brunetti polecił kierowcy, by użył syreny.

Jazda zajęła im dwanaście minut. Komisarz wiedział ile, ponieważ mierzył czas, zachęcając w trakcie podróży kierowcę, by wyprzedził jadący powoli autobus i rowerzystę, którego nie powinno być na drodze. Kierowca nic nie mówił i koncentrował się na prowadzeniu samochodu. Skręcili w nowy zjazd i po kilku sekundach komisarz zupełnie stracił orientację. Patrzył przez okno, ale wszystko, co widział, wyglądało paskudnie, przeniósł więc wzrok na potylicę szofera. W pewnym momencie się zatrzymali. – Jesteśmy na miejscu,

commissario – oznajmił kierowca, odwracając się do Brunettiego.

Komisarz podziękował mu i po chwili wszedł do szpitala, który liczył zaledwie kilka lat, ale już wyglądał na lekko zniszczony. Vianello poprowadził go w głąb centralnej części budynku.

Kiedy druga osoba w białym uniformie zapytała, kim są, inspektor wyciągnął legitymację i wymachiwał nią wszystkim przed oczami, jakby stanowiła talizman mający odegnać zło.

Brunetti miał nadzieję, że tak będzie.

Inspektor pchnął drzwi Szpitalnego Oddziału Ratunkowego i nadal trzymając legitymację w wyciągniętej dłoni, zatrzymał pierwszą napotkaną osobę, wysoką kobietę ze stetoskopem na szyi.

– Gdzie znajduje się mężczyzna, którego właśnie przywieziono?

– Który mężczyzna? – zapytała. Była wyższa od nich i sprawiała wrażenie wyczerpanej oraz zniecierpliwionej.

– Ten, którego dźgnięto nożem – odparł Vianello.

– Jest na sali operacyjnej.

– Jak poważny jest jego stan? – zapytał Brunetti. Lekarka spojrzała na niego, zastanawiając się zapewne, który z nich jest szefem, i wówczas komisarz wyciągnął swoją legitymację. – Komisarz Brunetti, policja wenecka.

Posłała mu spokojne spojrzenie i Brunetti pomyślał, że prawdopodobnie ludzie, którzy mają do czynienia z ludzkim cierpieniem, wykształcają w sobie obronny chłód widoczny nawet w spojrzeniu. Lekarka wskazała na rząd pomarańczowych plastikowych krzeseł, w większości już zajętych, i powiedziała: – Możecie poczekać tutaj. – Widząc, z jaką niechęcią zareagowali na tę propozycję, dodała: – Albo znaleźć sobie jakieś inne miejsce, jeśli wolicie.

– Tutaj jest w sam raz – odparł komisarz i spróbował się uśmiechnąć. Po chwili, tytułem ustępstwa, rzekł: – Bylibyśmy wdzięczni za wszelkie informacje, jakich może nam pani udzielić.

Lekarka odwróciła się i wyszła bez słowa. Brunetti i Vianello usiedli na jedynej sąsiadujących ze sobą krzesłach, które nie były zajęte. Na prawo od

nich jakiś młody mężczyzna z zakrwawioną twarzą podtrzymywał dłonią drugą, wyprostowaną i spuchniętą rękę; z lewej zaś strony siedziała młoda kobieta, która miała zamknięte oczy i zaciśnięte z bólu usta.

Po pewnym czasie okazało się, że młodzian obok wydziela szczególnie przenikliwą kwaśną woń strachu i alkoholu, którą komisarz w przeszłości czuł więcej razy, niż miał na to ochotę. Dodatkowo docierały do niego co jakiś czas ciche jęki kobiety.

Siedzieli tam nieruchomo przez kwadrans, nic nie mówiąc; Brunetti stopniowo przyzwyczajał się zarówno do smrodu, jak i jęków. Nagle otworzyły się drzwi i kobieta ze stetoskopem skinęła na nich ręką.

Wstali i ruszyli za nią.

Poprowadziła ich korytarzem, po czym otworzyła drzwi do pomieszczenia, które okazało się małym, nieuporządkowanym gabinetem. Podeszła do biurka, zdjęła stetoskop i rzuciła go na blat; wylądował na stercie papierów obok pozostawionej na biurku książki odwróconej tytułową stroną do dołu. Zwracając się do nich, nie usiadła ani nie zaproponowała, żeby oni usiedli.

– Mężczyzna, którego do nas przywieziono, jest nadal na sali operacyjnej i przypuszczalnie pozostanie tam jeszcze przez pewien czas – zaczęła. – Został raniony nożem cztery razy. W plecy. – Gdy mówiła, Vianello wyjął notes i zaczął notować. Brunetti pomyślał o tym, jak Freddy od lat dogadzał sobie przy stole i jak w rezultacie przytył w ramionach i w pasie, tak dobrze maskując to sztytami na miarę marynarkami. Och, oby ten tłuszcz mu teraz pomógł, rzucił w myślach i obiecał sobie, że już nigdy więcej nie będzie żartował z tuszy przyjaciela. – To wszystkie informacje, jakimi dysponuję. Jeżeli chcecie mieć powód do optymizmu, to mogę panom zdradzić, że ordynator powiedział jednemu ze swoich asystentów, że może wyjść, że on i drugi chirurg poradzą sobie sami.

Brunetti poczuł odruchową chęć zapytania, dlaczego w takim razie chirurgom zabiera to tyle czasu, ale zamiast o to pytać, rzekł: – Dziękujemy, że porozmawiała pani z nami, *dottoressa*.

Lekarka się uśmiechnęła, ale to właściwie nie zmieniło wyrazu jej twarzy. Komisarz nagle się zorientował, że przyniósł ze sobą do gabinetu woń

młodego mężczyzny. Podał dłoń lekarce, niepewny, czy ta ją uściśnie. Zrobiła to jednak, potem pożegnała się również z inspektorem, po czym szybko zniknęła. Gdy tylko zamknęły się za nią drzwi, Brunetti wyciągnął telefon i jeszcze raz wystukał numer Silvany, ale wciąż nikt się nie zgłaszał. Zadzwoił więc do sekretariatu Patty.

Gdy *signorina* Elettra odebrała, Brunetti powiedział: – Jestem w szpitalu w Mestre. Mój przyjaciel Freddy d'Istria został pchnięty nożem w garażu przy Piazzale Roma i przywieźli go tutaj. Niech pani zadzwoni do tego garażu, każe im zamknąć całą tę kondygnację, a potem sprawdzi, czy mają kamery przemysłowe i czy jego samochód... napadnięto go koło samochodu... jest widoczny w którejś z nich. Trzeba też zdobyć taśmy. – Zastanawiał się przez chwilę i dodał: – I niech sędzia poprosi o wszystkie nagrania, z całego dnia. A potem proszę zadzwonić do Bocchesego i powiedzieć mu, żeby posłał tam ekipę. – Przerwał, żeby pomyśleć, co jeszcze może być niezbędne, zerknął w bok na Vianella, który pokręcił głową. – To właściciel mieszkania, w którym zatrzymała się Flavia Petrelli – wyjaśnił Elettrze.

– *Oddio* – usłyszał, jak szepcze. – Nie powinien dostać ochrony?

Komisarz zastanowił się nad jej sugestią, biorąc pod uwagę odległość od Wenecji.

– Nie sądzę, byśmy potrzebowali jej tutaj, nie w Mestre. – Freddy był śledzony i ten fakt z pewnością dowodzi, że napaść została zaplanowana, ale to, że napastnik dźgnął człowieka nożem cztery razy i nie zdołał go zabić, wskazywało na brak takiego planu. Podobnie jak przy napaści na moście, doszło do niej pod wpływem nagłego impulsu i chwilowej wściekłości.

W obu przypadkach ofiara leżała bezbronna, ale napastnikowi zabrakło woli zabijania niezbędnej, by ją wykończyć, kiedy była ku temu okazja. Gdy Brunetti wyrwał się ze swojej zadumy, połączenie było już przerwane. Spostrzegł, że inspektor patrzy na niego z otwartym notesem w dłoni.

– Co teraz, Guido?

– Ty zostań tutaj – zdecydował Brunetti. – Porozmawiaj z nim, gdy tylko lekarze na to pozwolą. Dowiedz się, co pamięta.

Vianello skinął głową i zapytał: – A ty?

- Mam zamiar porozmawiać z *signorą* Petrelli i dowiedzieć się, kto to zrobił
- odparł komisarz, po czym ruszył w stronę wyjścia.

Rozdział 22

Idąc do drzwi, Brunetti zastanawiał się nad ordynarną zmysłowością jako motywem tych napaści. Flavia rozmawiała z napadniętą dziewczyną i wykazała zainteresowanie jej śpiewem. Ponadto mieszkała w *palazzo* Freddy'ego, a ich wcześniejszy romans był obficie udokumentowany. On sam widział, jak Freddy objął ją poprzedniej nocy. Ów wielbiciel, a w istocie każdy wielbiciel Flavii – czy to mężczyzna, czy to kobieta – na pewno wiedział o Freddy'ym, a każdy, kto zdołał wejść do teatru, mógł słyszeć o jej pochwałach pod adresem młodej śpiewaczki.

Wiedza Brunettiego o prześladowcach podpowiadała mu, że niezależnie od charakteru łączącego ich więzi zazwyczaj nękali swoich byłych partnerów: wspólnika, małżonka, kochanka, szefa lub pracownika, aczkolwiek związki miłosne wydawały się najczęstszym czynnikiem motywującym. Życie biegło dalej i sytuacja się zmieniała, jeden był porzucany, drugi zastępowany kimś innym. Większość ludzi uważała to za normalne i żyła dalej. Byli jednak tacy, którzy nie chcieli zmiany, odrzucali myśl o przyszłości innej niż ta, którą znali, lub dalszego życia z dala od ukochanej osoby.

Wielu z nich uznawało, że ktoś musi zapłacić za to, co się zdarzyło. Niekiedy zapłacić musiał były partner, a czasem jego nowa partnerka lub jedynie obiekt westchnień. Brunetti uzmysłowił sobie, że wkracza w świat szaleństwa, mógł więc jedynie snuć domysły. Jak przekonać człowieka, który myśli, że może odzyskać dawną kochankę lub kochanka, zabijając osobę, którą ona lub on teraz darzy miłością? Czy można skłonić kogoś do miłości groźbami? Gdyby Paola zakochała się w inkasencie z gazowni, co by Brunettiemu przyszło z zabicia tego człowieka?

Komisarz wyrzucał sobie, że uciekł się do ironii, który to zwyczaj dzielił ze swoją żoną, a nawet z dziećmi. Miał nadzieję, że nie jest to złe dziedzictwo.

Wyszedł z budynku szpitala od frontu i rozejrzał się w poszukiwaniu

radiowozu. Stał dwadzieścia metrów dalej, zaparkowany w niedozwolonym miejscu; kierowca palił papierosa oparty o drzwi. Brunetti ruszył ku niemu, ale nagle ogarnęła go fala zmęczenia i nie był pewien, czy nie będzie musiał usiąść i odpocząć, zanim dojdzie do samochodu. Przez chwilę stał nieruchomo. To uczucie powoli minęło, sprawiając jednak, że się zastanawiał, czy przypadkiem nie przesadził z jedzeniem, czy nie wypił za dużo kawy.

Gdy poczuł się pewniej, wyjął telefon i zadzwonił pod numer, który dostał od Flavii. Kobieta po drugiej stronie odebrała po trzecim dzwonku, mówiąc drżącym głosem: – Silvana mi powiedziała. Jest w drodze do szpitala. Mówiła, że już tam jesteś.

– Jeszcze nic nie wiadomo: wciąż jest operowany. Gdzie była Silvana? – zapytał komisarz, wsiadając do radiowozu.

– U mnie. *Telefonino* zostawiła w mieszkaniu. Kiedy wróciła na górę, odczytała wiadomość z prośbą, by skontaktowała się ze szpitalem w Mestre, i właśnie wtedy jej powiedzieli. Zadzwoniła do mnie z taksówki. Od tamtej pory cisza. – Brunetti myślał, że skończyła, potem jednak dorzuciła drżącym głosem: – O mój Boże. Biedny Freddy. Czemu nie chcą ci nic powiedzieć? – zapytała natarczywie. – Jesteś policjantem, na litość boską.

– Muszę z tobą porozmawiać – rzekł komisarz, ignorując jej pytanie. – Mogę przyjechać za pół godziny. – Wiedział, że to mało realne, ale gdyby udało mu się załatwić, by przy Piazzale Roma czekała na niego łódź, byłoby możliwe.

– Sama nie wiem... – zdążyła powiedzieć, nim Brunetti jej przerwał.

– Jadę. Nie wychodź z domu.

Usłyszał, jak Flavia coś mówi, ale nie mógł tego zrozumieć.

– Będę u ciebie, Flavio – oznajmił.

– Dobrze – zgodziła się i przerwała połączenie.

Komisarz natychmiast zadzwonił na komendę i poprosił, by za dziesięć minut przy placu czekała na niego motorówka. Kierowca zacisnął uniesioną dłoń i przyśpieszył.

Łódź już czekała, tak jak na to liczył Brunetti. Powiedział mężczyźnie za

sterem, dokąd chce płynąć, zszedł do kabiny i ponownie zadzwonił do *signoriny* Elettry. Odebrała, mówiąc od razu: – Znalazłam sędziego, który wypisał nakaz wydania taśm wideo, a Bocchese wysłał do garażu dwóch ludzi, żeby sprawdzili miejsce napaści.

Komisarza kusiło, żeby odszukać w garażu techników Bocchese, wiedział jednak, że niebawem dowie się wszystkiego, co udało się im ustalić, natomiast koniecznie musiał porozmawiać z Flavią, póki wciąż czuła strach po tym, co się stało. Gdyby dał jej czas i gdyby Freddy nie doznał bardzo poważnych obrażeń, mogłoby się okazać, że nie jest skłonna do zwierzeń.

Mężczyzna kierujący motorówką używał syreny oszczędnie i uruchamiał ją tylko wtedy, gdy chciał wyprzedzić inną łódź. Przepłynęli pod Ponte degli Scalzi, a potem Rialto. Brunetti ledwie zwracał uwagę na mijane po drodze budynki. Kiedy zbliżali się do Ponte dell'Accademia, wyszedł na pokład i kazał się wysadzić przy San Vio.

Gdy motorówka zatrzymała się obok *campo*, komisarz zerknął na zegarek i spostrzegł, że od czasu, gdy rozmawiał z Flavią, minęły dokładnie trzydzieści dwie minuty. Jak wspaniale jest być policjantem i bezkarnie łamać prawo. Pomyślał, że mógłby nabrać do tego upodobania.

Wyszedł na *riva*, podziękował mężczyźnie i ruszył w stronę La Salute. Skręcił w lewo, w wąską uliczkę prowadzącą do domu Freddy'ego, i zatrzymał się przed drzwiami. Zobaczył dwa dzwonki: jeden nieoznakowany i jeden z inicjałami F.I. Nacisnął pierwszy.

– *Si?* – zapytał kobiecy głos.

– Guido – odpowiedział Brunetti.

Drzwi otworzyły się z trzaskiem i komisarz ruszył w kierunku schodów. Gdy wszedł na pierwsze piętro, ujrzał ją w drzwiach mieszkania, na wpół ukrytą za nimi w pozycji, która pozwoliłaby jej zatrzasnąć drzwi na widok osoby wchodzącej po schodach lub wysiadającej z windy. Miała na sobie czarną spódnicę i beżowy sweter; co osobliwe, nosiła również ciemnoniebieskie filcowe pantofle używane przez gondolierów – coś, co turyści kupowali, zabierali do domu i czego potem nie używali.

Kiedy ujrzała Brunettiego, rozluźniła się i puściła drzwi, lecz dopiero po

chwili rysy jej twarzy złagodniały, a usta rozciągnęły się w uśmiechu. Brunetti zatrzymał się na szczycie schodów, żeby dać jej wystarczająco dużo czasu na oswojenie się z jego obecnością i zasygnalizowanie napiętemu ciału, że nic mu nie grozi.

Flavia cofnęła się od progu i powiedziała: – Wejdz.

Komisarz wszedł, poprosiwszy o pozwolenie, gdy przekraczał próg mieszkania. Zachował się tak oficjalnie i konwencjonalnie, żeby ją jeszcze bardziej uspokoić. Przystanął tuż za progiem i bardzo powoli zamknął drzwi. Następnie zapytał: – Nie da się ich otworzyć z zewnątrz bez klucza, prawda?

– Nie – odparła Flavia z wyraźną ulgą.

Brunetti czekał, aż sama wykona pierwszy ruch.

– Możemy porozmawiać tutaj – powiedziała Flavia, skręcając w prawo i wchodząc do pokoju. Paola i on byli u Freddy’ego wiele razy, więc wyobrażał sobie, że to mieszkanie będzie kopią lokum znajdującego się piętro wyżej.

Widok małego, wąskiego pokoju z jednym oknem wychodzącym na ścianę szczytową i podobne okno domu po drugiej stronie *calle* dowiódł, że nie miał racji. Żadnego majestatu, żadnego Canal Grande. Ponury pokoik, który powstał zapewne dzięki podzieleniu pokoju normalnej wielkości na dwa małe ścianą widoczną po jego lewej ręce i przy okazji został niemal całkowicie pozbawiony naturalnego oświetlenia. Wydawało się, że nikt z niego nie korzysta.

Stały tam dwa fotele, okrągły stolik i niewielka komoda pod ścianą. Żadnych obrazów, żadnych ozdób; pomieszczenie przypominało komisarzowi sale przesłuchań w komendzie.

– Na co patrzysz? – zapytała Flavia.

– Na ten pokój – odparł Brunetti. – Tak bardzo... różni się od mieszkania Freddy’ego.

Flavia uśmiechnęła się i wraz z uśmiechem powróciła jej uroda.

– Freddy jest bardzo niewenecki. Zawsze taki był. Większość weneccjan... większość z was... wykorzystalaby ten dom na pensjonat.

Skinąwszy głową, Brunetti niechętnie zgodził się z jej tezą.

Petrelli przesunęła się w lewo i usiadła na poręczy jednego z wyściełanych aksamitem, wytartych foteli. Komisarz usiadł w drugim i zapytał: – Czy możemy na chwilę zapomnieć o weneccjanach i porozmawiać o tym, co się dzieje?

Wyraz twarzy śpiewaczki się zmienił, tak jakby poczuła się obrażona opryskliwością Brunettiego, odpowiedziała jednak na jego pytanie: – Silvana zadzwoniła z informacją, że lekarze jeszcze nie powiedzieli jej nic oprócz tego, że może go zobaczyć jutro rano – wyjaśniła głosem, któremu bezskutecznie usiłowała nadać optymistyczne zabarwienie. Zaciśnęła wargi i utkwiała wzrok w podłodze.

Brunetti odczekał jakiś czas i rzekł: – Jak już wspomniałem, pora, żebyśmy porozmawiali o tym, co się dzieje. A dzieje się to, że ktoś próbował zabić Freddy’ego, i o tym właśnie porozmawiamy.

Reakcja Flavii była natychmiastowa i ostra.

– Nie przychodzi mi na myśl nikt, kto chciałby zrobić mu krzywdę, a tym bardziej zabić.

– Znowu spojrzała na wzorzystą wykładzinę na podłodze i dodała: – Utrzymuję z nim kontakt, od czasu gdy... gdy zerwaliśmy ze sobą.

Popatrzyła na Brunettiego, jakby chciała zapytać, czy rozumie, o czym mówi. Skinął głową.

– I nigdy nie wspominał o poważnych problemach z innymi ludźmi. – Rozłożyła ręce w ostentacyjnym pokazie rozdrażnienia. – Przecież go znasz, na litość boską. Możesz sobie wyobrazić, że Freddy... Freddy... ma jakiegoś wroga?

– Właśnie – zauważył Brunetti.

Śpiewaczka otworzyła szeroko oczy, co zapewne miało świadczyć o zakłopotaniu, ale dla komisarza nie było to przekonujące. Bez słowa podniosła się z oparcia fotela i usiadła w nim, spoglądając Brunettiemu w oczy i ponownie krzyżując ręce na piersi.

W końcu, decydując się na mówienie prawdy, powiedziała: – No dobrze, co mam ci powiedzieć?

– Od jak dawna tu mieszkasz?

– Od czterech tygodni. Zgodzono się, bym rozpoczęła próby później, więc przyjechałam tu tydzień po innych.

– Jak to się stało, że mieszkasz tutaj? – zapytał Brunetti, ruchem ręki wskazując na mały pokój.

– Nie uprzedziłam Freddy’ego o moim przyjeździe – odpowiedziała, jakby chciała

odeprzeć zarzut pasożytowania. – Zobaczył moje nazwisko w programie, kiedy zeszłej jesieni zapowiedziano repertuar nowego sezonu.

– I?

Westchnęła z irytacją, tak jak dzieci wzdychają, gdy chcą pokazać, że dorośli sprawiają niepotrzebnie problemy.

– Zadzwoił do mnie i powiedział, że muszę zatrzymać się tutaj, w tym mieszkaniu. – Zauważyła, jak przyjął to Brunetti, i dodała: – Naprawdę nie jest takie złe. Ten pokój jest akurat najgorszy, sama nie wiem, dlaczego cię do niego zaprosiłam.

Komisarz pomyślał, że wybrała go, ponieważ znajdował się najbliżej drzwi i dzięki temu łatwiej byłoby szybko pozbyć się gościa. Zapytał: – Ludzie z teatru nie znaleźli ci żadnego lokum?

– Oni? – odparła, szczerze zaskoczona. – Oni wysyłają jedynie wykaz agencji wynajmu.

– Dzwoniłaś do którejś z nich?

Już otwierała usta, ale wtedy spojrzała na niego i się zawahała.

– Nie. Nie miałam czasu. Poza tym łatwiej było zatrzymać się tutaj.

– Rozumiem – rzekł łagodnie. – Spędzałaś z nimi dużo czasu?

– Z nimi?

– Z Freddy’em i Silvaną. Albo z Freddy’em.

– Wiele razy wychodziłam z nimi na kolację – odparła. Brunetti czekał. – Czasem z samym Freddy’em – dorzuciła i zanim zdążył o to zapytać, wyjaśniła: – Silvana zupełnie nie interesuje się operą. Poza tym, to jest krępująca... –

Urwała, nie zdoławszy znaleźć odpowiedniego słowa.

Komisarz wzruszył ramionami, ale nie chciał jej podpowiedzieć dalszego ciągu.

– Więc ktoś mógł was razem widzieć?

– Tak sędzę – odparła, tym razem niczym nadąsane dziecko.

Brunetti powoli wstał i zbliżył się do okna. Chociaż teraz jego pole widzenia się zwiększyło, to przez okno zobaczył tylko większy kawałek budynku po drugiej stronie *calle*. Jak to możliwe, że Freddy zachował tę klitkę i nie zburzył ściany, by wpuścić do środka więcej światła, więcej życia, więcej swobody? Po tej refleksji Brunetti zaczął się zastanawiać, co stwierdzili lekarze oraz ile światła, życia i swobody będzie miał Freddy.

Odwrócił się do śpiewaczki i bez żadnych wstępów powiedział: – Muszę wiedzieć więcej o twoich kochankach z ostatnich lat, Flavio. Nie obchodzi mnie, kim byli bądź są, ale muszę znać ich nazwiska i finał tych znajomości: czy rozstaliście się jako wrogowie? – Gdyby pochylił się nad stołem przy kolacji i napluł jej do zupy, nie mogłaby wyglądać na bardziej zszokowaną. I zniesmaczoną.

– A nie chcesz wiedzieć, co z nimi robiłam?

– Zachowaj ten dramatyzm na scenę, Flavio – odparł, nagle mając jej dosyć. – Ktoś, kto zrobił to Freddy’emu, jest tą samą osobą, która zostawia ci kwiaty i która zepchnęła tę dziewczynę ze schodów na moście. Jesteś jedynym ogniwem łączącym te osoby. – Brunetti dał jej szansę na sprzeciw lub wyrażenie złości, ale śpiewaczka siedziała w milczeniu, wpatrując się w niego z twarzą stężałą, zaskoczona i zaczerwieniona pod wpływem nagłego gniewu.

– Przypuszczam, że ta osoba jest zazdrosna, albo o coś, co kiedyś was łączyło i co zostało stracone, albo o to, co teraz łączy cię z kimś innym. Lub o jedno i drugie. Żadne inne wyjaśnienie nie ma sensu.

– Nie zgadzam się z tobą – odparła głośno, z rosnącą złością.

– Masz lepsze wytłumaczenie?

– Nie, oczywiście, że nie mam. Ale nie ma dowodu, że te dwie napaści są powiązane.

Brunetti wrócił spod okna i stanął niespełna metr od jej fotela.

– Nie bądź niemądra, Flavio – rzekł, nachylając się ku niej. – A że nie jesteś niemądra, to pewne – dorzucił, po czym zapytał: – Jakiego dowodu potrzebujesz? Czyjejś śmierci?

Petrelli wstała i odsunęła się od komisarza, jakby sprzeciwiała się jego słowom.

– Ile jeszcze osób musi zostać napadniętych, zanim to przyznasz? – zapytał, nie próbując w żaden sposób pohamować rosnącej złości. – Jesteś tutaj od miesiąca i ta osoba cię obserwuje.

Jestem pewien, że rozmawiałaś z wieloma ludźmi. Ilu z nich musi stać się krzywdą, zanim przyjmiesz do świadomości, co się dzieje? – Brunetti zrobił krok w jej stronę.

Ledwie znalazł się naprzeciw śpiewaczki, ta stanęła przy oknie, lecz odwróciła się twarzą do niego. Stali tak, czekając nawzajem na ustępstwo z drugiej strony. Czekali długo, lecz komisarz nie chciał przerywać milczenia.

– Z ilu lat? – zapytała Petrelli, odwracając się do okna.

– Dwóch, trzech – odparł Brunetti.

– Nie było ich wielu – powiedziała Flavia, jakby przyznawała się do wstydlivej słabości.

Komisarz wyjął notes, otworzył go na chybił trafił i wyciągnął pióro z kieszeni marynarki.

Stojąca do niego plecami Flavia nie widziała, co robi.

– Franco Mingardo. Jest lekarzem w Mediolanie. Zaprowadziłam do niego córkę, gdy miała zapalenie gardła. – Umilkła, ale Brunetti się nie odzywał. – Trzy lata temu. Trwało to rok.

Poznał kogoś. – Brunetti zapisał nazwisko, zanotował najistotniejsze szczegóły romansu i czekał.

– Anthony Watkins. Angielski reżyser. Żonaty, dwoje dzieci. Trwało to dopóty, dopóki wystawiano *Così fan tutte* w Covent Garden – ciągnęła, po czym, z cierpką rezygnacją, dodała: – Miałam nadzieję, że potrwa dłużej, ale on najwyraźniej uważa romanse za element swojej pracy i rzecz się kończy,

gdy kończy się produkcja. – Na wypadek gdyby Brunetti nie zrozumiał, a może tylko po to, by przypomnieć sobie własną głupotę, wyjaśniła: – Sądzi, że ma prawo romansować z primadonną. – Brunetti wyczuł zmianę w głosie Flavii i zerknąwszy w jej kierunku, zobaczył, że odwróciła się do niego. – Myślę, że gdybym nie występowała w roli Despiny, nie zawracałby sobie mną głowy.

Komisarz nie zareagował i Petrelli mówiła dalej: – Jest jeszcze jeden i to już wszyscy. Gérard Piau. Jest prawnikiem. Poznałam go na kolacji w Paryżu, gdzie mieszka.

Brunetti skinął głową.

– Nikt więcej? – upewnił się.

– Nie.

Aby zaoszczędzić czasu *signorinie* Elettrze, komisarz zapytał: – Wiesz, gdzie ci trzech mężczyźni przebywają obecnie?

– Franco się ożenił i ma małego syna. Anthony jest w Nowym Jorku, reżyseruje *Purytanów* w Metropolitan – odparła Flavia, po czym dodała: – Ma romans z Elwirą, która jest moją przyjaciółką. – Odczekała chwilę. – Gérard przyjedzie do Barcelony.

Brunetti nie chciał ponawiać pytania, ale uznał, że musi to zrobić.

– Nikt więcej? Mam na myśli mniej poważne znajomości.

– Takich nie zawieram – powiedziała wprost Petrelli, a on jej uwierzył.

– Myślisz, że któryś z tych mężczyzn jest zdolny do takich napaści?

Śpiewaczka bez wahania pokręciła głową i odparła: – Nie.

Niczym antagoniści wyczuwający, że w toczącej się bitwie nastął okres względnego spokoju, oboje powrócili na swoje miejsca w fotelach. Przez chwilę przestrzegali rozejmu, potem jednak Brunetti uznał, że pora wznowić walkę.

– Czy poza tym, co mówiłaś mi o rzeczach znikających z twojej garderoby, dziwnym telefonie do przyjaciółki oraz kwiatkach, zdarzyło się coś innego, co mogło się z tym wiązać?

Petrelli zaprzeczyła ruchem głowy.

– Czy po przedstawieniu ktoś przyszedł ci podziękować i wydawał się szczególnie natarczywy? – Posłała mu szybkie spojrzenie, po czym znowu pokręciła głową. Komisarz dodał: – Albo zachowywał się w sposób, który wydał ci się dziwny?

Flavia wsparła łokcie na kolanach, a brodę na rękach i zaczęła rozciągać skórę na policzkach. Zrobiła to wiele razy, po czym złożyła dłonie jak do modlitwy i przytknęła wyprostowane palce wskazujące do ust. Skinęła głową, ale nic nie powiedziała. Pokiwała nią jeszcze kilka razy i odparła: – Tak. Raz.

– Opowiedz.

Petrelli podniosła głowę i wyjaśniła: – To się stało w Londynie, w dniu gdy na scenę po raz pierwszy poleciały kwiaty. – Spojrzała na Brunettiego, a potem pochyliła głowę i przycisnęła palce do ust. Zrozumiała, że jest za późno, aby się wycofać, już zaczęła swoją opowieść. – To była kobieta. Chyba Francuzka, ale nie jestem pewna.

– W jakim języku rozmawiałyście?

Flavia potrzebowała chwili, żeby sobie przypomnieć.

– Po włosku, ale wyczułam obcy akcent. Mógł być hiszpański, ale i francuski.

Zachowywała się jak Francuzka.

– Co to znaczy?

– Hiszpanki są bardziej serdeczne, życzliwsze. Od samego początku zwracają się do ciebie per ty i bezwiednie dotykają twojej ręki. Ale ona tego nie robiła. Stała dalej, używała formy „pani” i sprawiała wrażenie bardzo skrupowanej. Hiszpanki wydają się mniej spięte, bardziej radosne.

– Co mówiła?

– Zwyczajne rzeczy. Podobał jej się występ, widziała mnie już wcześniej, a moim śpiewem sprawiłam jej przyjemność.

– Ale? – zapytał komisarz, mając nadzieję, że naprowadzi ją na wspomnienie lub skłoni do ujawnienia czegoś, co wówczas pomyślała.

Flavia skinęła głową i uderzyła nosem w czubki palców, choć nie zwróciła na to uwagi.

– Była szalona.

– Co? I dopiero teraz sobie o tym przypominasz?

– Widziałam ją tylko ten jeden raz, dwa miesiące temu. I później zapomniałam o tym – odparła Petrelli, po czym, niemal z ociąganiem, dodała:

– Albo wyrzuciłam to z pamięci.

– Co takiego zrobiła, że pomyślałaś, że jest szalona?

– Nic. Zupełnie nic. Była bardzo oficjalna i grzeczna, ale za tym kryła to okropne pragnienie. – Flavia spostrzegła, że Brunetti nie zrozumiał, i wyjaśniła: – Trzeba to umieć zauważyć. Oni chcą czegoś więcej: przyjaźni lub miłości, uznania lub... czegoś... sama nie wiem.

– Skierowała ku niemu uniesioną dłoń. – To okropne. Tyle pragnień, a człowiek nie chce im nic dać, nie wie nawet, czego naprawdę pragną. Oni prawdopodobnie też nie wiedzą. Nie znoszę takich sytuacji. – Głos Flavii stał się ostry i nierówny. Położyła dłonie na kolanach i naciskała na nie, jakby chciała odepchnąć od siebie te myśli.

– Jak wyglądała?

Flavia ciągle siedziała w napięciu.

– Nie wiem – odparła w końcu.

– Jak to możliwe, że choć wywołała u ciebie tak silną reakcję, nie pamiętasz jej wyglądu?

Flavia pokręciła głową.

– Nie wiesz, jak to jest, gdy ci wszyscy ludzie tłoczą się dookoła, wszyscy czegoś chcą, pragną powiedzieć ci coś o sobie. Myślą, że chcą wyznać, jak bardzo im się podobał twój występ, ale tak naprawdę chcą sprawić, żebyś ich zapamiętał bądź polubił.

Śpiewaczka popatrzyła na komisarza z wyrazem napięcia na twarzy.

– Chyba nosiła kapelusz. Była chuda i zupełnie nieumalowana. – Zamknęła oczy i Brunetti pomyślał, że wróciła tam pamięcią, do spotkania po przedstawieniu, zmęczona, zadowolona ze swojego występu lub nie, wciąż myśląca o tym, lecz w kontakcie z wielbicielami zmuszona sprawiać wrażenie zrelaksowanej i radosnej. To oczywiste, że jej wspomnienie było mgliste.

– Pamiętasz cokolwiek z tego, co mówiła? – nie ustępował komisarz.

– Nie, tylko ten okropny ból, który we mnie wzbudziła. Zupełnie tam nie pasowała.

– Dlaczego? W jakim sensie?

– Nie wiem. Może dlatego, że wydawała się taka samotna pośród tych wszystkich ludzi.

Albo dlatego, że wyczułam, jak dziwną jest osobą, i nie chciałam, żeby była przy mnie, a nie potrafiłam tego ukryć. – Flavia odchyliła się do tyłu w fotelu i ułożyła dłonie na podłokietnikach.

– Konieczność robienia tego po przedstawieniu jest okropna. Myślisz jedynie o tym, żeby wypić kieliszek wina, coś zjeść i może pogadać z przyjaciółmi bądź kolegami, musisz jednak się zatrzymać i uśmiechać do ludzi, podpisywać płyty i fotografie, w sytuacji gdy pragniesz tylko widzieć znajome twarze i rozmawiać o zwykłych sprawach, aż dreszcz emocji zacznie słabnąć i zrozumiesz, że będziesz w stanie zasnąć.

Gdy mówiła, palce jej lewej dłoni wędrowały tam i z powrotem po aksamitnym obiciu fotela. Posłała Brunettiemu szczere spojrzenie, jakie pamiętał z dawnych lat.

– Gdyby nie śpiewanie, nikt z nas by tego nie robił – powiedziała gwałtownie. – Podróże, mieszkanie w hotelach, jedzenie w restauracjach, wieczna konieczność dbania o to, żeby nikt nie widział, że robimy coś, co może zaszkodzić naszej karierze, ciągła świadomość konsekwencji tego, co mówimy, ze względu na ryzyko krytyki w mediach, dbałość o dostateczną ilość snu, wstrzemięźliwość w jedzeniu i piciu, zawsze grzeczni, szczególnie wobec fanów.

Brunetti pomyślał, że większość tych ograniczeń odnosi się do każdej osoby publicznej, ale uznał, że wyrażanie swojej opinii, w sytuacji gdy Flavia jest w takim nastroju, nie byłoby rzeczą rozsądną.

– No i związany z tym wysiłek fizyczny. Godziny codziennych ćwiczeń, dzień w dzień, a potem stres towarzyszący występom, i uczenie się; każdego roku najmniej dwie lub trzy nowe role do opanowania.

– A sława?

Flavia wybuchnęła śmiechem i wydawało się, że zaraz straci panowanie nad sobą, potem jednak komisarz zorientował się, że to śmiech naturalny i swobodny, jak reakcja na zabawny żart.

– Sława? Tak, oczywiście, sława. – Wyciągnęła rękę i klepnęła go w kolano. – Dziękuję, że mi o tym przypomniałeś.

– W porządku, zapomnij o sławie – rzekł Brunetti i powrócił do ważniejszych spraw. – Widziałaś tę kobietę tutaj?

Petrelli pokręciła głową.

– Obawiam się, że nie rozpoznałabym jej, gdybym ją zobaczyła – odparła i zanim komisarz zdążył zadać kolejne pytanie, wyjaśniła: – Zareagowałam na jej obecność tak mocno, że nie chciałam na nią patrzeć. Myśl o jakimkolwiek kontakcie fizycznym z tą kobietą... nawet o uściśnięciu dłoni... budziła odrazę.

Brunetti wiedział, co ma na myśli. Zdarzyło mu się to kilka razy; uczucie nie miało związku z płcią: mogło dotyczyć zarówno mężczyzn, jak i kobiet. Przypuszczał, że w taki sposób niekiedy reagowały na siebie zwierzęta. Czemu więc nie mieliby reagować tak ludzie?

– Czy mówiła coś, co wzbudziło w tobie takie uczucie? Wypytywała o twoje życie?

Powiedziała coś, co cię przeraziło? – Komisarz pragnął zapytać o to, czy kobieta uczyniła coś rzeczywistego, wiedział jednak, że uczucie, które Flavia próbowała opisać, nie było rzeczywiste w znaczeniu możliwym do przekazania słowami, choć nie umniejszało jego realności.

– Nie, zupełnie nic. Tylko to, co od lat słyszę od wielbicieli. Moje odczucia nie miały nic wspólnego z tym, co powiedziała; chodziło o to, jaka była. Jaka jest.

Zza drzwi pokoju dobiegł głuchy dźwięk, sprawiając, że oboje zamarli. Brunetti wstał i obszedł fotel Flavii, zajmując miejsce między nią a drzwiami. Ugiął nogi w kolanach i rozejrzał się w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby mu posłużyć za broń. Potem jednak rozpoznał brzęczenie roju pszczoł dobiegające z korytarza.

Flavia wyminęła go i wyszła pośpiesznie z pokoju. Po chwili usłyszał, jak odbiera telefon, wypowiadając swoje imię. Usiadł z powrotem w fotelu, czując się jak głupiec.

Miał trochę czasu na rozmyślanie o własnej głupocie, nim Petrelli wróciła do pokoju bez *telefonino*.

– Dzwoniła Silvana. Lekarze powiedzieli, że ostrze noża nie zdołało się przebić przez tłuszcz i mięśnie. Jeden cios trafił w pasek i nóż ześliznął się na pośladek. Dwa pchnięcia weszły między żebra, jedno poszło w stronę płuca, ale ostrze okazało się za krótkie.

Brunetti odwrócił wzrok od jej oszołomionej twarzy, tak jak odwróciłby go od przyjaciela, gdyby zastał go bez ubrania. Przypomniał sobie, jak przyrzekał, że już nigdy nie będzie strofował Freddy'ego za jego tuszę. Teraz przyrzekł sobie, że przyniesie lub wyśle mu największą bombonierkę, jaką zdoła znaleźć w weneckich sklepach.

Usłyszał zdławiony szloch i odwróciwszy się, zobaczył, że Flavia wspiera się jedną dłonią o poręcz fotela, a w drugiej skrywa twarz. Jej ramiona podnosiły się i opadały wstrząsane łkaniem. Płakała niczym dziecko: niepowstrzymanie, jakby świat się zawalił. Po pewnym czasie otarła twarz rękawem swetra i wyznała drżącym głosem: – Nie mogę wystąpić w ostatnich przedstawieniach. Nie dam rady. Występy w tym teatrze są wystarczająco trudne w normalnych okolicznościach, ale w tej sytuacji to zbyt wiele. – Otarła policzki, ale z oczu ciągle płynęły jej łzy. Gdy ściekły do ust, ponownie wytarła twarz.

– Nigdy nie oglądałem opery zza kulis – rzekł Brunetti bez namysłu.

Zdezorientowana Flavia spojrzała na niego.

– Nie ty jeden – odparła, po czym stłumiła kolejny szloch.

– Mógłbym przyjść na te przedstawienia. – Komisarz znowu się odezwał, nie biorąc pod uwagę konsekwencji swojej propozycji, i ledwie ją złożył, zaczął się zastanawiać, czy Vianello zechce mu towarzyszyć.

– I co zrobić? – zapytała, całkowicie zdezorientowana. – Przecież już je widziałeś.

Komisarz pomyślał, że chyba musiałby zdzielić ją kijem w głowę, żeby zrozumiała.

– Dopilnować, by nic się nie stało – odparł, dopiero po chwili uświadamiając sobie, jak bardzo arogancka była ta odpowiedź. – Poproszę, by przyszedł ze mną ktoś jeszcze.

– I będziesz za kulisami?

– Tak.

Flavia znowu wytarła twarz i Brunetti zauważył, że przestała płakać.

– Z drugim policjantem?

– Tak.

– W *Tosce* – zauważyła – wszyscy policjanci są źli.

– Będziemy tam, by dowieść, że niektórzy nie są – odparł komisarz, co nie tylko sprawiło, że Flavia się uśmiechnęła, ale też skierowało jego myśli z powrotem ku porucznikowi Scarpie.

Rozdział 23

Niedługo potem Brunetti wyszedł, zapewniwszy Flavię, że razem z Vianellem przyjdzie na ostatnie dwa spektakle. Zerkając na zegarek, stwierdził zaskoczony, że zbliża się dziewiąta. Zadzwoił do Paoli i powiedział, że jest w drodze i będzie w domu za piętnaście minut.

Mruknęła coś niezrozumiale i się rozłączyła.

Zatelefonował do Vianella, który przebywał zapewne w domu, a w każdym razie gdzieś, gdzie znajdował się telewizor, w tle bowiem słychać było bardzo nienaturalne głosy włoskich aktorów dubbingujących filmy. Inspektor poprosił, żeby zaczekał, i ów dźwięk ucichł. Brunetti wyjaśnił, co podjął się zrobić w ich imieniu, a Vianello powiedział, że pomysł pójścia do opery podoba mu się zdecydowanie bardziej niż myśl o kolejnych dwóch wieczorach oglądania powtórek *Downton Abbey*, którego nie znosił, a którym zauroczona była Nadia.

– Sądysz, że mógłbyś mi załatwić stały przydział do czasu zakończenia emisji serialu?

Komisarz się roześmiał i powiedział, że zobaczy się z nim nazajutrz rano. Gdy dotarł do Ponte dell'Accademia, usłyszał odgłos zbliżającego się z prawej strony tramwaju wodnego i przyspieszył kroku, żeby zdążyć. Na szczęście była to „Jedynka”, która zawiozłaby go bliżej domu niż „Dwójka”. Wszedł do kabiny pasażerskiej, żeby poszukać wolnego miejsca, i nagłe ciepło zamkniętej przestrzeni wywołało w nim taki sam przyływ wyczerpania, jakie wcześniej poczuł przed szpitalem. Odwrócił się od pasażerów i spojrzał w kierunku dziobu, nie złagodziło to jednak gorąca ani nie osłabiło nagłego zmęczenia. Mając nadzieję, że pomoże mu świeże powietrze, wrócił na pokład i oparł się o okno kabiny; nie ocknął się jednak z tego okropnego letargu. A więc to tak odczuwa się starość, pomyślał. Człowiek zasypia, gdy tylko wejdzie do ciepłego pomieszczenia. I potrzebuje ściany, żeby się podeprzeć i

nie zasnąć. Pragnie tylko znaleźć się w domu i swoim łóżku.

Wysiadł przy San Silvestro, przeszedł pod ziemią i skręciwszy w lewo, znalazł się na głównej *calle*, po czym dotarł do frontowych drzwi po lewej stronie. Wsuwając klucz do zamka i myśląc o pięciu odcinkach schodów, po których musi się wspiać, zdał sobie sprawę, że przeprowadzka do Palazzo Falier, kiedy już nastąpi, nie poprawi zbytnio sytuacji, w domu teściów było bowiem równie wiele stopni do pokonania, nawet jeżeli rodzina rzadko korzystała z dwóch najwyższych pięter.

Przed trzema laty hrabia poprosił jakiegoś inżyniera, żeby sprawdził możliwość zainstalowania windy. Po miesiącu opukiwania, mierzenia i nawiercania ścian za pomocą wiertła grubości ołówka inżynier stwierdził, że zamontowanie windy jest niemożliwe. Hrabia zapytał, czy fakt, że chodził do szkoły z ojcem obecnego *superintendente* di Belle Arti, wpłynie w jakiś sposób na tę decyzję, na co inżynier natychmiast odparł, że ta znajomość miałaaby moc sprawczą i znaczenie dziesięć lat wcześniej, ale obecnie straciła na wartości, tak więc zainstalowanie windy jest wykluczone.

Hrabia, nie mogąc pohamować zdziwienia, zapytał, dlaczego zatem tyle *palazzi* jego przyjaciół z czasów młodości jest teraz przekształcanych w hotele i dlaczego we wszystkich są windy.

– Ach, *signor conte* – odpowiedział inżynier – to projekty komercyjne, więc oczywiście pozwolenia są udzielane.

– Ja zaś jestem tylko starzejącym się obywatelem Wenecji, więc moja wygoda się nie liczy? – upewnił się hrabia.

– W zestawieniu z wygodą tych zamożnych turystów nie, *signore* – wyjaśnił inżynier, zanim wyszedł. Z uwagi na fakt, że on też był synem szkolnego przyjaciela hrabiego, nie wystawił rachunku, a hrabia, z tego samego powodu, wysłał mu tuzin skrzynek wina.

Gdy Brunetti przypomniał sobie tę historię, stał przed drzwiami mieszkania. Wszedł, powiesił marynarkę i ruszył do salonu, skąd dobiegały różne głosy. Zastał żonę i dzieci na kanapie przed telewizorem, w którym ludzie ubrani w stylu wczesnych lat ubiegłego wieku siedzieli przy długim stole przygotowanym na coś, co wyglądało jak uroczysta kolacja. Patera z owocami

stojąca na środku stołu wydawała się wysokości konia, a wypranie i wyprasowanie obrusa – gdyby udało się go na tyle wysuszyć – z pewnością zajęłoby służbie cały dzień.

– *Downton Abbey, I presume* – powiedział po angielsku, a cała trójka przyjęła tę uwagę uciszającymi syknięciami. Na ekranie telewizora jakaś krępa i najwyraźniej tępa kobieta oświadczyła, że nie przywykła do takich uwag, skłaniając siedzącą naprzeciw niej kobietę do odpowiedzi, że nie musi brać tego do siebie, ona bowiem nie miała zamiaru jej obrazić.

– Ja też nie zamierzam – rzekł Brunetti, odwrócił się i poszedł do kuchni zjeść kolację.

Kiedy następnego ranka dotarł do swojego gabinetu, najpierw sprawdził pocztę i wśród wielu urzędowych notatek i raportów, które najchętniej potraktowałby jako spam, znalazł e-mail od *signoriny* Elettry z informacją, że film w załączniku został zarejestrowany z kamery w garażu na Piazzale Roma w godzinach poprzedzających napaść na Federica d’Istrię. Dodała, że samochód markiza jest siódmy w rzędzie aut widocznych na filmie.

Brunetti otworzył załącznik i jego oczom ukazała się wąska przestrzeń między szarą betonową ścianą a sznurem zaparkowanych pod nią wozów. Oglądał film przez kilka chwil i zobaczył, jak o 12.35 na miejsce przy końcu rzędu zaparkowanych aut wjeżdża samochód.

Wysiadł z niego mężczyzna, zatrzasnął drzwi i odszedł. W nagraniu nastąpił przeskok do momentu, w którym kamera zarejestrowała następny ruch w garażu – ze wskazań niewielkiego zegara w prawym górnym rogu ekranu wynikało, że upłynęła godzina i dwadzieścia dwie minuty.

Jakiś mężczyzna podszedł do innego samochodu, otworzył drzwi i wsiadł. Wycofał i odjechał. Czterdzieści dwie minuty później z prawej strony w kadr wsunęło się coś ogromnego i wtedy obraz zniknął z ekranu. Brunetti zatrzymał film i przesunął kursor o minutę wstecz, po czym znowu puścił. Gdy tylko spostrzegł jakiś ruch, zatrzymał nagranie i uważnie przyjrzał się obrazowi na monitorze. Olbrzymie latające białe kije? Coś czarnego w kształcie sierpa? Kliknął i jeszcze raz odtworzył tę scenę, nadal nie pojmując, co widzi. Wziął telefon i wystukał numer *signoriny* Elettry. Gdy odebrała, zapytał: – Co to

jest?

– Na obiektywie kamery umieszczono czarną osłonę z aparatu fotograficznego.

– A te smugi przypominające białe kije? – Komisarz domyślił się odpowiedzi, gdy tylko zadał pytanie.

– Palce – odparła sekretarka Patty.

– Białe, bo w rękawiczkach?

– Tak.

– Dzięki. Coś jeszcze?

– Widać, że samochód d'Istrii jest zaparkowany tyłem. Markiz został zaatakowany, gdy otworzył bagażnik, co nastąpiło piętnaście minut później. Kiedy dotarła tam karetka, klapa nadal była otwarta.

– Jakież wieści ze szpitala?

– Dzwoniłam tam o ósmej, ale powiedzieli mi tylko, że odpoczywa.

– Zaczekam do dziesiątej i zadzwonię do jego żony – rzekł komisarz, po czym zapytał: – O której został napadnięty?

– Wezwanie przyszło za dwie drugą, około dwudziestu minut po zasłonięciu obiektywu.

– Co niósł?

– Nie rozumiem.

– Znalaziono coś przy nim? Teczkę albo walizkę?

– Niech spojrzę – powiedziała *signorina* Elettra. Brunetti słuchał ciszy w słuchawce, po czym sekretarka Patty wróciła na linię. – Sportową torbę z dwiema rakietami tenisowymi.

– Dziękuję pani – rzucił komisarz, a następnie szybko dodał: – Niech pani spróbuje się dowiedzieć, czy mniej więcej w tym czasie jakaś taksówka wodna wiozła kobietę z Accademii na Piazzale Roma.

– Kobietę? – upewniła się Elettra.

– Tak.

– Rozumiem. Postaram się to sprawdzić – zapewniła, kończąc rozmowę.

Jeżeli napastnik zwrócił uwagę na jego nawyki i widział, jak wychodzi z *calle* z torbą zawierającą rakiety tenisowe, nie miał wątpliwości, dokąd Freddy zmierza. Ludzie grywali w tenisa na ładzie stałym, więc zmierzał do garażu na Piazzale Roma. Być może spotkał znajomego i wstąpili na drinka, być może tramwaj wodny się spóźnił, być może postanowił się przejść; wszystko mogło wystarczająco opóźnić jego podróż, by napastnik mógł dotrzeć do garażu przed nim, o ile tylko znał jego przyzwyczajenia i wiedział, jak szybko przemieszczać się po Wenecji.

Brunetti znowu wybrał numer *signoriny* Elettry.

– Potrzebujemy nagrań z garażu z tej samej kamery oraz ukazujących pasy przy wjeździe i wyjeździe. Oraz z wind i drzwi klatek schodowych wychodzących na tę kondygnację parkingu.

Przypuszczalnie szukamy kobiety, która się tam pojawia, ale nie podchodzi do żadnego z samochodów, która po prostu rozgląda się i odchodzi. I która jest tam tego samego dnia bądź... jeżeli dopisze nam szczęście... mniej więcej w tym samym czasie co Freddy. – Zastanowiwszy się nad tym przez chwilę, komisarz dodał: – Co stwierdza nakaz sędziego?

– „Nagrania wideo” – odparła natychmiast Elettra. – „Te pokazujące strefę, w której zaparkowany jest samochód ofiary”. – Zawahała się, po czym dodała: – Uwielbiam język prawa.

Brunetti zignorował tę uwagę i rzekł: – Dobrze. Proszę przypomnieć im w garażu o nakazie i poprosić o taśmy z ostatnich trzech tygodni.

– Potrzebny nam ktoś, kto je obejrzy – zauważyła sekretarka Patty.

Słyszając, jak Elettra używa liczby mnogiej, Brunetti nagle coś sobie przypomniał i zapytał: – Już pani nie strajkuje?

Roześmiała się.

– Nie, strajk zakończył się dziś rano.

– Dlaczego?

– Niektórzy z współpracowników Alvisego sprawdzili... poza godzinami pracy... zeznania świadków, które złożono podczas protestu, i przepytali ludzi, którzy je złożyli. Jak się okazuje, jeden z nich nagrał film przedstawiający

ofiare potykającą się o leżącą na ziemi flagę. – Świadom, w jakim rytmie konstruowane są jej wypowiedzi, komisarz czekał na wielki finał. – Na drugim planie widać Alvisego, w odległości co najmniej trzech metrów od demonstranta.

Znaleźli również dwie osoby, które były wówczas z filmującym i potwierdzają, że ofiara potknęła się, upadła i uderzyła w głowę.

– Tyle jeśli chodzi o policyjną przemoc – zauważył Brunetti, a następnie zapytał: – Czy to znaczy, że Alvisego przywrócono na stanowisko?

– Z dniem dzisiejszym. W idealnym momencie.

– Czemu?

– Ciotka Franceski Santello zabrała ją wczoraj do domu. Do Udine. I nie wiedziałam, jaką inną robotę mu wynaleźć.

– Co z ojcem? – zapytał Brunetti.

– Zadzwoił do mnie po tym, jak wsadził je do pociągu. Powiedział, że słyszał różne pogłoski od ludzi pracujących w teatrze... nie zdradził jakie, ale chyba wiemy... i nie chce jej trzymać w mieście, dopóki sprawa nie zostanie załatwiona.

Komisarz z ulgą przyjął wiadomość, że dziewczyna jest bezpieczna, a przynajmniej znajduje się daleko od Wenecji.

– W takim razie to Alvisie może obejrzeć taśmy z parkingu.

Signorina Elettra milczała, a on czekał, aż oceni poziom trudności, jaką to zadanie będzie stanowić dla Alvisego. Po chwili stwierdziła: – W porządku. Powinien sobie z tym poradzić.

– Nagrania trafią do pani komputera czy ktoś je przywiezie? – zapytał Brunetti.

Czyżby usłyszał jej westchnienie?

– Przyślą je pocztą elektroniczną, *commissario*.

– Może pani znaleźć mu miejsce, gdzie będzie mógł je oglądać?

– Asystent Bocchese jest na urlopie. Bocchese prawdopodobnie pozwoli mu skorzystać z jego biurka i komputera. Lubi go.

– Lubi go Bocchese czy jego asystent?

– Bocchese.

– Dobrze. Może najpierw zapyta pani Bocchese, czy Alvise mógłby zacząć, gdy tylko pojawią się nagrania.

– Tak, *dottore*. Zaraz do niego zadzwonię – odparła *signorina* Elettra i od razu się rozłączyła.

Brunetti pamiętał czasy, na początku swojej pracy zawodowej, gdy w celu znalezienia kogoś, kto przebywał w mieście, wystarczyło jedynie skontaktować się z hotelami i pensjonatami oraz podać rysopis tej osoby, a także – jeżeli była znana – narodowość. Miejsc do obdzwonienia mogło być nie więcej niż sto. Teraz w labiryncie hoteli, mieszkań na wynajem, statków wycieczkowych, *pensioni*, kwater prywatnych, zarówno legalnych, jak i nielegalnych, nie dało się nikogo odnaleźć. Nikt nie wiedział, ile ich jest i gdzie się znajdują, kto je prowadzi ani ilu przyjmują gości. Ona może być gdziekolwiek, pomyślał komisarz.

Myśląc o ludzkich pragnieniach i przemocy, wyciągnięty na swoim krześle, z dłońmi splecionymi na karku, popadł w zadumę. Flavia próbowała wyjaśnić dziwne pragnienia fanów, ale oni wydawali mu się całkowicie pasywni: chcieli, żeby podziwiani przez nich ludzie dobrze o nich myśleli. Któż nie chciał? Może życie okazało się dla niego aż nazbyt szczodre, ponieważ jedyną kobietą, jakiej kiedykolwiek pragnął – a ból wywoływała sama myśl, że ona może nie należeć do niego – była Paola, kobieta, z którą się ożenił i z którą trwał w nierozzerwalnym związku. Jej oraz swoim dzieciom z nią spłodzonym życzył dobra; nie mógł sobie przypomnieć, który filozof zdefiniował miłość w ten sposób, ale uważał, że to najdoskonalsza definicja, jaką kiedykolwiek słyszał.

Co się działo z żarliwym uczuciem, gdy nie było odwzajemnione, docenione czy nawet dostrzeżone? W jakie dziwne mocje mogło się przerodzić? Co się działo, gdy obiekt pragnień mówił ci, żebyś się odczepił? Co się działo, gdy cała ta żarliwość nie znajdowała ujścia?

Pukanie do drzwi uwolniło go od tych myśli i sprawiło, że przednie nogi krzesła z hukiem opadły na podłogę.

– *Avanti!* – zawołał, podniósł wzrok i ujrzał *signorinę* Elettę, znowu ubraną jak businesswoman w koszulę i kamizelkę, chociaż tego dnia koszula była czarna, a kamizelka ze złocistego brokatu pokrytego czymś, co wyglądało na ręcznie wyszywane pszczoły. Piękno brokatu sprawiło, że wszelkie słowa były zbyt cenne i Brunetti mógł jedynie skinąć głową z uznaniem. Zauważył, że sekretarka Patty trzyma w ręce jakieś papiery.

Uniosła je i powiedziała: – Właśnie przyszły.

– Co to takiego? – zapytał komisarz.

– Informacje o naszyjniku.

Brunetti dopiero po chwili przypomniał sobie o naszyjniku pozostawionym na toalecie Flavii.

– Proszę mówić.

– Rozesłałam zdjęcia.

– I?

– Po kilku godzinach dostałam od jubлера w Paryżu odpowiedź z wyjaśnieniem, że wykonał ten naszyjnik trzydzieści osiem lat temu dla niejakiego doktora Lemieux. – Zanim Brunetti zdążył skomentować tak znakomitą pamięć, Elettra dodała: – Wciąż pamięta te kamienie.

– Co jeszcze pani powiedział?

– Lekarz zlecił jego wykonanie z przeznaczeniem na prezent. Jubiler sądzi, że miał być dla żony, aczkolwiek po tak długim czasie nie jest tego pewien. Pamięta jednak, że lekarz powiedział mu, że dawno temu przywiózł te kamienie z Kolumbii. Nie najwyższej jakości, ale dość cenne. Tak właśnie powiedział ten jubiler.

– Powiedział pani, ile lekarz zapłacił za naszyjnik?

– Mówił, że zrobienie go zajęło jego najlepszemu fachowcowi cały miesiąc. Dzisiaj złoto i robocizna byłyby warte około dwudziestu tysięcy euro.

– Ile?

– Dwadzieścia tysięcy euro.

– A kamienie?

Sekretarka Patty przeszła przez pokój i położyła na biurku przed komisarzem jedno zdjęcie. Zielone kamienie leżały rozrzucone na gładkim beżowym tle. Jakość kolorowej reprodukcji była tak niska, że równie dobrze mogła przedstawiać ciemnozielone cukierki. Część była kwadratowa, niektóre prostokątne, niektóre mniejsze, ale wszystkie miały ucięte skośnie krawędzie – jak kamienie widoczne na zdjęciu od Boccheseego.

Elettra postukała w fotografię palcem wskazującym i wyjaśniła: – Jubiler zrobił zdjęcie kamieni, które wtedy otrzymał.

– Gdzie jest naszyjnik?

– Wciąż w sejfie Boccheseego – odparła Elettra i zanim Brunetti zdążył zapytać, dodała: – Zadzwońłam do niego z prośbą, by określił ich kształty i wielkość.

– To te same kamienie?

Brunetti znał ją wystarczająco długo, by wyczuć, że coś, prawdopodobnie najlepszą część, wciąż przed nim zataja. Pomyślał o satysfakcji, jaką z pewnością z tego miała, więc zapytał: – A ich wartość?

– Jubiler powiedział, że na obecnym rynku byłyby warte około czterdziestu tysięcy euro.

– Elettra zrobiła pauzę, uśmiechnęła się i dodała: – Każdy.

Rozdział 24

– To daje w sumie wartość pół miliona euro – zauważył zdumiony komisarz, przypominając sobie, że niósł ten naszyjnik przez miasto w torbie na zakupy i zostawił na noc na kuchennym stole. Pół miliona euro.

Myśląca bardziej praktycznie *signorina* Elettra zapytała: – Co teraz?

– Powinniśmy się dowiedzieć, dla kogo doktor Lemieux zamówił ten naszyjnik – odparł oderwany od swoich refleksji Brunetti, zwyczajowo używając liczby mnogiej, jakby obiecywał, że podczas poszukiwania w komputerze tego, co miała wykryć na jego prośbę, będzie unosił się w powietrzu nad jej ramieniem. – A potem poznać jego obecnego właściciela. – Elettra zerknęła na komisarza bez słowa, a on zapytał: – Gdzie mieszka Lemieux?

– W Paryżu. A przynajmniej mieszkał tam, gdy zlecił wykonanie naszyjnika.

Przyzwyczajony do beztróskiego podejścia do takich spraw we własnym kraju, w kontaktach z policją w innych państwach Brunetti starał się być skrupulatny.

– Nie pozostaje nam zatem nic innego jak skontaktować się z tamtejszą policją i poinformować ich... – zaczął mówić, a potem umilkł na myśl o tym, co to za sobą pociągnie. – Możemy im powiedzieć, że ustalono, iż pewien klejnot znaleziony w trakcie innego dochodzenia należał do niego, i chcielibyśmy... – Znowu nie zdołał dokończyć, zawahał się i rzekł: – Nie udzielą nam tej informacji, prawda?

Signorina Elettra wzruszyła ramionami i zapytała: – A my byśmy im udzielili?

– Być może, ale dopiero po wielu tygodniach – odparł Brunetti, a potem dodał: – Jeśli w ogóle. – Wpatrywał się w ścianę swojego gabinetu i nie

widział nic więcej.

– Ktoś u nich jest mi winien przysługę – wyznała *signorina* Elettra po długim czasie i chyba chcąc zapobiec zenującej konieczności odpowiadania na pytanie o szczegóły, jakie mógłby zadać komisarz, dorzuciła: – Kilka lat temu przekazałam mu pewne informacje. – Brunetti modlił się w duchu, żeby nie zdradziła nic więcej.

Zapanowała niosąca spokój cisza.

Ograniczając się do tego, co niezbędne, komisarz rzekł: – Musielibyśmy się dowiedzieć, kto jest obecnym właścicielem i, jeżeli to możliwe, gdzie ta osoba się znajduje. – Wziąwszy pod uwagę neutralny charakter wypowiedzianych właśnie słów, dodał: – Nie ma potrzeby wspominać, nad czym pracujemy; rutynowa sprawa. – Niewiele osób tak dobrze jak Elettra umiało sprawić, by wszystko wydawało się rutynowe. – Mogłaby pani spróbować dowiedzieć się, czy kiedykolwiek zgłoszono kradzież tego naszyjnika – zasugerował i w odpowiedzi na jej nagłe spojrzenie stwierdził tylko: – Nigdy nic nie wiadomo.

Signorina Elettra powróciła do notowania na odwrocie zdjęcia. Gdy skończyła, popatrzyła na komisarza i wskazując niejasnym gestem inną część budynku, zapytała: – Co mamy z nim teraz zrobić... zostawić w sejfie Boccheseego?

Upewniwszy się, ile jest wart, Brunetti obawiał się tego rozwiązania. W przeszłości przechwycone narkotyki i broń ginęły z biura Boccheseego, ale sejf – o ile było mu wiadomo – nigdy nie został obrabowany. Ale pół miliona euro?

Nie przychodziło mu na myśl żadne bezpieczne miejsce, w którym mógłby umieścić naszyjnik. U nich w domu nie było sejfu: zwykli ludzie nie mieli rzeczy, które należało trzymać w sejfach. Wiedział, że jego teść ma sejf, gdzie trzymał dokumenty rodzinne i biżuterię żony.

– Niech tam zostanie – postanowił.

Gdy wyszła z jego gabinetu, komisarz nie wiedział, co robić do czasu, aż *signorina* Elettra zażąda odwzajemnienia wyświadczonej Francuzom przysługi i zdobędzie potrzebne informacje. Dla zabicia czasu postanowił znaleźć Vianella i wyjaśnić mu fabułę *Toski*.

Wydawało się to łatwiejsze od próby zrozumienia sposobu rozumowania osoby, która sprawiła, że ich obecność na wieczornym przedstawieniu była niezbędna.

Fabułę opery przedstawił inspektorowi w barze nieopodal mostu, stojąc przy kontuarze z kieliszkiem wina. Bambola, senegalski barman, słuchał razem z Vianellem, jak Brunetti opisywał dzieje Toski: seksualny szantaż, tortury, morderstwo, oszustwo oraz zdradę prowadzące do samobójstwa i nim uwieńczone. Vianello wysłuchał uważnie do końca, po czym zapytał: – Jak to możliwe, że policja ma prawo dokonać egzekucji więźnia?

Bambola zamasztywym ruchem wytarł kontuar, wypłukał ścierkę i podniósł rękę, żeby przyciągnąć uwagę inspektora.

– Podobnie jest też w moim kraju, *ispettore*. Gdy człowiek zrobi coś, co się im nie spodoba, zabierają go i koniec kropka – wyjaśnił, po czym, chyba z dezaprobatą, dodał: – Tyle że dyskretniej, niż wy robicie to tutaj.

Vianello i Brunetti wymienili spojrzenia, nic jednak nie powiedzieli. Wrócili do komendy, ale komisarz, zerknąwszy na zegarek, postanowił pójść do domu na obiad i dać Alvisemu dość czasu na obejrzenie nagrań z kamer zainstalowanych w garażu.

– Przecież już to widziałeś, *papà* – nie ustępowała Chiara, odkładając widelec i odrywając wzrok od *gnocchi z ragù*. – Dlaczego chcesz je znowu oglądać?

– Dlatego, że prawdopodobnie będzie inne – wtrącił Raffi ku ogólnemu zaskoczeniu wszystkich siedzących przy stole.

– Od kiedy to jesteś znawcą opery? – zapytała Chiara. Brunetti, pod wrażeniem tych słów, ponownie wsłuchał się w ton pytania i stwierdził, że więcej w nim zaciekawienia niż sarkazmu.

Raffi odłożył swój widelec i wypił łyk wody.

– Tak podpowiada zdrowy rozsądek, czyż nie? Gdy słyszę, że jakiś zespół daje dwa koncerty, wiem, że nie będą identyczne, prawda? Nawet jeżeli wykonują te same piosenki.

Czemu więc nie w operze?

– Ale fabuła nigdy się nie zmienia – zauważyła Chiara. – Zawsze musi się dziać to samo.

Raffi wzruszył ramionami.

– Przecież oni nie są maszynami. Mają dobre i złe dni. Tak samo jak inni śpiewacy.

No cóż, pomyślał Brunetti, przynajmniej nie powiedział „prawdziwi” śpiewacy. Może jednak była jakaś nadzieja.

– Czemu ty nie idziesz? – zapytała Chiara, zwracając się do matki, najwyraźniej usatysfakcjonowana tym wyjaśnieniem.

Uśmiech Paoli był całkowicie pozbawiony wyrazu, co często okazywało się najbardziej niebezpieczne.

– Ty idziesz pouczyć się u Lucii, a Raffi pomaga dziś po południu Francowi spuścić łódź z powrotem na wodę i zostaje u niego na kolacji. – Paola wstała, wzięła od nich talerze, wstawiła je do zlewu i wróciła z kuchni z olbrzymim półmiskiem pieczonych na grillu warzyw.

– Nie jestem pewna, czy to odpowiedź na moje pytanie, *mamma* – wyznała Chiara.

– Zrozumiesz to kiedyś, gdy wyjdiesz za mąż i urodzisz dzieci, *stella* – wyjaśnił jej ojciec.

Chiara odwróciła się ku niemu.

– W domu trzeba czasem pobyć samemu, córeczko – dodał Brunetti.

– A co jest w tym tak wspaniałego? – zdziwiła się Chiara.

Paola, która siedziała przy stole na wprost córki, posłała jej spokojne spojrzenie osoby dorosłej. Skosztowała cienki plasterk cukinii, zaaprobowała efekt swojego gotowania i ugryzła kolejny kęs. Położyła łokieć na stole i wsparła brodę na dłoni.

– To oznacza, że nie muszę przyrządzać ani podawać kolacji, a potem nie muszę myć naczyń, Chiaro. To oznacza, że mogę zjeść chleb z serem i sałatkę albo nie i zrobić sobie do jedzenia to, na co mam ochotę. Ale co ważniejsze, oznacza to, że mogę jeść, kiedy chcę, i czytać przy jedzeniu, a potem wracam do swojego gabinetu, kładę się na kanapie i przez cały wieczór czytam. – Gdy

Paola spostrzegła, że Chiara jest gotowa coś powiedzieć, podniosła rękę i ciągnęła: – Oznacza to również, że mogę tu przyjść i nalać sobie kieliszek wina lub szklaneczkę grappy bądź zaparzyć kawę lub herbatę albo po prostu wypić szklanek wody i nie muszę z nikim rozmawiać ani niczego dla nikogo robić. Potem zaś mogę wrócić do lektury, a gdy się zmęczone, położę się do łóżka i tam poczytam.

– I właśnie to chcesz robić? – zapytała Chiara głosem tak cichym, że mógł się on wydobywać z ust mrówki siedzącej pod liściem.

– Tak, córeczko – odparła Paola znacznie serdeczniejszym głosem. – Raz na jakiś czas właśnie na to mam ochotę.

Grzbietem widelca Chiara rozgniała kawałek marchewki, aż ta zmieniła się w bezkształtną plamę na talerzu. W końcu, głosem, który nabrał trochę mocy, zapytała: – Ale nie zawsze?

– Nie, tylko od czasu do czasu.

W drodze z powrotem do pracy Brunetti zachwycił się tym, w jakże skuteczny sposób Paola potrafiła uczyć swoje dzieci tego, jak urządzony jest świat. Czyniła to z gracją i wyrozumiałością, które często sprawiały, że nie wiedział, co powiedzieć. W dzieciństwie nigdy nie przyszło mu do głowy, że jego matka może mieć prawdziwe własne życie. Była z definicji jego matką. Przecież to było jej miejsce i zadanie w kosmosie: być planetą krążącą wokół swoich synów stanowiących centrum wszechświata.

Chiara została właśnie zmuszona do nowego rozumienia kosmosu, w którym planety podążały torem własnych orbit i nie krążyły w dogodny dla niej sposób. Brunetti przeczytał w tym tygodniu artykuł z informacją, że jedna czwarta Amerykanów nie wie, że Ziemia krąży wokół Słońca; zastanawiał się, ile osób w ogóle zdaje sobie sprawę, że świat nie kręci się wokół nich.

– Lepiej, żeby się tego dowiedziała teraz – mruknął pod nosem, po czym rozejrzał się nerwowo, mając nadzieję, że nikt go nie słyszał.

Do komendy dotarł o wpół do czwartej, w chwili gdy Foa dobijał do nabrzeża. *Vice-questore* Patta, wychodzący po schodkach z kabiny motorówki, spostrzegł komisarza Brunettiego i zatrzymał go ruchem uniesionej ręki. Wskoczył, gibki i zwinny jak antylopa, na *riva*, po czym oddalił się od łodzi,

nie zwracając sobie głowy dziękowaniem mężczyźnie, który zarzucił linę na słupek. Gdy motorówka została przycumowana do brzegu kanału, Foa wyciągnął zza rumpla nowy numer „Gazzetty dello Sport”.

Brunetti czekał, przytrzymując drzwi budynku, na swojego zwierzchnika. Patta podziękował mu skinieniem głowy chyba tylko dlatego, że Brunetti był komisarzem.

– Za pięć minut bądź w moim gabinecie – powiedział, odchodząc.

Najwyraźniej, pomyślał komisarz, nie jestem słońcem, wokół którego krąży planeta Patta. Postanowił z pięciu uczynić dziesięć i poszedł zobaczyć, co Alvis odkrył na nagraniach. Zastał go w pokoju wielkości szafy wnękowej, w którym upchano jakoś krzesło, biurko i laptop. Miejsce wokół komputera oświetlała stojąca na biurku lampa z cienką jak wąż szyjką; z jednego owalnego okna za Alvisem docierała odrobina naturalnego światła.

Alvis wstał na widok Brunettiego, ale nie zasalutował, nie wierząc chyba, że zdoła to zrobić w tak ciasnym pomieszczeniu.

– Dzień dobry, *commissario* – powiedział poważnym głosem. – Sądzę, że coś mam.

– Co to takiego? – zapytał Brunetti, obchodząc biurko, żeby stanąć za Alvisem i lepiej widzieć ekran.

– Kobieta, która weszła do garażu – odparł policjant. Spojrzał w notatki na biurku i ciągnął: – Osiemnastego... to znaczy dziesięć dni temu... o trzeciej po południu. – Przysunął krzesło nieco bliżej biurka i zapytał: – Pozwoli pan, że usiądę, *commissario*? Tak jest łatwiej obsługiwać komputer.

– Oczywiście, Alvis – odparł Brunetti i odsunął się trochę, żeby policjant mógł usiąść.

Alvis przesunął kursor na ekranie. Komisarz pochylił się, żeby lepiej widzieć, i chwilę później z prowadzących na schody drzwi wyłonił się Freddy. Przeszedł prosto w stronę kamery i szybko zniknął. Minęła kolejna chwila i inna kamera ukazała go, jak się oddala, idąc wzdłuż długiego szeregu samochodów. Zatrzymał się przy jednym, przeszedł do tyłu, otworzył bagażnik i wrzucił do środka torbę. Podeszedł do drzwi kierowcy, otworzył je,

wsiadł do auta i odjechał.

Alvise znowu przesunął kursor i tym razem zza tych samych drzwi wyszła jakaś kobieta i szybko przesunęła się na bok, gdzie była na wpół ukryta za betonowym słupem. Od czasu do czasu zza słupa wyłaniał się kawałek jej głowy, po czym równie szybko znikał.

– O ile minut później rozgrywa się ta scena? – zapytał Brunetti, nie odnotowawszy godziny na poprzednim nagraniu.

– O trzydzieści cztery sekundy, *commissario*.

Kobieta pozostała za słupem przez dwie minuty i siedem sekund, po czym odwróciła się, niezgrabnie ruszyła z powrotem do drzwi i zniknęła.

– Widziałeś ją ponownie?

– Nie, panie komisarzu. Dwa dni później kamera, która pokazuje te drzwi, przestała działać.

– Przestała działać czy została wyłączona?

– Zadzwońłem do garażu i powiedzieli, że to się stale dzieje.

– Dzięki, Alvise. To musi być wyczerpujące, gdy jedynym punktem orientacyjnym, jakim dysponujesz, jest zaparkowany samochód. – Komisarz powiedział to głosem, którym niegdyś chwalił rysunki swoich dzieci.

– Sprawdziłem wszystkie nagrania dwa razy. Ona jest jedyną osobą, która weszła, ale nie wsiadła do samochodu i nie odjechała.

Brunetti wyprostował się i poklepał Alvisego po ramieniu.

– Dobra robota – rzekł, ale potem zdał sobie sprawę, że Alvise może mu podziękować za tę pochwałę, i chcąc tego uniknąć, dodał z werwą: – Możesz już wrócić do pokoju odpraw.

Wracasz do normalnego rozkładu dyżurów. – Alvise szybko wstał, wywracając przy okazji krzesło, i Brunetti wykorzystał tę sposobność do wyjścia z pokoju. Wszedł do biura *signoriny* Elettry i nie widząc jej za biurkiem, zapukał do drzwi gabinetu Patty.

– *Avanti!* – zawołał przełożony. Brunettiemu przypomniało się, że Tosca wypowiada to samo słowo po tym, jak dźga nożem Scarpię.

– Zejdź mi z oczu, szatanie! – mruknął pod nosem komisarz i otworzył drzwi.

– Dlaczego wykorzystujesz tego głupca do szukania podejrzanego? – zapytał zastępca komendanta, gdy Brunetti znalazł się w jego gabinecie.

Komisarz podszedł do biurka, nieproszony usiadł naprzeciwko Patty i odparł: – Alvisie nie jest głupcem. I ją znalazł.

– Co?

– Znalazł ją – powtórzył Brunetti.

– Ją? – zdziwił się *vice-questore*. Komisarz obserwował, jak jego szef otwiera usta, by powiedzieć jeszcze coś, a potem się rozmyśla. Spokojnie mówił dalej.

– Przejrzał uważnie nagrania z garażowego monitoringu i zdołał dostrzec na nich osobę, która prawdopodobnie próbowała zabić markiza d'Istrię – wyjaśnił, myśląc, że chyba po raz pierwszy w życiu posłużył się tytułem Freddy'ego.

– Jakie nagrania? Skąd one się wzięły? I dlaczego oglądał je Alvisie?

Brunetti założył nogę na nogę i spokojnie wytłumaczył, jak wystąpili o sędziowski nakaz wydania nagrań, po czym go otrzymali. Uważał przy tym, jak miał w zwyczaju czynić, ilekroć stosował urzędowe procedury do uzyskania informacji, by sumiennie przekazać swojemu zwierzchnikowi najmniej istotne szczegóły.

– Powiedziałeś „prawdopodobnie”. Czy to znaczy, że nie jesteś pewien? – zapytał Patta, jakby się spodziewał, że podejrzana już się przyznała i podpisała swoje zeznanie.

– Kiedy pewnego razu zjawił się w garażu, ona weszła za nim tymi samymi drzwiami, ukryła się za słupem i obserwowała go, dopóki nie wsiadł do auta i nie odjechał. Potem zniknęła z powrotem za drzwiami.

– Nie można by inaczej wytłumaczyć tego, co zrobiła?

– Przypuszczam, że tak – odparł Brunetti wyważonym, życzliwym tonem. – Mogła szukać miejsca na umieszczenie bomby lub może chciała sprawdzić, jak szerokie są miejsca do parkowania, albo też była turystką i pomyliła garaż

z bazyliką Świętego Marka. – Następnie, bez cienia żartobliwości w głosie, rzekł: – Śledziła markiza, obserwowowała go z ukrycia i wyszła.

Jeżeli potrafi pan znaleźć lepsze wyjaśnienie jej zachowania, *dottore*, z pewnością wezmę je pod uwagę.

– Dobrze, już dobrze – rzucił poirytowany Patta, machając ręką na wszystkie te fakty. – Kim ona jest?

– Tak daleko jeszcze nie doszliśmy, *signore* – zastrzegł komisarz. – Być może jest Francuzką. Sprawdzamy to.

– Tylko zakończcie to sprawdzanie, nim zdąży pchnąć nożem kolejną osobę – ostrzegł Patta.

– Zrobię, co w mojej mocy, *vice-questore* – odparł uprzejmie Brunetti i wstał. – Będę dalej nad tym pracował. – Naśladując gest szacunku dla wyższych rangą zaobserwowany u Alvisiego, podniósł rękę ku czołu, odwrócił się i wyszedł z gabinetu.

Signorina Elettra siedziała przy swoim biurku i rozmawiała przez telefon. Ujrawszy komisarza, zakryła dłonią słuchawkę i uniosła pytająco głowę. Komisarz wskazał do góry, a ona skinęła głową na znak zgody, po czym zerknęła w stronę gabinetu Patty i na powrót skupiła uwagę na rozmowie telefonicznej.

Minęło ponad pół godziny, zanim pojawiła się w gabinecie Brunettiego. Zamknęła drzwi, usiadła przed jego biurkiem i położyła na kolanach jakieś papiery. Spojrzała na dokument leżący na samej górze, potem na komisarza, z powrotem na dokument i powiedziała: – Doktor Maurice Lemieux... chemik z zawodu... to właściciel firmy dostarczającej leki do sieci francuskich szpitali publicznych. Jest wdowcem i ma dwie córki: Chantal, która liczy trzydzieści sześć lat, jest żoną inżyniera pracującego dla Airbusa, ma troje dzieci i mieszka w Tuluzie; oraz Anne-Sophie, która ma trzydzieści cztery lata, jest niezamężna i jeszcze trzy lata temu mieszkała z ojcem, nigdy nie pracowała, ale studiowała w konserwatorium i nie ukończyła studiów.

– Co studiowała? – zapytał Brunetti, chociaż tak naprawdę znał już odpowiedź.

– Śpiew.

Komisarz ułożył lewą rękę na brzuchu, a prawą potarł twarz. Odkrył niewielki skrawek koło ust, który przeoczył przy goleniu tego ranka, i dalej pocierał delikatnie skórę dwoma palcami.

– Niech pani mi powie coś więcej – rzekł Brunetti.

Elettra zsunęła pierwszą kartkę z trzymanego na kolanach pliku i położyła ją starannie spodem ku górze na blacie biurka. Z pochyloną głową mówiła dalej.

– Trzy lata temu doktor Maurice Lemieux doprowadził do nałożenia sądowego zakazu na swoją córkę Anne-Sophie, której teraz nie wolno zbliżać się do niego ani do swojej siostry Chantal, jej męża i dzieci na odległość mniejszą niż dwieście metrów.

– Ponieważ?

– Ponieważ Anne-Sophie oskarżyła swojego ojca o próbę pozbawienia jej sympatii ze strony siostry. – *Signorina* Elettra spojrzała na komisarza, a potem z powrotem na dokumenty. – Ponadto oskarżyła ojca o oddanie przedmiotów ze swojego domu... przedmiotów zostawionych córkom w równej mierze przez matkę, którymi doktor Lemieux mógł dysponować za życia... jej siostrze, która ponoć przewiozła je do swojego domu w Tuluzie. – Zanim Brunetti zdążył zadać pytanie, Elettra dała na nie odpowiedź: – Obrazy wielkiej wartości, rzadkie wyroby z porcelany, meble, biżuterię oraz inne przedmioty, które wymieniono w oficjalnym zgłoszeniu i które figurują w testamencie jego zmarłej żony.

– Więc ona jest stroną pokrzywdzoną? – upewnił się komisarz, nie podnosząc głosu.

– Policja widziała to inaczej. Wymiar sprawiedliwości także.

– Co się stało?

Signorina Elettra odsunęła na bok drugą kartkę i spojrzała na trzecią.

– Telefonowała do swojego ojca i w tych rozmowach telefonicznych oskarżała go o zdradę i nieuczciwość. Gdy doktor Lemieux przestał odbierać jej telefony, Anne-Sophie zaczęła wysyłać e-maile, w których przechodziła od

oskarżeń do gróźb. W końcu, po z górą roku takich poczynań swojej córki, Lemieux zasięgnął rady policji i po przedstawieniu kopii otrzymanych od niej wiadomości, wniósł skargę. – *Signorina* Elettra zachowywała się tak, jakby czytała na głos baśń. – Po tym, jak policja ustaliła autentyczność e-maili i przeanalizowała ich treść, a Lemieux dostarczył złożone pod przysięgą przez wyznaczonego przez sąd prawnika pisemne oświadczenie, że wszystkie przedmioty wymienione w oskarżeniu powódki nadal są w posiadaniu doktora i znajdują się w jego domu, sprawę przekazano sędziemu pokoju i rozpoczęto jej badanie w sądzie. – *Signorina* Elettra uniosła wzrok znad kartki i odłożyła ją na bok. – Uzyskanie wyroku zajęło rok – wyjaśniła, po czym z większym ożywieniem w głosie dodała: – Wydaje się, że coś takiego mogło wydarzyć się tutaj, prawda?

Brunetti ograniczył się do słów: – Ale nie tak szybko.

Elettra ciągnęła: – To jest obowiązujące obecnie orzeczenie: Anne-Sophie musi się trzymać od nich z daleka.

– I trzyma się?

– Na to wygląda. Być może wyjechała z kraju. W każdym razie od ponad roku się z nimi nie kontaktuje.

– Oni wiedzą, gdzie jest?

Signorina Elettra pokręciła głową.

– Nie kontaktowałam się z nimi bezpośrednio. Widziałam jedynie policyjne akta.

Brunetti pomyślał o kwiatach, szmaragdach oraz o tym, że Anne-Sophie nigdy nie pracowała, i zapytał: – Czy to zamożna rodzina? Zamiast odpowiedzieć na to pytanie wprost, *signorina* Elettra powiedziała: – Jednym z obrazów, które według niej ojciec dał siostrze, jest Cézanne, a drugim Manet.

– Aha – mruknął komisarz. – Czy matka zostawiła córkom pieniądze?

Sekretarka Patty zerknęła w papiery, ale Brunetti był zdania, że nie musiała tego robić.

– Każda otrzymała ponad milion euro, a osoba, z którą rozmawiałam w Paryżu, powiedziała, że była mowa o Szwajcarii.

Brunetti wiedział, że w przypadku ludzi, którzy mieli obrazy Cézanne'a, zawsze była mowa o Szwajcarii.

– Jest jakieś zdjęcie? – zapytał.

Na kolejnej kartce trzymanej przez Elettrę widniało zdjęcie. Ku zaskoczeniu komisarza – zastanawiającego się, czy sekretarka szefa umieściła chipa w jego mózgu i teraz mogła czytać w jego myślach – wręczyła mu je, mówiąc: – Stoi trzecia od lewej w drugim rzędzie.

Brunetti spojrział i zobaczył klasowe zdjęcie nastoletnich dziewcząt ustawionych pod wysokim zwałem śniegu. Wszystkie były w strojach narciarskich i trzymały w rękach pionowo ustawione narty. Trzecia z lewej w drugim szeregu była wysoką nastolatką z radosnym uśmiechem na twarzy. Mogła być siostrą dowolnej z pozostałych dziewczyn na fotografii; prawdę mówiąc, większość mogła należeć do jednej rodziny.

– Gdzie i kiedy? – zapytał.

– Sankt Moritz, jakieś dwadzieścia lat temu. Szkolny obóz narciarski.

– Co to za szkoła? – zapytał, pamiętając popękane tablice oraz poobijane krzesła i ławki w swoim liceum.

– Szwajcarska. Prywatna. Kosztowna.

– To jedyna fotografia?

– Były zdjęcia rodzinne, ale zabrała wszystkie, opuszczając dom ojca.

– I w trakcie tej sprawy sądowej, która musiała być gratką dla prasy, nikt nie zdołał zrobić jej zdjęcia? – zdziwił się komisarz.

– Jest parę, ale zrobiono je z boku lub z daleka – powiedziała *signorina* Elettra przepaszającym tonem, jakby to ona odpowiadała za ów brak. Po czym, gwoli wyjaśnienia, dodała: – Francuzi są bardziej powściągliwi w tych sprawach niż my. Nie wszystkie procesy we Francji zamieniają się w cyrk.

– Szczęśliwi ludzie – zauważył Brunetti, po czym widząc, że Elettra ma chyba w zanadrzu coś ważnego, spytał: – Coś jeszcze?

– Przed mniej więcej pięcioma laty uczestniczyła w wypadku i spędziła ponad dwa miesiące w szpitalu.

– Co się stało?

– Ktoś wjechał na skrzyżowanie na czerwonym świetle i uderzył w jej samochód. – Sekretarka Patty spojrzała na Brunettiego i po chwili wahania, nie zwracając sobie głowy sprawdzaniem w dokumencie, dodała: – Jechała z nią matka, która zginęła. Zginął też ten drugi kierowca i towarzysząca mu osoba.

Komisarz gwałtownie drgnął.

– Kto w takim razie widział czerwone światło? – Dał upust swojej wyobraźni: poczucie winy, wyparcie, odpowiedzialność za śmierć matki, śmierć dwóch innych osób, miesiące w szpitalu na analizę tego wszystkiego, ocenę i przyjęcie na siebie winy, a potem wyparcie. Kto mógłby wyjść bez szwanku z takiej sytuacji?

– Ludzie w jadącym za nią samochodzie zeznali, że światło było zielone – wyjaśniła *signorina* Elettra, kładąc kres jego niedorzecznemu scenariuszowi. – Miała złamaną w trzech miejscach nogę i do dziś kuleje.

Błyskawicznie przypomniał sobie najpierw to, w jak niezdarny sposób kobieta widoczna na nagraniu poruszała się – idąc do drzwi po zakończeniu obserwacji markiza wsiadającego do samochodu – a następnie usiłował sięgnąć pamięcią do czegoś, co nie chciało powrócić we wspomnieniach. Skupił umysł, jak skupia się wzrok, próbując dojrzeć coś w mroku. Nic jednak sobie nie przypominał. Skierował wzrok na *signorinę* Elettrę i zobaczył, że odłożyła już wszystkie kartki.

– Nic więcej?

– Nic. Staram się dotrzeć do jej dokumentacji medycznej, ale nie jest łatwo działać we Francji.

Wydawała się tak przygnębiona, że to zaciekało Brunettiego.

– Dlaczego?

– Lepiej chronią swoje archiwa – odparła Elettra, po czym autoironicznie dodała: – a może po prostu brak mi doświadczenia w poruszaniu się po ich systemach.

– Może pani znajomy Giorgio z Telecomu mógłby pomóc – zasugerował komisarz, przypominając sobie imię przyjaciela, który wcześniej okazał się

tak przydatny w jej poszukiwaniach.

– Nie pracuje już w Telecomie – odparła.

Popłoch ogarnął Brunettiego tylko na chwilę, uspokoiła go świadomość, że żaden z jej znajomych nigdy nie wskazałby nazwisk.

– Zmienił pracę? – zapytał, modląc się o to, by odpowiedź była twierdząca.

Elettra skinęła głową.

– Założył własną firmę zajmującą się bezpieczeństwem teleinformatycznym.

W Liechtensteinie. Twierdzi, że panuje tam bardziej przyjazny klimat dla przedsiębiorczości.

– Od dawna tam mieszka?

Sekretarka Patty posłała mu tak głębokie spojrzenie, że powrócił do rozmyślań o chipie komputerowym, zastanawiając się, czy Elettra sprawdza, czy wciąż jest zainstalowany.

– Nie – odparła po długim wahaniu. – Nie przeprowadził się. Firma jest w Liechtensteinie, ale on nadal mieszka tam, gdzie zawsze, w Santa Croce, w sąsiedztwie rodziców.

– Aha – mruknął Brunetti. – Wywnioskowałem z pani słów, że się tam przeniósł.

– On nie, tylko firma. Zainstalował serwer pośredniczący, żeby móc prowadzić ją stąd i żeby wyglądało na to, że tam mieszka.

Komisarz skinął głową, zupełnie jakby zrozumiał powód zrobienia tego i służące ku temu środki.

– Może mógłby pani pomóc w tej sprawie.

– Już nad tym pracuje – odparła Elettra i wstała z fotela.

Rozdział 25

Brunetti postanowił spróbować zrobić swoje i włączywszy komputer, wpisał nazwisko doktora w przeglądarce Google. Większość artykułów, które się pojawiły, była w języku francuskim. Po powolnej lekturze części z nich znalazł jeden z „Il Sole 24 Ore”, pochodzący sprzed pięciu lat i wyjaśniający szczegóły planowanej fuzji Lemieux Research z jakąś firmą farmaceutyczną z Monzy. Znalazł jeszcze późniejszy artykuł z informacją, że plany fuzji zostały zarzucone, ale nie natrafił na nic więcej po włosku.

Przeglądał tytuły pozostałych publikacji francuskojęzycznych, dopóki nie znalazł artykułu na temat wypadku samochodowego, w którym Anne-Sophie Lemieux doznała obrażeń, a jej matka straciła życie. Nie dowiedział się jednak z niego nic, czego nie usłyszał wcześniej od *signoriny* Elettry.

Nie znał nazwiska męża drugiej siostry, sprawdził więc Chantal Lemieux, nic na jej temat nie znajdując. W przypadku Anne-Sophie, poza doniesieniem o wypadku, pojawiła się tylko krótka wzmianka o tym, że córka doktora Lemieux wystąpiła w drobnej roli w *Orfeuszu* wystawionym w paryskim konserwatorium muzycznym. Działo się to sześć lat wcześniej.

Dla zabicia czasu, pamiętając o wiecznych ostrzeżeniach *signoriny* Elettry, że nigdy nie wiadomo, co internet ukrył w swoich zakamarkach, sprawdził datę opublikowania artykułu, a potem, powoli i skrupulatnie, przeczytał programy teatrów operowych Paryża w tygodniach przed i po dacie pojawienia się Anne-Sophie w studenckim przedstawieniu.

Cztery dni potem Flavia Petrelli wystąpiła w *Traviacie* w Palais Garnier. Komisarz poczuł mrowienie w prawej ręce i tarł mocno skórę, dopóki to uczucie nie znikło. Mało brakowało, a zaczęłby zarzynać kurczaki na tarasie i przepowiadać przyszłość z ich wnętrzości.

Otworzył następną zakładkę i wstukał słowo „stalkerzy”. Wcale nie zdziwił go fakt, że całą masę artykułów umieszczonych w wykazie napisano po

angielsku. Ponad jedna czwarta stalkerów prześladowała sławne osoby; w przypadkach, w których stalker zabiegał o miłość ofiary, prześladowanie trwało średnio ponad trzy lata, a prześladowcami były w większości kobiety. Co do ofiar, to te cierpiały na bezsenność, często przeprowadzały się, próbując uniknąć niepożądanych zalotów, czasami starały się zmienić pracę i panicznie bały się kontaktu z osobą, która nie uznawała norm obowiązujących w życiu ludzi cywilizowanych.

Kiedy ostatnio widział Flavię, nie była w stanie ukryć przepelniającego ją napięcia. Zastanawiał się, jak ona może się skupić na śpiewaniu w sytuacji, gdy ciąży na niej coś takiego. W pierwszym odruchu chciał zadzwonić, choćby po to, żeby zapytać... Tylko o co? Czy ktoś inny, z kim rozmawiała, został napadnięty? Czy ktoś próbował ją zabić? Najlepsze, na co mógł się zdobyć, było to, co już zaproponował: że pójdzie z Vianellem na wieczorne przedstawienie, a potem na ostatnie. I zobaczy, co się wydarzy.

Zadzwonił pod numer Vianella, a gdy ten odebrał, zapytał: – Widziałeś się już z Alvisem?

– Można by go wziąć za pana młodego – odparł inspektor tak radośnie, jakby był gościem weselnym. – Brakowało tylko kwiatka w klapie jego munduru.

– Gdzie go przydzieliliś? – zapytał Brunetti, przekonany, że policjant chciałby w pełni wrócić do pełnienia swoich obowiązków.

– Wyglądał tak dobrze, że wysłałem go na patrol między San Marco a Ponte Rialto.

– Jakaś awantura w tej okolicy?

Vianello się roześmiał.

– Nie. Ale tak pięknie się prezentuje, że chciałem, by zobaczyli go turyści. W przyszłym roku, w karnawale, setki turystów prawdopodobnie przebiorą się za policjantów.

– On naprawdę świetnie się spisał z tymi nagraniami wideo – powiedział komisarz, gdy już przestał się śmiać, mając nadzieję, że inspektor wspomni o tym innym funkcjonariuszom.

– Wspomniał, że tak powiedziałaś – odparł inspektor, ale nie wdawał się w szczegóły.

Następnie zapytał: – O której dziś wieczorem?

– Zaczyna się o ósmej. Spotkamy się przy wejściu dla aktorów o siódmej trzydzięci.

– Mogę dostać jej autograf? – zapytał Vianello.

– Bez żartów, Lorenzo – odparł Brunetti z udawaną surowością.

– Mówię poważnie. Siostrzenica Nadii ma bzika na punkcie opery i gdy usłyszała, że dziś wieczorem obejrzę przedstawienie, poprosiła, żebym zdobył autograf.

Obawiając się, że Vianello może powiedzieć więcej niż powinien, komisarz zapytał: – Nadii nie wydało się dziwne, że wybierasz się do opery?

– Nie. Powiedziałem jej, że przydzielono mnie do zespołu towarzyszącego prefektowi i jakiemuś rosyjskiemu dyplomacie. I dałem wyraźnie do zrozumienia, że nie chciałem iść.

– To chyba nieprawda?

– Nie – odparł Vianello. – Cóż, początkowo ten pomysł nie bardzo mi się podobał, ale obejrzałem fragmenty tej opery na YouTube i chciałbym się przekonać, jak to wygląda na żywo.

Brunetti nie był pewien, jak dużo będą w stanie lub będzie im wolno obejrzeć zza kulis, ale i tak zobaczyliby przedstawienie z perspektywy, z jakiej bardzo niewiele osób je ogląda: mniej splendoru, więcej prawdy.

Powiedział inspektorowi, że zobaczy się z nim później, po czym się rozłączył. Powrócił myślami do Flavii oraz paradoksu kryjącego się w tym, co o niej wiedział i czego nie wiedział: znał nazwiska jej trzech ostatnich kochanków, ale nie mógł sobie przypomnieć imion jej dzieci; wiedział, że jest przerażona szalonymi zalotami jakiejś agresywnej wielbicielki, ale nie miał pojęcia, jakie są jej ulubione książki, potrawy, filmy bądź cokolwiek innego. Kiedyś, przed wielu laty, uratował ją przed oskarżeniem o zabójstwo i ocalił życie jej kochanki, nie wiedział jednak, dlaczego teraz pomoc Flavii jest dla niego tak ważna.

Spojrzał na swoje biurko i zobaczył papiery, które nagromadziły się na nim przez kilka ostatnich dni: porzucone, nieprzeczytane, mało ciekawe. Przysunął do siebie pierwszą stertę, znalazł okulary w szufladzie biurka i zmusił się do lektury. Zmożony monotonią pierwszych trzech dokumentów odwracał się już, żeby je wrzucić do kosza na makulaturę, gdzie mogły trafiać materiały nieobjęte klauzulą poufności, gdy odepchnął stertę od siebie i wstał. Wcześniej poprzestawał na wysłuchiwanie pomyślnych wiadomości o Freddym i cieszył się, że nie musi go odwiedzać. Teraz spojrzał na zegarek i zobaczył, że ma jeszcze czas, by dotrzeć do Mestre, zanim wróci do domu, by przebrać się do teatru.

Zatelefonował do szpitala z radiowozu, informując najpierw centralę, a następnie oddział chirurgii, że jest komisarzem policji i jedzie tam, by porozmawiać z markizem o usiłowaniu zabójstwa. Chociaż ani jego stopień, ani tytuł Freddy'ego nie zrobiły chyba najmniejszego wrażenia na żadnym z jego rozmówców, słowo „zabójstwo” okazało się niezwykle pobudzające i gdy tylko zjawił się na oddziale, bez pytania i wahań zaprowadzono go do sali, na której leżał pacjent.

Wydawało się, że markiz Federico d'Istria jest w dobrym stanie. Wyglądał na zmęczonego i wyczerpanego, najwyraźniej też odczuwał ból, lecz Brunetti widział wiele ofiar napaści i w porównaniu z nimi Freddy dobrze się trzymał. Wspierał się na śnieżnobiałych poduszkach, podłączone do kroplówek ręce miał ułożone wzdłuż ciała. Spod kołdry biegła plastikowa rurka prowadząca do przezroczystego foliowego woreczka wypełnionego w połowie różowym płynem. Komisarz podszedł do łóżka, dotknął ręki Freddy'ego jak najdalej od wenflonu i rzekł: – Przykro mi, Freddy.

– Drobiazg – odparł szeptem markiz i cmoknął lekceważąco. Problem? Jaki problem?

– Pamiętasz cokolwiek?

– Pytasz jako policjant? – zapytał Freddy, nie zdoławszy dokończyć trzeciej sylaby ostatniego słowa.

– Nigdy nie przestaję nim być – odparł Brunetti, po czym dodał: – Tak samo jak ty nie przestajesz być dżentelmenem.

Brunetti ucieszył się, widząc, jak Freddy uśmiecha się na te słowa. Potem jednak się skrzywił i zamknął oczy, a następnie wciągnął powietrze przez zaciśnięte zęby. Ułożył usta jak do pocałunku, żeby wypuścić powietrze; komisarz widział wiele czyniących to obolałych osób.

Markiz popatrzył na niego.

– Ponad trzydzieści szwów – powiedział i Brunetti zaczął się zastanawiać, czy Freddy, normalnie najskromniejszy z ludzi, teraz się przechwala. – Na ranach klutych – dodał, by wyjaśnić, skąd ta liczba.

– Paskudna sytuacja – zgodził się komisarz. – To wszystko tłumaczy. – Ruchem palca wskazał na kroplówki i rurkę, której Freddy nie widział. Zaczął się czuć jak postać z brytyjskich filmów wojennych, które oglądał w dzieciństwie. Czy powinien powiedzieć przyjacielowi, aby trzymał fason? Cokolwiek to znaczyło, wydawało się, że Freddy czynił to w naturalny sposób.

Znowu zapytał: – Pamiętasz coś?

– Jak ci nie powiem, odłączysz mnie od kroplówek?

– Mniej więcej – odparł komisarz, kręcąc głową, po czym poważnym tonem polecił: – Mów. – Gdy spostrzegł, że markiz zamyka oczy, powiedział: – Ta osoba gotowa jest wyrzucić krzywdę Flavii.

Freddy rozchylił gwałtownie powieki.

– Nie żartuję. Flavia jest jej celem. To osoba, która wysyłała kwiaty.

– *Maria Santissima* – wyszeptał markiz. Znowu zamknął oczy i poruszył ramionami, krzywiąc się przy tym. – Włożyłem torbę do bagażnika. Ktoś za mną stał. Chudy. Potem ból w plecach. Widziałem kobiecą dłoń i nóż. Odepchnąłem ją, ale upadłem. – Popatrzył na Brunettiego i mięśnie jego twarzy zwiotczały. – Flavia – zaczął i nagle odpłynął. Komisarz stał nad nim i obserwował, jak faluje mu pierś. Chciał jakoś pomóc przyjacielowi, ale jedynym, co przyszło mu na myśl, było podciągnięcie kołdry wyżej na piersi. To jednak mogłoby naruszyć wenflony, więc zamiast to zrobić, położył rękę na dłoni przyjaciela i trzymał ją tak przez dłuższy czas. Potem ścisnął ją lekko i wyszedł z pokoju.

Rozdział 26

Gdy spotkali się przed teatrem, Brunetti powiedział inspektorowi tylko tyle, że Freddy wyjawiał, iż to kobieta na niego napadła. Jego przyjaciel cierpiał, ale najwyraźniej zagrożenie minęło; reszta spotkania w szpitalu wydawała się mieć zbyt osobisty charakter, by je opisywać, nawet Vianellowi. Co Freddy chciał powiedzieć o Flavii i jaką chciał jej przesłać wiadomość?

Markiz i Flavia podczas swojego romansu mieszkali w Mediolanie, ją jednak Brunetti poznał dopiero wiele lat później. Prawdę mówiąc, poza tym krótkim spotkaniem na Ponte dell'Accademia, razem widział ich wyłącznie na zdjęciach. Inspektor przytrzymał otwarte drzwi, a on zaniechał swoich rozmyślań i wszedł do teatru.

Wokół portierni panował chyba jeszcze większy zamęt niż ostatnim razem, a gwar rozmów był bardziej nasilony. Głosy wydawały mu się raczej gniewne niż rozemocjonowane, ale zignorował je i nie zwracając sobie głowy pokazywaniem policyjnej legitymacji portierowi, poszedł na piętro poszukać inspicjenta, który wcześniej na życzenie *signory* Petrelli pozwolił mu wejść za kulisy podczas ostatnich przedstawień.

Jego biuro znaleźli nie bez trudu. Przy drzwiach powitał ich młody mężczyzna z udreńczoną miną, który trzymał w dłoniach dwie komórki, jedną przy uchu, a drugą przy klatce piersiowej.

– ...razy muszę ci to powtarzać? Nic nie mogę zrobić – powiedział szorstko i zmienił komórki. Ton także. – Oczywiście, oczywiście, robimy, co w naszej mocy, *signore*, i jesteśmy pewni, że pod koniec drugiego aktu dyrektor znajdzie rozwiązanie. – Odsunął od siebie na chwilę aparat i użył go do zrobienia znaku krzyża na swoim ciele. To uczyniwszy, przez moment na powrót słuchał swojego rozmówcy, po czym rzekł: – Tam się spotkamy – i wsunął obydwie *telefonini* do kieszeni marynarki.

Patrząc na stojących przed nim dwóch mężczyzn, oświadczył: – Mieszkam

w cyrku. Pracuję w cyrku. Otaczają mnie żarłoczne bestie. W czym mogę pomóc?

– Szukamy inspicjenta – wyjaśnił Brunetti, nie próbując przedstawiać się młodemu mężczyźnie.

– Nie wy jedni, *tesoro* – odparł młodzieniec i odszedł.

– Powiedziałem kiedyś swojej matce, że aktorstwo filmowe musi być cudowną profesją – rzekł Vianello z poważną miną.

– I?

– A ona uprzedziła, że spali się żywcem, jeżeli jeszcze raz powiem coś takiego.

– Mądra kobieta – zauważył komisarz i spojrzał na zegarek. Za kwadrans ósma. – Chyba najlepiej będzie, jak staniemy po przeciwnych stronach sceny – zaproponował. – Petrelli powiedziała mi, że dwaj ludzie z ochrony przyprowadzą ją i odprowadzą do garderoby.

Podeszła do nich jakaś kobieta w dżinsach ze słuchawkami na głowie i Brunetti zapytał: – Którędy na scenę?

– Proszę za mną – odparła, nie racząc zapytać, kim są i dlaczego się tam znaleźli.

Najwidoczniej z chwilą przekroczenia Styksu nikt nie zamierzał kwestionować ich prawa do bytności w piątym kręgu piekła. Kobieta minęła ich, a oni poszli za nią korytarzem, przez jakieś drzwi, po schodach, kolejnym korytarzem z drzwiami po obu stronach, a następnie schodami w dół. – *Avanti!* – rzuciła, wskazując przed siebie, otworzyła drzwi i zniknęła.

Za drzwiami było ciemniej. Przed sobą słyszeli czyjeś odgłosy. Stąpali jeden za drugim, Brunetti prowadził. Pomyślał, by użyć latarki w telefonie, ale zamiast to zrobić, przystanął na kilka chwil, żeby oswoić oczy z półmrokiem. Ruszył znowu, natrafił na masywne drzwi przeciwpożarowe, otworzył je i znalazł się w przestrzeni wypełnionej stłumionymi dźwiękami i smugami światła.

Dopiero po chwili pojął, że dotarli jakoś na zaplecze sceny, w miejsce najbardziej oddalone od orkiestronu usytuowanego na prawo od nich. Spojrzał

na scenę i rozpoznał wewnątrz kościoła Sant'Andrea Della Valle, z rusztowaniem prowadzącym na platformę zbudowaną przed niedokończonym portretem kobiety. Poniżej pomostu znajdował się podwójny rząd ławek i ołtarz z olbrzymim krucyfiksem. Gruba kurtyna oddzielająca scenę od widowni była zaciągnięta.

Próbował sobie przypomnieć, czy Tosca wchodziła na scenę z lewej, czy prawej strony, ale nie pamiętał. W każdym razie do jej pojawienia się zostało jeszcze trochę czasu, mieli więc szansę znaleźć dla siebie najlepsze miejsca, gdyby tylko wiedział, jakie to miejsca.

– Ty zostań po tej stronie, a ja pójdę na drugą – powiedział.

Vianello rozglądał się z taką miną, jakby poproszono go o zapamiętanie wyglądu sceny i napisanie raportu na ten temat. – Będę cię w stanie tam dojrzeć? – zapytał inspektor.

Brunetti ocenił odległość i pomyślał o fabule opery. Cały pierwszy akt odbywał się w tej scenerii, musieli więc jedynie wybrać dwa punkty, z których nie traciliby sobie nawzajem z oczu, wciąż mając w polu widzenia scenę. Następny akt rozgrywał się w biurze Scarpai, a trzeci na dachu Castel Sant'Angelo: na schodach, przy murze, pod którym zostanie zastrzelony Cavaradossi, oraz w miejscu, skąd Tosca rzuci się w otchłań śmierci. Nie miał pojęcia, gdzie najlepiej będzie stać; przypuszczałnie z inspicjentem, jeżeli go w ogóle znajdą, który przez całe przedstawienie będzie musiał mieć wszystko w zasięgu wzroku.

– Możemy wysłać SMS-y – zaproponował, czując się głupio, zwłaszcza że nie wiedział, czy będzie to możliwe na zapleczu sceny. – Zostań tu, a ja spróbuję przedostać się pod rusztowaniem.

– A więc szukamy kobiety? – upewnił się Vianello.

– Freddy widział kobiecą dłoń, a wszystko, czego się dowiedzieliśmy, świadczy o tym, że to kobieta – odparł komisarz i nim inspektor zdążył zadać kolejne pytanie, dodał: – Podejrzana to Francuzka, ma trzydzieści cztery lata i utyka. To wszystko.

– Wiemy, czego chce?

– To wie jedynie ona i Bóg – rzekł Brunetti. Poklepał Vianella po ręce i ruszył przez scenę. W chwili gdy postąpił naprzód, rozległy się syknięcia dwóch osób, a młoda kobieta w słuchawkach podbiegła do komisarza i ściągnęła go z powrotem na miejsce obok inspektora.

– Policja – rzucił komisarz, nie wdając się w wyjaśnienia. – Muszę się znaleźć po przeciwnej stronie – dodał i wyswobodził się z jej uścisku.

Kobieta bez pytań i ceregieli chwyciła Brunettiego za rękaw i stąpając szybko w swoich tenisówkach, poprowadziła go w lewo. Wśliznęła się za sklejkę, z której zbudowano ołtarz oraz tylną ścianę kościoła, i przeszła na drugą stronę sceny. Zostawiła go o metr od rusztowania, kazała się stamtąd nie ruszać i odeszła.

Brunetti dostał się pod rusztowanie. Wsparte na nim schody zasłaniały go zarówno od strony widowni, jak i od strony sceny. Przez lukę między sklejkami popatrzył na miejsce, gdzie stał Vianello. Przyjaciel spojrzał w jego stronę i podniósł rękę.

Zza kurtyny dolatywały głosy widzów, przytłumione i ciche niczym szum opadających i wznoszących się morskich fal. Mężczyzna z mikrofonem i w słuchawkach przeszedł w pośpiechu przez scenę i u stóp schodów prowadzących do portretu kobiety postawił wiklinowy kosz z wiekiem, odwrócił się, przebiegł po scenie i zniknął za metalową kratą *cappella* rodu Attavantich.

Szmer na widowni powoli przycichł i rozległy się chłodne oklaski, po czym nastąpiła długa pauza. I wtedy rozległo się pięć złowieszczych nut rozpoczynających operę, a następnie szelest kurtyny poprzedzający energiczne dźwięki muzyki, które zapowiadały przybycie więźnia zbiegłego z lochów Scarpaii.

Brunetti stanął w rozkroku, przewidując, że zostanie tam przez cały pierwszy akt. Oparł się niepewnie o poziomą deskę, która była częścią rusztowania. Spojrzał w kierunku Vianella, a potem na pięcioro śpiewaków na scenie. Czas płynął i wprawdzie dźwięk dochodził za kulisy stłumiony, znajome nuty opery usypiały go.

Flavia miała rację co do dyrygenta: wszystko rzeczywiście było

wymęczone, nawet pierwsza aria tenora. Od czasu do czasu komisarz toczył wzrokiem po scenie i widocznych miejscach za kulisami w poszukiwaniu czegokolwiek i kogokolwiek, kto nie pasował wyglądem do otoczenia. Kobieta ze słuchawkami na głowie pojawiła się nagle obok Vianella, lecz żadne z nich nie zdradziło obecności drugiego.

Komisarz był tak bardzo zajęty obserwacją, że przegapił muzyczne przygotowania na wejście Flavii i odwrócił się ku scenie dopiero wtedy, gdy usłyszał, jak woła: „Mario, Mario, Mario!”.

Publiczność powitała jej przybycie z szalonym entuzjazmem, zanim jeszcze cokolwiek zrobiła, chociaż Brunetti pamiętał, że w pierwszym akcie tak naprawdę miała niewielkie pole do popisu. Stała nie dalej niż sześć, siedem metrów od niego; z tej odległości widział teatralność jej charakteryzacji oraz parę wytartych miejsc na aksamitnej sukni. Ta bliskość wzmacniała jednak również siłę jej oddziaływania, gdy na wpół wypowiadała, na wpół wyśpiewywała zrodzone z zazdrości oskarżenia pod adresem swojego kochanka. Tenor, który w pierwszej arii wypadł sztywno i nienaturalnie, ożywił się w jej obecności i śpiewał swoje krótkie pasaży z przejęciem, które udzieliło się Brunettiemu i z pewnością nie pozostało obojętne dla publiczności. Sam przesłuchiwał ludzi, którzy zabili z miłości, i w ich zeznaniach słyszał tę samą pełną uniesienia pewność.

Akcja opery posuwała się do przodu. Flavia opuściła scenę i pod jej nieobecność wszystko oklapło. Komisarz miał ochotę pójść do jej garderoby, ale postanowił tego nie robić zarówno dlatego, że nie chciał jej rozpraszać podczas przedstawienia, jak i z obawy, że ktoś by go zobaczył lub usłyszał, gdyby próbował wynieść się ze swojego miejsca.

Obserwował akcję, widział przesadną mimikę tenora próbującego wyrazić swoje odczucia w światłach rampy. Scarpia wydawał się karykaturalnie zły i przez to nieprzekonujący, ale gdy tylko Flavia powróciła na scenę i mógł jej okazać swe pożądanie, atmosfera zrobiła się napięta; nawet w muzyce zaczął pobrzmiwać niepokój.

Flavia krążyła po scenie w poszukiwaniu swojego ukochanego, jej ciałem wstrząsały dreszcze zazdrości. Scarpia zmienił się z węża w pajaka i tkął

swoją sieć, dopóki w nią nie wpadła i – rozwścieczona podejrzeniami, które przemieniły się w pewność – uciekła ze sceny.

Gdy na scenie zabrakło jej energii, jedynie majestatyczność wieloosobowej procesji oraz śpiewane przez nią *Te Deum* zapobiegły temu, by wszystko osunęło się w otchłań nijakości.

Puccini był showmanem i ta scena kończąca się rozdzierającym wyznaniem Scarpia, że zgubił swoją duszę, była naprawdę przejmująca. Akt dobiegł końca i za kulisami słyhać było aplauz widowni. Brunetti przyglądał się, jak odtwórcy trzech głównych ról występują na środek sceny i trzymając się za ręce, wychodzą przed kurtynę, by się uklonić.

Oklaski ucichły, a komisarz stał i zastanawiał się, czy próbować odnaleźć garderobę Flavii. Ochroniarze, którzy oglądali pierwszy akt z za kulis, otoczyli ją, gdy zeszła ze sceny.

Postanowił nie przysparzać jej dodatkowego stresu. Uznał, że zrobi obchód zaplecza sceny w poszukiwaniu Vianella i wspólnie postarają się znaleźć kogoś, kogo tak jak ich nie powinno tam być.

Dwadzieścia minut później stali obaj w drzwiach przeciwpożarowych, obserwując, jak maszyniści teatralni zapalają i stawiają świecznik na stole Scarpia, przetrzepują poduchy na kanapie, na której miało dojść do zgwałcenia Toski, i kładą nóż na prawo od misy z owocami. Na scenę wszedł jakiś mężczyzna, poprawił ułożenie owoców, przesunął nóż o centymetr w prawo, cofnął się, żeby spojrzeć z podziwem na nową aranżację, i oddalił się za kulisy.

Uśmiechając się i rozmawiając przez telefon, Scarpia przemierzył scenę i zasiadł przy biurku. Wetknął komórkę do kieszeni brokatowego żakietu i podniósł gęsie pióro. Brawa z za kurtyny zasygnalizowały pojawienie się dyrygenta. Zaraz potem rozbrzmiały pierwsze nuty.

Brunetti był zaskoczony, jak uspokajająco działała ta muzyka; nikt by nie podejrzewał, że dojdzie do tragedii. Owa muzyczna lekkość zniknęła i niebawem Scarpia zaczął snuć swoje gwałcicielskie fantazje, używając słów, które w komisarzu wzbudziły głęboki niepokój, często bowiem słuchał, jak aresztowani przestępcy mówią niemal to samo. „Wolę smak gwałtownego

podboju niż słodkie przyzwolenie”. „Bóg stworzył różne przyjemności i chce ich wszystkich zakosztować”.

Od słów Scarpia szybko przeszedł do czynów i komisarz zderzył się z agresją dźwięku i obrazu. Cavaradossi w niebezpieczeństwie, Tosca powitana z zadowoleniem po to tylko, by się zabawić jej kosztem, ukochany wyprowadzony na tortury za kulisy, krzyczący z bólu. Cała masa okropności, aż w końcu zakrwawiony i pobity więzień prefekta policji został przywleczony na scenę, po czym równie szybko z niej zabrany.

Muzyka przycichła, stała się wręcz wesoła, stanowiąc dziwne preludium prawdziwej potworności seksualnego szantażu. Brunetti skierował spojrzenie z powrotem na Toscę w samą porę, by zobaczyć, jak bohaterka opery dostrzega leżący na stole nóż – niepokąźny nóż do owoców z ostrzem wąskim, lecz wystarczająco długim, by mógł posłużyć do tego, co – jak błyskawicznie zrozumiała – mogła nim zrobić. Dłoń Toski opadła na nóż i Brunetti zobaczył niemalże, jak jej biceps napina się pod wpływem siły, z jaką chwyciła rękojeść. Czyżby broń dodała jej wzrostu? Z całą pewnością Tosca stanęła prościej i otrząsnęła się z nastroju hipnotycznego osłabienia.

Scarpia, fachowiec wart zatrudnienia, zbierający owoce swej pracy, odłożył pióro, wstał z wysiłkiem od biurka i podszedł do niej, kusząc ją przepustką trzymaną w dłoni, jakby to był cukierek, a on prosił, by wsiadła z nim do samochodu: Proszę, maleńka... Gdy ją tak wabił, pchnęła go nożem, rozcinając mu brzuch aż po mostek. Brunetti stłumił okrzyk, ujrzawszy, jak to zrobiła w ubiegłym tygodniu, i teraz – znajdując się bliżej niej i będąc jeszcze bardziej przekonany o realności tego, co robi – znowu musiał go stłumić.

Scarpia odwrócił się od widowni i komisarz ujrzał, jak wyciska krew z tubki ukrytej w dłoni, po czym rusza w stronę Toski i rzuca się na nią. Ona zaś, z twarzą wykrzywioną wściekłością, krzyczy do niego, że otrzymał pocałunek Toski i to kobieta zadała mu śmierć.

„Spójrz na mnie, jestem Tosca!” – usłyszał konający mężczyzna, a Brunetti poczuł przerażenie jej czynem i równocześnie zdziwił się, że żadna z kobiet na widowni nie urządziła jej owacji na stojąco.

Tosca wydarła z bezwładnej dłoni prefekta przepustkę, postawiła świecę

przy drugiej ręce, spuściła krucyfiks na pierś konającego i przy dźwiękach muzyki ilustrującej jego agonię wymknęła się z pokoju, by śpieszyć na ratunek ukochanemu.

Zza opuszczonej kurtyny napłynęła fala oklasków. Scarpia wstał, otrzepał się i wyciągnął ramiona ku stojącej za kulisami Flavii. Cavaradossi, którego twarz była już nieco mniej zakrwawiona, podszedł do nich i wzięli się za ręce. We trójkę wyszli przed kurtynę i ogarnął ich huragan braw.

Brunetti usłyszał, jak stojący obok Vianello mówi: – Mój Boże, nie miałem pojęcia, że tyle w tym magii. To magiczne, prawda?

Kolejny nawrócony, pomyślał komisarz, ale odparł: – Owszem, jest czy też może być. Gdy wykonawcy są dobrzy, niewiele rzeczy się z tym równa.

– A gdy nie są? – zapytał inspektor, wyglądało jednak na to, że nie może sobie tego wyobrazić.

– Wówczas także niewiele rzeczy dorównuje operze.

Oklaski ucichły i gdy obaj spojrzeli na drugą stronę sceny, zobaczyli Flavię z dwoma ochroniarzami. Brunetti pomachał do niej, ale Flavia go nie widziała; zeszła ze sceny pod eskortą. Zmęczeni tak długim staniem zapytali przechodzącego obok pracownika technicznego, gdzie znajduje się bar, i zastosowali się do jego wskazówek. Dwukrotnie skęcili w niewłaściwą stronę, lecz w końcu trafili do baru, napili się kawy i wysłuchali przekazywanych z ust do ust komentarzy. Brunetti nie usłyszał nic, co uznał za warte zapamiętania, ale Vianello słuchał z uwagą, jakby to, co mówiono, było pouczające.

Wrócili na swoje miejsca na kilka minut przed gongiem. Rusztowanie, za którym wcześniej ukrył się komisarz, zostało przerobione na schody prowadzące na dach Castel Sant'Angelo, wędrował więc powoli w panującym za kulisami mroku w poszukiwaniu nowej kryjówki, aż znalazł miejsce zapewniające widok na dach, gdzie miały się rozegrać wydarzenia trzeciego aktu.

Chwilę później Flavia podeszła do schodów, które prowadziły na zamkowe mury. Towarzyszący jej ochroniarze zczekali, aż się po nich wspięła, i wrócili na swoje stanowiska po obu stronach sceny. Chociaż głównych bohaterów opery czekała już tylko śmierć, scena rozpoczęła się cichymi

dźwiękami fletów, waltorni oraz kościelnych dzwonów, ilustrującymi spokój nocy z wolna dojrzewającej do świtu. Brunetti przestał się przyglądać zmianie oświetlenia sceny i obserwował ludzi po drugiej stronie, którzy stali nieruchomo, zadarłszy głowy, by móc śledzić akcję na murach zamku.

Komisarz, ustawiony daleko i z boku, widział większość scenicznej przestrzeni, w której miał się rozegrać ostatni akt opery; powyżej wznosiła się strzelista postać dzierżącego miecz Michała Archanioła, na którego cześć nazwano zamek. Z tej perspektywy widział drewnianą ramę, na której wspierały się mury i za którą metr niżej znajdował się pomost na podnośniku hydraulicznym. Spoczywały na nim wyłożone poduchami styropianowe płyty mające zatrzymać spadającą Toscę. Zarówno podnośnik, jak i platforma były niewidoczne z widowni, a nawet z samych szańców. Prowadząca z pomostu drabina miała pozwolić wskrzeszonej Tosce zejść na scenę w samą porę, by mogła podziękować za oklaski.

Brunetti obserwował rozwój wydarzeń, słyszał, jak tenor śpiewa swoją arię, widział, jak Tosca wpada na scenę, potem jednak opuścił wzrok i omiótł nim zaplecze sceny, szukając jakichkolwiek oznak obecności czegoś lub kogoś niepasującego do otoczenia. Ponad nim rozległy się strzały: Mario był w śmiertelnym niebezpieczeństwie, chociaż Tosca jeszcze o tym nie wiedziała. Bardzo spokojnie zaczekała, aż żołnierze z plutonu egzekucyjnego odejdą, po czym kazała mężczyźnie wstać, ale on już nie żył. Muzyka stała się gwałtowna, Tosca wpadła w panikę i zaczęła krzyczeć. Krzyk instrumentów był jeszcze głośniejszy. Gdy Tosca pobiegła w lewą stronę, Brunetti widział ją wysoko w górze, stojącą na krawędzi muru, patrzącą wstecz, z jedną ręką wyciągniętą przed siebie, a drugą odrzuconą do tyłu. *O Scarpia, avanti a Dio!* – zaśpiewała, a potem skoczyła w otchłań śmierci.

Odgłos kroków komisarza utonął w owacjach dobiegających zza opuszczanej kurtyny, ona zaś ukryła go przed publicznością, gdy przemieszczał się za namalowanymi dekoracjami do drabiny prowadzącej z pomostu. Usłyszał z góry jakieś głuchoe stuki, a następnie ujrzał, jak z boku platformy ukazuje się stopa i noga śpiewaczki, która odsunęła obcasem brzeg sukni i zaczęła schodzić.

Brunetti stanął obok i zawołał do niej na tyle donośnie, by jego głos przebił się przez oklaski, które docierały z widowni.

– Flavio, to ja, Guido!

Petrelli odwróciła się i spojrzała w dół. Zatrzymała się nagle, chwyciła drabinę po bokach i przywarła czołem do jednego ze szczebli.

– Co się stało? – zapytał. – O co chodzi?

Uniosła głowę i bardzo powoli znowu ruszyła w dół. Gdy stanęła na scenie, odwróciła się do niego z zamkniętymi oczami, trzymając kurczowo jedną dłońią brzeg drabiny. Po chwili otworzyła oczy i powiedziała: – Boję się wysokości. – Puściła drabinę. – Skok z tego muru jest gorszy niż zaśpiewanie całej opery. To mnie przeraża.

Zanim Brunetti zdążył odpowiedzieć, między Flavią a podnośnikiem pojawił się jakiś młody mężczyzna z torbą pełną narzędzi. Chociaż był co najmniej jedno pokolenie młodszy, posłał jej uśmiech pełen zachwyty i rzekł: – Wiem, że pani nie znosi tego pomostu. Ściągnijmy więc go w dół i przesunijmy na bok, dobrze? – Podniósł metalowy pierścień z wieloma kluczami i skierował wzrok na podnośnik.

Komisarz przyglądał się, jak Petrelli uśmiecha się nieznacznie i odsuwając się od mężczyzny w stronę kurtyny, mówi: – To miłe z pana strony.

Brunetti pokręcił głową na myśl o naturalnym wdzięku, z jakim to uczyniła, i zauważył: – Cóż, teraz jesteś na dole, cała i zdrowa. – Flavia zapomniała o uśmiechu i ten zniknął z jej ust, pozostawiając na twarzy wyraz napięcia i znużenia. – To było wspaniałe – dodał i wskazał na kurtynę, za którą wciąż przetaczała się burza braw i okrzyków. – Chcą ciebie.

– W takim razie powinnam do nich wyjść – odparła Flavia i zwróciła się w stronę widowni. Położyła mu dłoń na ramieniu i powiedziała: – Dziękuję ci, Guido.

Rozdział 27

Komisarz i Vianello stali razem na lewo od sceny, a wykonawcy kłaniali się publiczności. Baryton, tenor, sopran – w miarę jak rosła skala ich głosów, rosło też natężenie oklasków, które otrzymywali, wychodząc osobno przed widownię. Flavia zgarnęła całą pulę, co Brunetti uznał za zupełnie słuszne i zrozumiałe. Obserwował jej pierwsze wyjście przez szparę w kurtynie. Na scenę nie spadła ani jedna róża, co przepełniło go wielką ulgą.

Niesłabnące brawa przenikały za kulisy i mieszały się ze stukiem młotków oraz odgłosem ciężkich kroków. Stukanie ustało na długo przed oklaskami, a kiedy te zaczęły milknąć, inspicjent, którym okazał się spotkany przez nich wcześniej młodzieniec z *telefonini*, dał znak śpiewakom i dyrygentowi, by już nie wychodzili do publiczności. Pogratulował im udanego występu i zakończył słowami: – Byliście cudowni, moi drodzy. Dziękuję wam wszystkim i do zobaczenia, mam nadzieję, na ostatnim przedstawieniu. – Klasnął w dłonie i dodał: – A teraz wszyscy idźcie na kolację.

Gdy młody mężczyzna zauważył Brunettiego i Vianella, zatrzymał się przy nich i rzekł: – Wybaczcie mi, *signori*, że byłem wcześniej niegrzeczny, ale usiłowałem nie dopuścić do katastrofy i nie miałem czasu rozmawiać.

– Udało się? – zapytał Brunetti. Oklaski za kurtyną osłabły, a potem zupełnie ucichły.

Inspicjent się skrzywił.

– Tak sądziłem jeszcze pięć minut temu, gdy otrzymałem SMS, który sprawił, że porzuciłem wszelką nadzieję.

– Przykro mi – rzekł komisarz, czując odruchową sympatię do tego szczególnego osobnika.

– Dziękuję za troskę, ale jak powiedziałem wcześniej, pracuję w cyrku i otaczają mnie żarłoczne bestie.

Wykonał grzecznościowy pólukłon i odszedł porozmawiać z tenorem, który jeszcze nie opuścił sceny. Rozglądając się, Brunetti spostrzegł, że inspicjent, tenor, on i Vianello zostali sami, ustała także głośna krzątanina towarzysząca demontażowi dekoracji. Obsługa sceny przypuszczalnie rozpoczęła zapowiadany strajk. Flavia pojawiła się znowu i rozmawiała teraz z inspicjentem. Młodzieniec machnął dłonią w stronę zaplecza, rozłożył szeroko ręce, po czym z teatralną przesadą wzruszył ramionami.

Flavia pogładziła go po policzku i uśmiechnęła się do niego, a on odszedł z bardziej pogodnym wyrazem twarzy. Śpiewaczka odwróciła się i ujrawszy komisarza, podeszła do niego. Skorzystał z okazji, by przedstawić Flavii Vianella. Inspektor był dziwnie skrepowany i zdołał jedynie podziękować jej kilka razy, a potem umilkł. – Odprowadzimy cię do domu – oświadczył Brunetti.

– Nie sędzę, by to... – zaczęła protestować Flavia, ale on jej przerwał.

– Odprowadzimy cię do domu, Flavio, i wejdziemy z tobą do mieszkania.

– I podacie czekoladę na gorąco z ciasteczkami? – zapytała, lecz zrobiła to z cichym śmiechem, a w jej głosie pobrzmiwała serdeczność.

– Nie, ale możemy zatrzymać się po drodze, jeżeli znajdziemy restaurację, która będzie jeszcze otwarta.

– Nie jedliście jeszcze kolacji? – zdziwiła się Petrelli.

– Prawdziwi mężczyźni są zawsze głodni – zauważył Vianello niskim głosem prawdziwego mężczyzny i tym razem Flavia roześmiała się swobodniej.

– W porządku. Muszę jednak zadzwonić do moich dzieci. Staram się to robić po każdym występie. Jeżeli nie zatelefonuję, będą zrzędzić.

Wyciągnęła rękę zupełnie naturalnym ruchem i chwyciła Brunettiego za nadgarstek, uczyniła to jednak tylko po to, żeby spojrzeć na jego zegarek. Sama świadomość, która jest godzina, sprawiła, że na jej twarzy odmalowało się zmęczenie.

– Wolałabym wykonywać rolę Lauretty – powiedziała i gdy zauważyła, że Brunetti nie zrozumiał, dodała: – W *Giannim Schicchim*.

– Ponieważ ona nie musi skakać? – upewnił się komisarz.

Uśmiechnęła się, ciesząc się, że nie zapomniał o jej lęku wysokości.

– Oczywiście, ale również dlatego, że śpiewa tylko jedną arię.

– Ach, ci artyści... – rzucił Brunetti.

Flavia znowu się roześmiała, odetchnąwszy z ulgą na myśl o tym, że wieczorne przedstawienie ma już za sobą.

– To może potrwać. Wydostanie się z niej trwa całe wieki – powiedziała, przesuując dłońmi po gorsie swojej sukni.

Rozglądając się i nie widząc jej ochroniarzy, komisarz zapytał: – A gdzie twoi goryle?

– Ach, powiedziałam, że będzie tutaj policja i po spektaklu odprowadzi mnie do garderoby.

Petrelli niczym Ariadna знаła drogę w teatralnym labiryncie, bez wahania skręcała w lewo oraz w prawo i w ciągu paru minut doprowadziła ich do drzwi swojej garderoby. Gdy się zbliżali, siedząca przed garderobą kobieta wstała i z tłumioną złością powiedziała: – Ja nie strajkuję, *signora*. Tylko te nieroby z obsługi sceny migają się od pracy.

Zamiast robić uwagi na temat solidarności klasy pracującej, Brunetti zapytał: – Kiedy zaczęli?

– Och, około dwudziestu minut temu. Grozili nim od tygodni, ale dziś wieczorem ich związek opowiedział się za strajkiem.

– A pani się z tym nie zgadza?

– Jest kryzys finansowy, a ci głupcy strajkują – odparła kobieta, nie próbując ukrywać rozdrażnienia. – To jasne, że się do nich nie przyłączymy. To szaleńcy.

– I co teraz będzie? – zapytał komisarz.

– Wszystko stoi, a ci, co przyjdą na jutrzejsze przedstawienie, będą mogli patrzeć na dach Castel Sant'Angelo, słuchając Brahmsa.

Brunetti zdał sobie sprawę, że właśnie tego dotyczyła rozmowa telefoniczna inspicjenta. I to z powodu tej katastrofy nie był pewien, czy zobaczy się ze

wszystkimi na ostatnim przedstawieniu. Kobieta zorientowała się chyba, że w jej głosie można było wyczuć urazę, dodała bowiem: – Rozumiem, że od sześciu lat nie dostają podwyżek, ale my też ich nie dostałyśmy.

A musimy pracować. Mamy rodziny.

Przed laty Brunetti poprzysiągł sobie nie wdawać się nigdy w dyskusje o polityce lub zachowaniach społecznych z nieznanymi, świadom, że to najbezpieczniejszy sposób na uniknięcie konfliktu zbrojnego.

– Zatem przedstawienie się nie... – zaczął, lecz Flavia mu przerwała.

– Przebiorę się i zadzwonię do dzieci. Wróćcie za dwadzieścia minut. – Brunetti i Vianello ruszyli korytarzem, zamierzając pospacerować po tym piętrze teatru.

Gdy zniknęli, Flavia powiedziała, obciągając spódnicę kostiumu: – Zostawię ją w garderobie. Możesz iść do domu, Marino. Masz klucz, żeby się tu jutro dostać, prawda?

– Tak, *signora* – odparła garderobiana, a potem z silnym naciskiem dodała: – Ja na pewno będę w pracy.

Flavia otworzyła drzwi garderoby, włączyła lampy nad toaletką, odwróciła się i zamknęła drzwi na klucz od wewnątrz. I wówczas usłyszała za sobą cichy kobiecy głos.

– Dobry wieczór, *signora*.

Wydała z siebie stłumiony okrzyk, żałując, że tak śpieszno jej było do telefonowania i tak skwapliwie odrzuciła ostrzeżenia komisarza.

– Pani dzisiejszy występ był wspaniały.

Flavia siłą woli zmusiła się do zachowania spokoju, przywołała na usta uśmiech i odwróciwszy się, ujrzała kobietę stojącą obok toaletki, która w jednej dłoni trzymała bukiet żółtych róż, a w drugiej nóż. Czy to nim dźgała Freddy’ego? – pomyślała w pierwszej chwili Flavia, potem jednak spostrzegła, że nóż jest dłuższy niż ten, którego – jak się dowiedziała – użyto do napaści na markiza.

Gdy przyglądała się kobiecie, jej obraz raz po raz stawał się nieostry, a w każdym razie Flavia widziała różne części jej postaci, nie była jednak w stanie

dojrzyć całości. Pomimo usilnych starań, by zobaczyć jej twarz, z początku widziała jedynie oczy, potem nos, a następnie usta, ale bez względu na to, jak bardzo się skupiała, nie potrafiła ich połączyć na tyle, żeby opisać wygląd kobiety. To samo działo się, gdy patrzyła na jej ciało. Czy była wysoka? Co miała na sobie?

Flavia przybrała łagodniejszy wyraz twarzy, cały czas stojąc przodem do nieostrej postaci przy toalecie. Kiedyś słyszała, że psy węższą strach i atakują, gdy wyczują słabość.

Przypomniała sobie dawne powiedzenie swojej babci: *Da brigante uno; a brigante, uno e mezzo*. Odpłacić bandycie pięknym za nadobne. Najpierw jednak trzeba było bandytę ugłaskać, uspić czujność potwora. Obraz noża nie rozmył się nawet na chwilę, ale Petrelli ignorowała go na tyle, na ile mogła. Wskazała na kwiaty i powiedziała: – Więc to pani wysyłała mi róże. Cieszę się, że w końcu mogę pani za nie podziękować.

Gdzie udało się pani je znaleźć o tej porze roku? I w takich ilościach – paplała jak głupia, z oczywistą intencją, nie potrafiła jednak wymyślić lepszych kwestii. Pomyślała, że kobieta wyczuje jej strach; niebawem dotrze do niej także jego woń.

Kobieta zachowywała się jednak w taki sposób, jakby uznała uwagi Flavii za całkowicie normalne, bo poniekąd takie były, i w odpowiedzi wyjaśniła: – Nie wiedziałam, jaki kolor się pani spodoba, potem jednak przypomniałam sobie, że kilka lat temu na kolacji w Paryżu nosiła pani żółtą sukienkę, i pomyślałam, że ten kolor może być odpowiedni.

– Och, ta stara kiecka – powiedziała Flavia maksymalnie lekceważącym tonem dziewczyny takiej jak wszystkie. – Znalazłam ją na wyprzedazy i kupiłam pod wpływem impulsu... wie pani, jak to jest... i, no cóż, nigdy nie byłam pewna, czy naprawdę było mi w niej do twarzy.

– Moim zdaniem wyglądała ślicznie – powiedziała kobieta, sprawiając wrażenie urażonej, jakby to ona dała Flavii tę sukienkę, a jej dar nie został przyjęty.

– Dziękuję – odparła Flavia, po czym bardzo powoli i zwyczajnie podeszła do toaletki, odsunęła stojące przed lustrem krzesło i usiadła. Ruchem dłoni

wskazała na kanapę i zaproponowała: – Może pani usiądzie?

– Nie. Będę stała.

– Pozwoli pani, że zmyję makijaż? – zapytała Flavia, sięgając po pudełko z chusteczkami.

– Podoba mi się pani umalowana – odparła kobieta głosem tak nieziemsko zimnym, że prawa dłoń śpiewaczki zawisała nad pudełkiem i nie mogła się poruszyć ani po to, by wyciągnąć chusteczkę, ani po to, by powrócić na kolana, gdzie spoczywała lewa. Flavia wpatrywała się w swoją rękę, gorąco pragnęła odzyskać nad nią panowanie. Po chwili tak się stało, dłoń czmychnęła na kolana i spoczęła zaciśnięta na swojej partnerce.

– Pani kłamie – dodała kobieta.

– W jakiej sprawie? – zapytała Flavia, starając się, by jej słowa wyrażały zaciekawienie, a nie chęć obrony.

– W sprawie kwiatów.

– One rzeczywiście są piękne.

– Ale ten mężczyzna, ten, z którym miała pani romans, wyniósł je przed dom i wyrzucił na ulicę tej samej nocy, której je pani dałam – oświadczyła z ożywieniem kobieta, po czym lodowatym głosem dodała: – Widziałam go.

– Freddy’ego? – zapytała Flavia z niewymuszonym śmiechem. – On się panicznie boi żony i obawiał się, że ona pomyśli, iż to on mi je przysłał, kiedy więc je zobaczył, wpadł w panikę i oświadczył, że musi się ich pozbyć z domu.

– Ale w goszczeniu pani u siebie mu to nie przeszkodziło, prawda? – zauważyła kobieta, a w jej głosie nagle dało się wyczuć wyraźną insynuację.

– To był pomysł jego żony. Doszła pewnie do wniosku, że dzięki temu będzie mieć na nas oko – odparła spokojnie Flavia. Już miała zrobić jakąś obraźliwą uwagę o zazdrosnych kobietach, gdy jedno spojrzenie na twarz tamtej skłoniło ją do rezygnacji z tego pomysłu. – Poza tym, ona w głębi duszy wie, że nic już między nami nie ma. – Po chwili, jakby ta myśl właśnie przyszła jej do głowy, dodała: – Tak naprawdę nic nie ma od dwudziestu lat.

Kobieta, której odbicie Petrelli widziała teraz w lustrze przed sobą, nie

zareagowała. Flavię kusiło, żeby się rozluźnić i przerwać tę szaleńczą grę. Jednak obraz w lustrze dał jej jasność spojrzenia, a widok odbitego w nim noża wystarczył, by ją zmobilizować i skłonić do pytania: – Po co pani tu przyszła?

Kiedyś występowała w roli Manon z tenorem, który podczas próby ją opluł, i w to pytanie włożyła te same umiejętności aktorskie i tyle samo ciepła, ile wcześniej w duety z nim.

– Widziałam panią już wcześniej – powiedziała kobieta.

Flavia miała zauważyć, że to żadna niespodzianka, skoro wiedziała, że w Paryżu nosiła żółtą sukienkę, ale powiedziała tylko: – I jak przypuszczam, słyszała pani, jak śpiewam.

– Napisałam też do pani – rzuciła z gwałtownym ożywieniem kobieta.

– Mam nadzieję, że odpowiedziałam – odparła Flavia i uśmiechnęła się do ich odbitych obrazów.

– Owszem, ale zgody pani nie wyraziła.

– Na co? – zapytała Flavia z zaciekawieniem, którego nie musiała udawać.

– Na dawanie mi lekcji muzyki. Trzy lata temu napisałam do pani w tej sprawie, ale nie chciała pani tego robić. – Flavia przyglądała się, jak kobieta pochyla się, żeby położyć bukiet na podłodze. Noża jednak nie odłożyła.

– Przykro mi, ale nie pamiętam.

– Odmówiła pani – powiedziała z naciskiem kobieta.

– Przepraszam, jeżeli panią obraziłam, ale ja nie daję lekcji śpiewu – wyjaśniła Flavia, po czym, chcąc, żeby zabrzmiało to jak zasada, dodała: – Nie mam do tego zdolności.

– Przecież rozmawiała pani z tą studentką – przypomniała kobieta. W jej głosie coraz gwałtowniej pobrzmiwały gniewne nuty.

– Z tą dziewczyną? – zapytała Petrelli z przekonującym lekceważeniem. – Jej ojciec jest najlepszym z tutejszych *ripetitori*, najlepiej się z nim pracuje. Cóż innego mogłam jej powiedzieć? – powiedziała, sprawiając, by zabrzmiało to niczym usilna prośba o przyjacielskie zrozumienie dla chwilowej ludzkiej słabości.

– Udzieliłaby pani jej lekcji, gdyby poprosiła?

Myśląc o pierwszym akcie *Traviaty*, Flavia powtórzyła ciąg obniżających się nut, których śmiejąc się, użyła Violetta, gdy Alfredo po raz pierwszy wyznał jej miłość.

– Proszę mnie nie rozśmieszać. Gdybym miała dawać lekcje śpiewu, to nie takiej smarkuli. Ona nie odróżnia *solfeggia* od buta.

Po raz pierwszy, odkąd rozpoczął się ten koszmar, dłoń trzymająca nóż opadła nieznacznie do połowy uda. Kobieta nachyliła się i Flavia dostrzegła całą jej twarz. Mogła mieć trzydzieści kilka lat, ale beznamiętny i znużony wyraz jej oczu sprawiał, że wyglądała znacznie starzej. Nos był mały i prosty, oczy nieproporcjonalnie duże w zestawieniu z resztą twarzy, jakby nagle, wskutek poważnej choroby schudła.

Kobieta zaciskała usta w wyrazie nawykowej dezaprobaty bądź bólu. Flavia pomyślała, że właściwie wpływ obu tych uczuć na człowieka jest niemal identyczny. Nieznajoma miała na sobie prosty płaszcz z czarnej wełny, okrywający ciemnopopielatą sukienkę do kolan.

– Nigdy nie udzieliłaby pani lekcji? – zapytała.

Flavia spostrzegła maleńki błysk światła w dziurce od klucza – w tej pułapce, gdzie została uwięziona. Czy udzieliłaby lekcji?

Rozległo się stukanie do drzwi. Usłyszała, jak Brunetti pyta: – Jesteś tam, Flavio?

– *Ciao*, Guido – odparła z nienaturalną swobodą. – Tak, jestem, ale jeszcze nie skończyłam. Moja córka rozmawia właśnie przez Skype'a z chłopakiem i powiedziała, żebym zadzwoniła za pięć minut. I nie telefonowałam jeszcze do mojego syna. – To przynajmniej było prawdą. – Postanowiłam nie zawracać sobie głowy kolacją, może więc wrócisz z żoną do domu, a zobaczymy się jutro? – Gdy przestała mówić, spojrzała w dół i spostrzegła, że paznokciami prawej dłoni wydarła dwie pręgi z aksamitu swojej sukni.

Zza drzwi dobiegł swobodny i beztroski głos komisarza: – Pewnie jesteś skonana. Rozumiem. Pójdziemy do Antico Martini. Jeżeli będziesz miała ochotę dołączyć do nas w drodze do domu, to tam będziemy. Jeśli nie,

zobaczymy się jutro rano; około jedenastej. *Ciao* i dzięki za przedstawienie.

Jakby głos zza drzwi nie przeszkodził im w rozmowie, kobieta powtórzyła zadane wcześniej pytanie: – Nigdy nie udzieliłaby pani lekcji?

Flavia zmusiła się do uśmiechu i odparła: – Nie w tym kostiumie. Ludzie nie mają pojęcia, jak trudno śpiewać, mając to wszystko na sobie. – Przesunęła zmęczonymi dłońmi po staniku i grubych fałdach spódnicy.

– A czy zrobiłaby pani to, gdyby mogła się przebrać? – zapytała kobieta z uporem maniaka.

Flavia rozciągnęła usta w jeszcze szerszym uśmiechu i powiedziała: – Gdybym mogła się przebrać, udzieliłabym nawet lekcji stepowania. – Powstrzymała się przed wybuchem śmiechu i pozwoliła, by kobieta sama się domyśliła, że to żart. Wyglądało jednak na to, że jej wielbicielka nie była nim rozbawiona. Gdy Flavia powróciła myślami do początku ich rozmowy, zdała sobie sprawę, że kobieta traktowała dotąd wszystkie jej słowa śmiertelnie poważnie i była głucha na wszystko poza ich dosłownym znaczeniem. Nie należało więc bawić się z nią w kotka i myszkę. – Cóż, gdybym czuła się swobodnie, chyba mogłabym o tym pomyśleć.

– Niech więc się pani przebierze – powiedziała kobieta, wskazując na artystkę dłonią, w której spoczywał nóż. Widząc jego ostrze wycelowane w swoją twarz, pierś bądź brzuch – czy to ważne, w co było wycelowane, na litość boską? – Flavia zamarła. Nie była w stanie się poruszyć; nie mogła mówić, z trudem oddychała. Patrzyła w lustro, zapomniawszy o sobie oraz o kobiecie stojącej koło drzwi, i myślała, nie po raz pierwszy, o rzeczach, które pozostawiła niedokończone w swoim życiu, o ludziach, których skrzywdziła, i głupstwach, którymi się przejmowała. – Powiedziałam, że może się pani przebrać – przypomniała kobieta nieprzyjemnym głosem osoby, która nie lubi być ignorowana.

Flavia zmusiła się do tego, żeby wstać, i odwróciła się ku drzwiom łazienki.

– Tam są moje rzeczy – wyjaśniła.

Kobieta postąpiła chwiejnie w jej kierunku i powiedziała: – Może je pani tu przynieść. – Z kimś, kto mówił takim tonem, nie było dyskusji.

Flavia weszła do maleńkiej łazienki, po czym zabrała spodnie, sweter i buty. Z pochyloną głową zerknęła w lustro, by sprawdzić, czy ma szansę odwrócić się i zatrzasnąć drzwi, lecz kobieta stała już w progu i obserwowała ją, dlatego Flavia zrezygnowała z tego pomysłu.

Właśnie tak łamię twą wolę, pomyślała. Nie dopuszczają, byś robiła małe rzeczy i potem nie ma szans, byś spróbowała dokonać rzeczy wielkich.

Oszczędzając prawą nogę, kobieta cofnęła się, lecz nadal blokowała drzwi swoim ciałem. Flavia przeszła przed nią i rzuciła ubranie na oparcie krzesła. Sięgnęła za głowę i szukała nerwowo suwaka z tyłu sukni. Znalazła, zgubiła, chwyciła znowu i zsunęła do połowy, po czym chwyciła zamek od dołu i rozpięła go do końca. Pozwoliła, by suknia opadła na podłogę, po czym zrzuciła zbyt ciasne aksamitne pantofle, które wkładała do tej sukni.

Stojąc w białiznie, ominęła wzrokiem lustro i podniosła z krzesła stare spodnie z niebieskiej wełny, które często wkładała do teatru, nie dopuszczając do siebie myśli, że ma to jakikolwiek związek z przesądem. Zapinając zamek na biodrze, miała opuszczoną głowę, ale zza zasłony włosów peruki, które opadały na twarz, udało się jej zobaczyć swoją prześladowczynię.

Jej mina przypominała Flavii to, co podczas nauki w liceum widziała na twarzach niektórych zakonnic: bardzo teatralne znużenie maskujące pożądlliwość, która dla młodych dziewcząt była tyleż niepokojąca, co dezorientująca.

Nie chcąc usuwać nedorzecznego diademu z peruki, ściągnęła całość z głowy i cisnęła na toaletkę, po czym spojrzała do lustra, żeby ściągnąć gumowy czepek. Wciągnęła sweter przez spoconą głowę i gdy ukryła pod nim piersi, zyskała chwilowe poczucie zabezpieczenia. Wsunęła stopy do butów i zasznurowała je, ciesząc się z tego, że są ciasne i mają gumowe podeszwy.

Pochylona nad butami ćwiczyła uśmiechanie się i przez chwilę myślała, że twarz – lub serce – pęknie jej przy tych próbach. Gdy uspokoiła drżące usta, wyprostowała się i zapytała: – To pani chciałaby wziąć lekcję?

– Tak, proszę – potwierdziła grzecznie kobieta. Jej uradowany głos zabrzmiał dziecinnie.

Flavia bała się, że nie zdoła się powstrzymać i zacznie krzyczeć. Próbowwała

sobie przypomnieć, o co pytał jej nauczyciel w dniu, w którym odbyła się jej pierwsza prywatna lekcja.

Pamięć jej nie zawiodła.

– Pracuje pani nad czymś obecnie?

Kobieta spojrzała w ziemię, zbliżyła do siebie dłonie, lecz z powodu noża nie mogła ich złączyć, i powiedziała coś, czego Flavia nie dosłyszała.

– Słucham?

– Nad *Tosca* – powtórzyła kobieta, a Flavia wzięła głęboki oddech – jeden, a potem drugi.

„Zapytam ją. Zapytam. Moje pytanie zabrzmie normalnie”.

– Który akt?

– Trzeci. Scena finałowa.

– Tak, nie jest łatwa, ponieważ *Tosca* targają emocje. Jak pani myśli, co ona czuje? – zapytała Flavia, mając nadzieję, że jej głos jest beznamiętny.

– Nigdy się nad tym nie zastanawiałam – odparła kobieta ze skonsternowaną miną. – Myślałam po prostu o muzyce i o tym, jak to zaśpiewać.

– Ale to zależy od jej emocji; one o wszystkim decydują. – Ostatni akt opery, a ona nigdy nie zastanawiała się nad przepełniającymi *Tosca* emocjami? Dźgnęłaby mnie tym nożem bez wahania, pomyślała Flavia i przybrała poważny wyraz twarzy. – Wchodzi na dach zamku i znajduje Maria. Trzyma przepustkę, dla której zabiła *Scarpie*. Czuje więc radość, ale przecież właśnie zabiła człowieka. Potem musi powiedzieć *Mariowi*, by po egzekucji udawał, że nie żyje, a gdy padają strzały, sądzi, że wszystko się udało i chwali go za zdolności aktorskie. I kiedy zostają sami, i okazuje się, że on nie żyje, *Tosca* uświadamia sobie, że wszystko straciła. Potem przychodzą ją aresztować i wie, że jedyną ucieczką jest śmierć. Nie uważa pani, że to prawdziwa huśtawka nastrojów?

Twarz kobiety była obojętna.

– Wiem, że trudno to zaśpiewać, zwłaszcza w duecie, który poprzedza całość.

Najlepiej się z nią zgodzić, najlepiej pozwolić, by myślała, że wie o tej operze wszystko, co wiedzieć trzeba.

– Owszem, to prawda – powiedziała mądrze. – Z pewnością ma pani rację.

– A potem ona ginie – oświadczyła kobieta i Flavia na długi czas wstrzymała oddech.

Próbowała znaleźć odpowiednie słowa, lecz jej mózg, wyobraźnia, dowcip – czyli to, co czyniło ją sobą – przestały działać. Spojrzała w dół, zobaczyła sznurówkę swojego buta i pomyślała, jaka jest piękna, idealna, jak wspaniale umożliwia wiązanie buta, a także o tym, jak skutecznie buty chronią ludzkie stopy.

Wyprostowała się i zapytała: – Chciałaby pani przeciwyczyć ostatnią część?

– Tak.

Pojawił się sposób na wydostanie się z garderoby.

– Z pewnością jednak nie możemy tego zrobić tutaj – stwierdziła Flavia. – W tak małej przestrzeni nie mogę ocenić pani głosu. – Musiała pozwolić kobiecie to przemyśleć. – To naprawdę najbardziej dramatyczny moment opery, nie sądzi pani? – zapytała zwyczajnym głosem, a jej umysł artystki zrozumiał, jak tandetna i rażąco ordynarna jest ta refleksja. – Może mogłybyśmy znaleźć jakąś salę prób? – Powiedziała to celowo bez przekonania, nie pytając, gdzie jeszcze mogłyby odbyć próbę.

– Żadna nie jest wystarczająco duża – odparła kobieta, a Flavia zastanawiała się, skąd ona o tym wie.

– W takim razie nie mamy innego wyboru, niż zostać tutaj – orzekła Flavia, z wyraźną niechęcią przesuwając się w stronę pianina, które stało pod drugą ścianą garderoby.

– Czemu nie na scenie? – zapytała kobieta i Flavia, przygotowana na tę ewentualność, pragnąca jej ze wszystkich sił, odrzekła: – Słucham?

– Na scenie. Dlaczego nie możemy tego zrobić na scenie?

– Dlatego że... Ale scena nie jest... – Flavia urwała, po czym, nie kryjąc zaskoczenia tym wielkim odkryciem, zgodziła się. – No oczywiście. Przecież tam nikogo nie ma. Nie widzę powodu, byśmy nie mogły z niej skorzystać. –

Odwróciła się do kobiety z uśmiechem, który natychmiast próbowała ukryć, jakby nie chciała traktować jej w przyjazny sposób. Jakże bowiem amatorka mogła wpaść na tak dobry pomysł, skoro ona, znająca ten teatr jak własną kieszeń, o tym nie pomyślała?

– Znam drogę – zapewniła kobieta, robiąc dwa kroki w kierunku drzwi. Odsunęła się i ujęła Flavię lewą dłonią za ramię. Flavia poczuła, jak silne ma ręce, i zdała sobie sprawę, że przewyższa ją niemal o głowę. Dotyk kobiety, nawet przez wełniany sweter, przyprawił ją o gęsią skórkę, a przecież dotąd zawsze uważała ten zwrot za całkowicie niedorzeczny. Jak ludzkie ciało mogło dostać gęziej skórki? Odpowiedź była zadziwiająco prosta: tworząc wrażenie mimowolnego odsuwania się od odrażającej substancji.

Dotyk kobiety nie był delikatny; wprawdzie wcale nie sprawiał bólu, ale budził odrazę. Flavia dotrzymywała kobiecie kroku, świadoma, że jej prześladowczyni nieznacznie utyka, i zastanawiała się, gdzie się podziewają Brunetti oraz jego kolega, którego nazwiska nie mogła sobie przypomnieć. Byli z przodu czy z tyłu? Jak mogli pozostać w ukryciu, skoro żaden z nich nie znał teatru? Rozmawiaj, głupia, nie przestawaj rozmawiać.

– Czy pracowała pani nad *Vissi d'arte*? – zapytała tonem prawdziwego zaciekawienia.

Ilekcroć śpiewała tę arię, od debiutu na studiach aż po występ tego wieczoru – jak dawno temu to było, Boże drogi? – tylekcroć robiła to z odrazą. Nie podobało jej się wolne tempo płacziwej kompozycji, niekończąca się litania ckliwych narzekań Toski, układ, który starała się zawrzeć z Bogiem: dałam Ci tanto, więc jesteś mi winien to. – To jedna z najpiękniejszych arii, jakie skomponował.

– Miałam kłopot z wolnym tempem – odparła kobieta.

– Tak – potwierdziła refleksyjnie Flavia – to jeden z problemów, jakich ona nastęrcza, zwłaszcza gdy pracuje się z dyrygentem, który stara się ją przeciągnąć i sprawić, by trwała dłużej. – Tak samo jak ona starała się przeciągnąć wszystkie swoje wypowiedzi i sprawić, by trwały dłużej, a przez to skuteczniej ostrzec Brunettiego, że idą w jego stronę lub się od niego oddalają. – Myślę, że na scenie – dodała głośniejszym głosem – jest łatwiej i zwykle się

udaje.

Kobieta zatrzymała się i odwróciła Flavię twarzą do siebie.

– Mówiłam pani, że chcę popracować nad ostatnią sceną, nie nad *Vissi d'arte* – powiedziała i dokładniej przyjrzała się Flavii, która po raz pierwszy zobaczyła jej oczy. – Jest w niej za dużo uczucia.

Zmuszona tą uwagą do milczenia Flavia skinęła głową i mimowolnie cofnęła się o pół kroku.

Dłoń kobiety niczym imadło zacisnęła się na jej ręce, wywierając – przypadkiem lub nie, choć nie miało to żadnego znaczenia – ucisk na nerw. Czy ona chce widzieć, jak cierpię, zastanawiała się Flavia, czy może bezpieczniej dla mnie będzie to zignorować?

– Od którego miejsca w trzecim akcie? – zapytała zapobiegliwie.

– Od momentu, gdy wchodzi po schodach – odparła kobieta.

– Hmm – mruknęła Flavia. – Jest tam sporo krzyków, a muzyka robi się bardzo gwałtowna, musi więc pani uważać, by zaśpiewać to odpowiednio głośno. – Pomyślała, że zaryzykuje, i zaczęła od momentu, w którym żołnierze wbiegli po schodach na dach zamku. – Tak naprawdę Tosca mówi jedynie: *Morto, morto, o Mario, morto tu, così*. – Tę sztuczkę często stosowała na kolacjach i przyjęciach, żeby błyskawicznie wczuć się w rolę i przejść od zwyczajnej rozmowy do śpiewu pełnym głosem.

Imadło znowu się zacisnęło i kobieta przyciągnęła ją blisko siebie. Niczym mysz patrząca na zbliżającego się kota Flavia mogła jedynie spojrzeć na nią, a potem na swoją uwięzioną rękę.

Obserwowała, jak druga dłoń kobiety, ta uzbrojona, zbliża się do jej dłoni, a ostrze noża bardzo powoli i delikatnie przesuwają się po grzbiecie ręki jeńca, stalowa pieśczęta, po której na skórze została czerwona kreska.

– Niech pani nie robi tyle hałasu – powiedziała. – Poczekajmy, aż znajdziemy się na scenie.

Flavia skinęła głową i przyglądała się, jak kropelki krwi występują na powierzchnię skóry i łączą się niczym krople deszczu na okiennej szybie. Przyłapała się na tym, że zadaje sobie pytanie, która z nich pierwsza spadnie.

Kobieta otworzyła czerwone drzwi przeciwpożarowe i wtedy znalazły się na scenie.

Rozdział 28

Brunetti i Vianello, ukryci tuż za kurtyną, byli niewidoczni ze sceny, a niewielka przerwa między brzegami ciężkiej tkaniny zapewniała im widok strefy oświetlonej lampami bezpieczeństwa. Szańce Castel Sant'Angelo z murem zamku częściowo obcięty i otwartym, tak aby publiczność mogła dobrze go obserwować, były widoczne dla nich obu, inaczej niż wtedy gdy stali ukryci podczas przedstawienia. Patrzyli, jak Flavia gwałtownie wkracza na scenę przez drzwi przeciwpożarowe i zatrzymuje się nagle, szarpnięta za rękę przez stojącą z tyłu kobietę.

Półmrok uniemożliwiał dostrzeżenie wyrazu ich twarzy, lecz o przerażeniu Flavii wyraźnie świadczyło jej skrępowanie i to, jak wzdryga się przed każdym ruchem swojej prześladowczyni.

Żaden z nich się nie poruszył i obaj wstrzymali oddech, gdy wyższa od Flavii kobieta prowadziła ją przez scenę do schodów wiodących na dach i blanki zamku. Górował nad nimi posąg Michała Archanioła dzierżącego miecz; Brunetti liczył po cichu, że archanioł i tym razem pomoże pokonać wroga.

Obserwował, jak uzbrojona w nóż kobieta popycha śpiewaczkę na pierwszy stopień schodów, ale Flavia zaparła się i wyzywająco pokręciła głową. Wówczas kobieta gwałtownym szarpnięciem odwróciła ją do siebie, przytknęła jej nóż do brzucha i nachyliła się, żeby powiedzieć do niej coś szeptem. Twarz Flavii stężała w wyrazie panicznego lęku i komisarzowi wydawało się, że słyszy, jak śpiewaczka mówi cicho: „Nie. Błagam”. Opuściła głowę i na kilka sekund jakby zasłabła ugodzona nożem, po czym dwa lub trzy razy skinęła nieznacznie głową i odwróciła się z powrotem twarzą do schodów. Postawiła stopę na pierwszym stopniu i podciągając się lewą ręką, powoli ruszyła do góry; kobietę z nożem miała z prawej strony.

Na najwyższym stopniu zatrzymała się nagle, schody doprowadziły ją

bowiem na odległość zaledwie paru metrów od miejsca, z którego niespełna dwie godziny wcześniej skoczyła w otchłań śmierci. Brunetti zauważył, że nikt nie zdemontował dekoracji, zapomniano też podnieść niebieski płaszcz żołnierski, który rzucony został na zwłoki Maria. O mur na szczycie schodów ktoś niedbale oparł karabin. Strajk doprowadził do przerwania prac i blanki miały pozostać na scenie do czasu rozstrzygnięcia sporu.

Zobaczył, że Flavia podchodzi do płaszcza; kobieta, wciąż uczepiona śpiewaczki jak rzep, powstrzymała ją i coś do niej mówiła. Brunetti poklepał Vianella po ramieniu i wskazał na schody, a potem na siebie i wykonał dwoma palcami ruchy imitujące marsz. Ruszył w prawo: gdyby wkroczył na scenę od tej strony, żadna z kobiet nie mogłaby go zobaczyć, a on sam straciłby je z pola widzenia. Kiedy wśliznął się za kulisy, słyszał ich głosy, ale słowa mógł rozróżnić dopiero wtedy, gdy dotarł do schodów.

– Śpiewa się z tego miejsca, trzeba więc koniecznie stać przodem do widowni, bo inaczej głos nie dotrze do publiczności – powiedziała Flavia z napięciem. – Gdy się odwrócę – wyjaśniała, a natężenie jej głosu malało – nie słyszą mnie tak samo dobrze jak teraz – zakończyła ponownie z pełną siłą. – Niech pani pamięta, jak liczna jest orkiestra: ponad siedemdziesięcioro muzyków. Jeżeli nie będzie pani śpiewać dostatecznie głośno, zagłuszą panią.

– Czy powinnam stanąć z drugiej strony jego ciała? – zapytała kobieta.

– Tak. Dobrze. Dzięki temu jest pani zwrócona twarzą do publiczności i patrzy pani na schody, bo przecież to jedyna droga na dach i właśnie po nich ludzie Scarpia będą musieli przyjść po panią.

Brunetti potraktował te słowa jak wiadomość przesłaną niczym list w butelce. Słyszał dobiegające z góry odgłosy stąpania i wykorzystał je, by zagłuszyć własne kroki na schodach. Kiedy na górze ucichło, zastygł w bezruchu w połowie drogi.

– Pozwoli pani, że stanę między panią a schodami, żeby słyszeć, czy pani głos weźmie górę nad konkurencją – zaproponowała i sekundę później zastrzegła: – Nie odejdę. Chcę panią obserwować z pewnego dystansu i muszę wiedzieć, jak pani ma postawiony głos. A poza tym – dodała ze znużeniem, nie ironią – nie mam tu dokąd pójść, prawda? – Jeżeli nawet z ust kobiety

padła jakaś odpowiedź, to komisarz jej nie usłyszał. – W porządku, niech pani zacznie od *Andiamo. Su* – powiedziała Flavia władczym głosem nauczycielki i komisarz uznał, że to dobrze, iż w ten sposób zaznacza swój autorytet, wątpił jednak w szanse jej powodzenia.

– Nie, niżej, niemal przy jego twarzy. Musi się pani pochylić, jakby on żył, a kiedy śpiewa pani *Presto! Su*, musi to zabrzmieć radośnie, a *su* musi być naprawdę śpiewne. Właśnie zrobiła im pani wszystkim niesamowity kawał i teraz uciekniecie we dwoje do Civitavecchia, skąd odpłyniecie w siną dal i będziecie żyli długo i szczęśliwie. – Flavia przerwała i Brunetti wyczuł, że zastanawia się nad tym. Ludzie mogą żyć szczęśliwie, wielu się to udaje, a ona z pewnością zaznała w życiu wiele dobrego, ale nikt nie żył długo i szczęśliwie. Nikt nie żył długo.

Wspiął się na dwa następne stopnie i przez moment sięgał głową o dwa stopnie poniżej szczytu schodów, po czym cofnął się o jeden i usiadł skulony, by pozostać w ukryciu.

– *Presto! Su, Mario. Andiamo!* – rozległ się okrzyk kobiety, szorstki, całkowicie wyzbyty emocji i piękna. Ledwie jednak wykrzyczała te słowa, Flavia zawołała: – Nie, nie w ten sposób! Musi pani być radosna. Przecież przynosi mu pani dobre wieści.

On żyje i oboje jesteście bezpieczni. Nie grozi wam śmierć. – Gdyby głos Flavii nie załamał się przy ostatnim słowie, Brunetti uznałby, że odegrała tę scenę wręcz idealnie. – Chcąc zamaskować to niedociągnięcie, Flavia dodała głośniejsz: – A teraz niech pani spróbuje zaśpiewać *Morto, morto*, ale musi pani w to włożyć więcej serca. Tosca już wie, że Mario nie żyje, i jest na tyle inteligentna, by rozumieć, że niebawem przyjdzie kolej na nią.

– Niech mi pani pokaże, jak to ma zabrzmieć, bo nie rozumiem – powiedziała spokojnie kobieta.

– *Morto, morto* – odpowiedziała Flavia zdławionym głosem, a następnie zaśpiewała: – *Finire così. Così? Povera Flavia.* – Zabrzmiało to przerażająco. Niczym głos osoby wiedzącej, że umrze, i to już wkrótce. Dobre czasy się skończyły. Mario nie żył, teraz zaś przyszła kolej na nią.

Brunetti wyciągnął broń, wiedział jednak, że równie dobrze może trafić we

Flavię. Zawsze traktował ćwiczenia strzeleckie jak niepotrzebne zawracanie głowy i skutek był taki, że znajdując się teraz tak blisko potencjalnej zabójczyni, nie potrafił jej przeszkodzić. Gdyby nagle wstał, kobieta mogła zarówno ugodzić nożem Flavię, jak i napaść na niego.

– Ona ma na imię Floria, nie Flavia – poprawiła ją kobieta.

– Tak, oczywiście – odpowiedziała Flavia, po czym komisarz usłyszał jakiś dźwięk, ni to szloch, ni to czknięcie.

– I właśnie wtedy ich dostrzega, prawda?

– Owszem, wbiegają po schodach.

Czy był to sygnał, prośba, czy tylko opis przebiegu zdarzeń w operze? Głos Flavii tego nie zdradził.

– I wtedy wspina się na mur?

– Zgadza się. W tym miejscu. To niski mur. Zawsze robią go w taki sposób, żeby można było bez trudu na niego wejść, a poza tym z widowni wygląda na wyższy.

– A co ze skokiem?

– Na pomoście za murem znajduje się wielki materac. Najgorsze, co się może stać, to sytuacja, w której samobójczyni podskoczy na materacu i widzowie siedzący na balkonach zobaczą fragment jej sylwetki. – Głos Flavii znowu brzmiał spokojnie, niemal swobodnie. – Przydarzyło mi się to raz, wiele lat temu, w Paryżu. Kilka osób się roześmiało i tyle. Ten pomost jest wyłożony około dziesięcioma warstwami gumy i plastiku. Przyjemnie się na nie upada – wyjaśniła Flavia, ale potem odwróciła uwagę kobiety oraz Brunettiego od skoku, mówiąc: – Musi pani uważać, wykrzykując nazwisko prefekta i zapowiadając, że zobaczy się z nim przed obliczem Boga. Tosca popełnia samobójstwo i zostanie za to osądzona, jest jednak pewna, że Bóg jej wybaczy. Przypomina Scarpia, że on zostanie osądzony w tym samym czasie i nie uzyska przebaczenia.

– Przecież on ją kochał – zauważyła wyraźnie skonsternowana kobieta.

– Ale bez wzajemności – odparła Flavia i Brunetti wyczuł w jej głosie rezygnację, jakby wiedziała, że te słowa mogą ją zabić, ale było już jej

wszystko jedno.

Przez długi czas nic nie słyszał, więc postanowił zaryzykować i zobaczyć, co się dzieje na murze. Uniósł głowę ponad powierzchnię zamkowego dachu i odwrócił się w stronę, z której dochodziły głosy. Ujrzał Flavię patrzącą w kierunku pustej widowni oraz kobietę stojącą obok, tyle że odwróconą do niego plecami. Flavia, ubrana niedbale w sweter i spodnie, wciąż była ucharakteryzowana, chociaż diadem i peruka zniknęły. Makijaż, miejscami starty, a miejscami spływający wraz z potem, podkreślał rysy jej twarzy, która z bliska wyglądała teraz groteskowo.

Flavia weszła na blanki i patrząc przed siebie ponad kobietą, dostrzegła komisarza. Wyraz jej twarzy nie zmienił się w najmniejszym stopniu. Wyciągnęła rękę, żeby pomóc kobiecie wspiąć się na niski mur, ta jednak zignorowała ten gest, podobnie jak zignorowała ślady krwi na grzbiecie jej dłoni. Po chwili nie bez trudu stanęła obok śpiewaczki. Aby utrzymać równowagę, rozłożyła ręce i Flavia musiała cofnąć szybko głowę, żeby uniknąć kontaktu z ostrzem noża.

Brunetti schylił się i spojrział na kurtynę. Twarz Vianella wyglądającego niczym widmo można było dostrzec w wąskiej szparze. Na znak komisarza inspektor uniósł jeden palec i pokiwałszy nim szybko, dał przeczącą odpowiedź. Brunetti nasłuchiwał z opuszczoną głową.

– Owszem, rzeczywiście ją kochał – potwierdziła gwałtownie Flavia. – Ale Tosca nie odwzajemnia jego miłości i chce, żeby został potępiony. To właśnie musi pani przekazać, jeżeli ta scena ma się udać. – Ledwie komisarz wyczuł gniew w jej głosie, a ona już pohamowała emocje i dodała słowa serdecznej zachęty: – Niech pani po prostu spróbuje to zrobić. Pani głos może brzmieć nierówno, o ile tylko wyrazi pani nim jej nienawiść. To może nawet pomóc.

– Mój głos nigdy nie brzmi nierówno – zaprotestowała kobieta.

– Jasne, że nie – rzuciła pośpiesznie Flavia, jakby nie chciała marnować czasu na komentowanie tego, co oczywiste. – Chodziło mi o to, że może pani sprawić, by tak brzmiał, dla lepszego efektu. W taki sposób. – I Flavia pokazała swojej uczennicy, co ma robić, milknąc po słowach: *O, Scarpia*.

– Co pani o tym sądzi? – zapytała po chwili. – Ta surowość czyni jej gniew

autentycznym. Przecież ma powody ku temu.

Słyszając, w jaki sposób to powiedziała, Brunetti podniósł głowę, żeby zobaczyć, co mogło być źródłem takiej wściekłości. Czyżby kobieta znowu groziła jej nożem?

Nie, wciąż tam stała, zwrócona twarzą do artystki, chłonąc każde jej słowo. I Flavia poleciała: – Niech pani wyciągnie ręce, wzniesie je ku niebu, gdzie czeka na panią Bóg, i wykrzyknie nazwisko prefekta.

Kobieta nie drgnęła, oniemiała z wrażenia.

– Proszę, niech pani spróbuje. To właśnie takie sceny wyzwalają w śpiewakach pełnię możliwości – zapewniła Flavia.

Brunetti obserwował z tyłu, jak kobieta najpierw podnosi lewą, a potem prawą rękę, w której wciąż trzymała nóż. Stojąc w tej pozycji, zawołała: – *O, Scarpia, avanti a Dio!* – i odwróciła się od domniemanej publiczności z wyciągniętymi przed siebie rękami. Komisarz zadrżał z litości nad surową brzydota jej głosu. Trzy lata w konserwatorium z takim skutkiem?

Boże drogi, jakie żałosne i okropne marnotrawstwo.

Na tę myśl zamknął oczy. Gdy je znowu otworzył, zobaczył, że Flavia gwałtownie uchyla się przed poruszającą się kobietą; wyglądało na to, że próbowała w ten sposób uniknąć ciosu nożem. Wydawało się, że szukając w panice oparcia dla stóp na wąskich blankach, śpiewaczka straciła równowagę i jej ręka niebezpiecznie zbliżyła się do twarzy kobiety. Ta zaś, oszołomiona, wypuściła nóż z dłoni i gdy to spostrzegła, pochyliła się, żeby go pochwycić; ów ruch do przodu sprawił, że znalazła się na skraju sztucznego muru. Potknęła się i siłą bezwładu runęła w dół.

Brunetti wstał, nasłuchując odgłosu zderzenia z materacami, na które przez dwa tygodnie spadała Flavia. Zamiast niego – jak się zdawało po długiej ciszy, a trwającej w rzeczywistości zaledwie parę sekund – z miejsca położonego znacznie poniżej muru, na którym widział Flavię, dobiegł głuchy huk.

Śpiewaczka stała na murze, patrząc prosto przed siebie, potem usiadła na gzymsie i opuściła głowę na kolana. Komisarz pokonał resztę schodów. Słyszał, jak ktoś szybko idzie po scenie, ale nie zważał na te odgłosy.

Podbiegł do śpiewaczki i przyklęknął.

– Flavio – powiedział, uważając, by jej nie dotykać. – Nic ci się nie stało? – Jej ramiona uniosły się, gdy wciągnęła głęboko powietrze; po chwili wolno je wypuściła. Skrzyżowane dłonie przyciskała do piersi. Brunetti spostrzegł krew spływającą z grzbietu jej prawej dłoni.

Pomyślał, że rana wygląda na wystarczająco głęboką, by pozostała po niej blizna, a potem nie mógł się nadziwić, że w tym momencie myśli o czymś takim. – Flavio, nic ci się nie stało? – powtórzył w nadziei, że nie odniosła żadnych innych obrażeń. – Zaraz dotknę twojego ramienia.

Dobrze?

Wydawało mu się, że skinęła głową. Dotknął ramienia Flavii, jakby chciał jej poprzez dotyk zapewnić kontakt z otaczającym światem. Znowu skinęła głową, zaczęła wolniej oddychać, ale nadal nie podnosiła wzroku.

Słyszając kroki zbliżającego się inspektora, powiedział: – Zadzwoń do nich, a potem zejdź i ją obejrzyj.

– Już to zrobiłem – odparł inspektor. – Nie żyje.

Usłyszawszy to, Flavia podniosła głowę i spojrzała na Brunettiego. Dopiero wtedy przypomniał sobie młodego mężczyznę z kluczem, uśmiechającego się do niej i mówiącego, że zabierze pomost z płytami styropianu, ponieważ ona go tak bardzo nie znosi. Usłyszał, jak Vianello odchodzi i zaczyna rozmawiać przez telefon. Zdjął rękę z ramienia Flavii i zorientował się, że to zauważyła. – Powiedziała, że wie, gdzie mieszkają moje dzieci.

Komisarz wstał i przez chwilę patrzył na nią z góry. Potem ujął ją pod ramię, pomógł wstać i rzekł: – Chodź, odprowadzimy cię do domu.

Przypisy

[1] Gra słów: *scarpa* (wł.) – but; *arpa* (wł.) – harfa (przyp. tłum.).

Nakładem wydawnictwa Noir sur Blanc ukazały się następujące powieści
Donny Leon:

ŚMIERĆ W LA FENICE

1998

2006 (*seria kieszonkowa*)

ŚMIERĆ NA OBCZYŹNIE

1999

STRÓJ NA ŚMIERĆ

1999

ŚMIERĆ I SĄD

1999

ACQUA ALTA

1999

2011 (*seria kieszonkowa*)

CICHO, WE ŚNIE

2001

2009 (*seria kieszonkowa*)

SZLACHETNY BLASK

2002

ZGUBNE ŚRODKI

2003

2007 (*seria kieszonkowa*)

ZNAJOMI NA STANOWISKACH

2004

2008 (seria kieszonkowa)

MORZE NIESZCZĘŚĆ

2005

2007 (seria kieszonkowa)

PERFIDNA GRA

2006 (seria kieszonkowa)

SŁOWO OFICERA

2007 (seria kieszonkowa)

FAŁSZYWY DOWÓD

2008 (seria kieszonkowa)

KREW Z KAMIENIA

2009 (seria kieszonkowa)

MĘTNE SZKŁO

2010 (seria kieszonkowa)

OKROPNA SPRAWIEDLIWOŚĆ

2010 (seria kieszonkowa)

DZIEWCZYNA Z JEGO SNÓW

2011 (seria kieszonkowa)

UKRYTE PIĘKNO

2012 (seria kieszonkowa)

KWESTIA WIARY

2013 (seria kieszonkowa)

PO NITCE DO KŁĘBKĄ

2014 (seria kieszonkowa)

DZIKA ZACHŁANNOŚĆ
2015 (seria kieszonkowa)

ZŁOTE JAJO
2016 (seria kieszonkowa)

GRA POZORÓW
2017 (seria kieszonkowa)

WODA WIECZNEJ MŁODOŚCI
2018 (seria kieszonkowa)